

PREZYDENT ANDRZEJ DUDA UJAWNIA NAM, JAKI MA PLAN NA ZWYCIĘSTWO

„SIECI" – NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZY TYGODNIK W POLSCE

RYZYKOWNE OBCHODY 10. ROCZNICY SMOLEŃSKA



2 SPECJALNE DODATKI

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 9 (378) 2020
24 lutego–1 marca 2020

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

KTO NAPRAWDĘ ODWRÓCIŁ SIĘ OD CHORYCH NA RAKA

PADŁO W TEJ AWANTURZE WIELE MOCNYCH SŁÓW. ALE TWARDE FAKTY ODSŁANIAJĄ NIEWYGODNĄ DLA PO I PSL PRAWDĘ

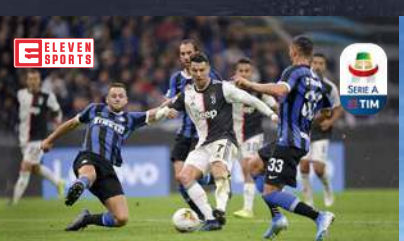
INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

CYFROWY POLSAT

WIELKI SPORT W ZASIĘGU RĘKI

SAT
TELEWIZJA SATELITARNA

IPTV
TELEWIZJA KABLOWA

















Na start 3 miesiące TV bez opłat

Telewizja już od **20 zł** miesięcznie

Promocje telewizji satelitarnej i kablowej IPTV dla nowych Klientów przy umowach z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera, usług dodatkowych na czas nieokreślony, a w przypadku oferty telewizji kablowej IPTV także opłat za internet. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.

Serie A TIM, LaLiga Santander oraz cały sezon Formula 1® w ELEVEN SPORTS. The F1 FORMULA 1 logo, F1 logo, FORMULA 1, F1, FIA FORMULA ONE WORLD CHAMPIONSHIP, GRAND PRIX and related marks are trade marks of Formula One Licensing BV, a Formula 1 company. All rights reserved. Fot. Getty Images.

Turbocynicy

Zdarzają się momenty, gdy człowiek czuje się niemal bezradny wobec potęgi kłamstwa i manipulacji. Jak wtedy, gdy ludzie, którzy nie martwili się, gdy miliony Polaków wysyłano na bezrobocie, nagle zapewniają o swojej społecznej wrażliwości. Gdy turboliberałowie, zwolennicy tezy, iż wygrywa ten, kto mocniej się rozpycha łokciami, nagle się troszczą o niepełnosprawnych i przytulają na billboardach „zwykłych ludzi". Gdy organizatorzy przemysłu pogardy i bojówek od czterech lat prześladujących choćby obchody smoleńskie, głaszczących krzyczących do prezydenta „ty ch...", zaczynają się martwić o jakość języka w polskich sporach.

Awantura wywołana przez opozycję wokół nowelizacji ustawy o radiofonii i telewizji oraz ustawy abonamentowej jest kolejnym takim przykładem. Zapisano w niej, że w ramach rekompensaty za ustawowe zwolnienia z abonamentu media publiczne mają otrzymać z budżetu około 2 mld zł. Co ważne, w obligacjach, czyli nie w gotówce.

Podobny mechanizm zastosowano w poprzednich latach, ale teraz znalazł się on w centrum kampanii wyborczej. Opozycja wymyśliła bowiem tezę, że te 2 mld powinny trafić na onkologię. Zatroskał się o to nawet Donald Tusk: „To bardzo subtelna różnica: opozycja chce przeznaczyć dwa miliardy na onkologię, a PiS na nowotwór" – zawyrokował w mediach społecznościowych.

Jak z tą troską o chorych na raka było w czasie rządów PO-PSL, opisujemy na stronach 22–25. Ale warto jeszcze raz przypomnieć kilka liczb. W roku 2015 wydano na tę dziedzinę 7 mld zł, w roku 2018 było to już ponad 9 mld zł, a na rok obecny zaplanowano 11 mld zł. Do tego dodajmy 5 mld zł na Narodową Strategię Onkologiczną. W sumie za obecnych rządów na całą służbę zdrowia wydajemy 30 mld zł rocznie więcej (wzrost z 79 mld w 2015 r. do 109 mld w roku obecnym). Oczywiście – za mało. Ale więcej niż kiedykolwiek.



Ta dyskusja ma szerszy wymiar. Bo na wydatki na służbę zdrowia, w tym onkologię, nie można patrzeć w oderwaniu od stanu całego państwa. Ile mediów w ogóle nie poinformowało swoich odbiorców, że w budżecie na rok 2020 zapisano dochody o ponad 146 mld zł większe, niż zrealizowano w roku 2015, który był ostatnim planowanym przez ekipę PO-PSL? W sumie tegoroczny budżet zamyka się kwotą 435,3 mld, na dodatek przy ambitnym założeniu zrównoważenia dochodów z wydatkami.

To pokazuje skalę zmiany, zatrzymania wielkiego złodziejstwa, które było tolerowane przez lata. Ponad 750 cystern dziennie wjeżdżających do kraju bez żadnej kontroli pozostanie na zawsze symbolem tego, co uczyniono Polsce. Ale tylko symbolem, bo były jeszcze mafie vatowskie, było wyprzedawanie gospodarczych skarbów za bezcen, było założenie konkurowania wyłącznie niskimi zarobkami Polaków.

To myślenie po stronie opozycyjnej niestety trwa. Każdy, dosłownie każdy projekt polityki bardziej ambitnej, np. w wymiarze ogólnokrajowym (Centralny Port Komunikacyjny, przekop Mierzei Wiślanej), jest wyszydzany, a każdy prospołeczny program (od 500+ poczynając) jest przez turboliberałów podważany. Padają jasne zapowiedzi: jest na stole plan rozbicia dzielnicowego Polski, są zapowiedzi likwidacji CBA, IPN, mediów publicznych. Kamień na kamieniu może z naszych narodowych zasobów nie zostać po kolejnej dekadzie rządów takich jak w latach 2007–2015. A choć turboliberalni cynicy w kampaniach wyborczych przebierają się wprawdzie w ubrania społecznie wrażliwych polityków, ale to są przecież ci sami ludzie, którzy wtedy rządzili. I którym wcale nie chodzi o pieniądze na chorych na nowotwór, ale o to, by szczelina w systemie lewicowo-liberalnego monopolu, jakim jest dzisiaj telewizja publiczna, zniknęła na zawsze. Wtedy już bezkarnie będą mogli organizować swoje kampanie wzburzenia i potępienia dowolnie wybranych celów. Jak również ruszą z akcją reedukacji Polaków zgodnie z przekonaniami pana Biedronia.

Warto pamiętać, że także nad tymi sprawami zagłosujemy w maju w wyborach prezydenckich.

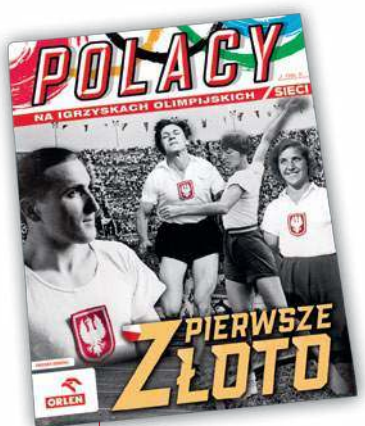
Michał Karnowski

Reklama | 57/1219/F

SIECI spis treści



38 ***Kaznodzieja i celebryta, czyli między religią i polityką***
Grzegorz Górny



53–64 **Polacy na igrzyskach**
Dodatek, część 2



77–89 **Bieg pamięci Żołnierzy Wyklętych**
Dodatek specjalny

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **NA DUDĘ!**
Krzysztof Feusette

10 **STAN UMYSŁU**
Dorota Łosiewicz

12 **RÓBMY KANAŁ I MIŁOŚĆ**
Jan Pietrzak

13 **PALEC LICHOCKIEJ**
Bronisław Wildstein

14 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **CUKIER NIE KRZEPI**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **WALIZKA ARKA GOŁĘBIEWSKIEGO**
Michał Korsun

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **POLITYCZNA GRA ONKOLOGIĄ**
Aleksandra Jakubowska

KRAJ

26 **Z ANDRZEJEM DUDĄ**
rozmawia Marcin Wikło

30 **FIRMA PRZESTĘPCZA „ZBIGNIEW S.”**
Wojciech Biedroń

34 **NIEPRZYGOTOWANA ROCZNICA**
Marek Pyza

36 **BOSAK: KANDYDAT SAMOZWAŃCZYCH NARODOWCÓW**
Jakub Augustyn Maciejewski

38 **KAZNODZIEJA I CELEBRYTA, CZYLI MIĘDZY RELIGIĄ I POLITYKĄ**
Grzegorz Górny

40 **BEZMIĘSNI DRAPIEŻNICY**
Konrad Kołodziejski

43 **Z GRZEGORZEM NAPIERALSKIM**
rozmawia Marcin Fijołek

46 **W JAK WYBORCZE WIÓRY**
Hanna Karp

48 **Z MACIEJEM ŚWIRSKIM**
rozmawia Jacek Karnowski

SIECI KULTURY

65 **MASKI I KREACJE**
Jolanta Gajda-Zadworna

68 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

70 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

72 **POLECA**
Łukasz Adamski

HISTORIA

74 **POLISH LAMA NA EVEREŚCIE**
Zbigniew Branach

ŚWIAT

90 **CHŁODNY POWIEW OD WSCHODU**
Jan Rokita

93 **BORIS KONTRA BBC**
Aleksandra Rybińska

96 **ATAK LGBT NA KONSTYTUCJĘ**
Goran Andrijanić

SPORT

102 **GWIAZDA NBA I KASA STEFCZYKA POMAGAJĄ DZIECIOM**
Piotr Filipczyk

PODRÓŻE

104 **MOJE SZLAKI: MARIKO BOBRIK**
Jolanta Gajda-Zadworna

105 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

106 **NIE TERAZ DO ROSJI**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **300…**
Aleksander Nalaskowski

109 **WARZYWA, POBUDKA!**
Wiktor Świetlik

110 **SZCZEGÓLNA DATA**
Alina Czerniakowska

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **„FUCK” SIĘ NALEŻY**
Ryszard Makowski

113 **KONCERTUJĄ LESZCZYNY**
Leszek Długosz

114 **ANDU 2020**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 45/0120/F

eprasa.pl e3907b2c07

#DobryKierowca

Robert Kubica to jeden z najszybszych kierowców świata, jeżdżący w elicie motorsportu. Oczywiście prywatnie też podróżuje samochodem. Zapytaliśmy naszego wybitnego sportowca, kim według niego jest dobry kierowca.

– Robert, zapomnijmy na chwilę o torze wyścigowym i pomówmy o codziennych sytuacjach w ruchu drogowym. Kim jest dobry kierowca?
RK: Dobry kierowca to taki, który jeździ zgodnie z przepisami. Potrafi także przewidywać różne sytuacje, co bezpośrednio przekłada się na bezpieczeństwo. Ustępuje pierwszeństwa pieszym zbliżającym się do pasów i nie przekracza dozwolonej prędkości. Na pewno też wszystkim kierowcom przyda się po prostu uśmiech i uprzejmość wobec innych.

– Zmieniają się niektóre przepisy. Jak oceniasz zasadę jazdy „na suwak"?
RK: To dobre rozwiązanie. Kiedy wejdzie nam w nawyk, by nie jeździć zderzak w zderzak, a zostawiać miejsce na wpuszczenie auta z drugiego, np. zablokowanego pasa, wtedy korków będzie mniej. Albo szybciej się rozładują, bo „suwak" znakomicie poprawia płynność jazdy.

– Korytarz życia to chyba oczywista zasada, prawda?
RK: Większość kierowców wie, że to oznacza zrobienie przejazdu dla karetki, straży czy policji. Wiedzą też, jak zresztą sama nazwa wskazuje, że korytarz służy ratowaniu życia. Pytanie, czy wszyscy wiedzą, jak to zrobić?

– Jak to zatem powinno wyglądać?
RK: Może najłatwiej będzie to wytłumaczyć krótkim zdaniem, którego uczyliśmy dzieci w miasteczku ORLEN: „kierowcy z lewego pasa – na lewo, a reszta – na prawo!". Tak to powinno wyglądać – dziecinnie proste.

– Dziękuję za rozmowę.
RK: Dziękuję również.





www.dobrykierowca.orlen.pl

eprasa.pl e3907b2c07



Sygnalista nadaje

„Gazeta Wyborcza" opublikowała obszerny „reportaż" o młodej kobiecie, która w mediach społecznościowych wyznaje miłość Andrzejowi Dudzie i która twierdzi również, że uczucie jest odwzajemnione. Dowodem ma być zdjęcie z jednego z otwartych spotkań głowy państwa, na którym kobieta rzuca się w objęcia prezydenta, oraz kuriozalne, ewidentnie zmyślone esemesy (np. „Nawet nie wiesz, ile razy Jarek obiecywał, że się zobaczymy, gdy coś [dla niego] zrobię"). Jeśli już teraz Czerska sięga po metody Urbana, atakując wyjątkowym plugastwem, to znaczy, że kampania będzie na noże.

Początek boju jest dla prawicy bardzo trudny. Nieszczęsny dwuznaczny gest ***Joanny Lichockiej***, która według opozycji pokazała jej środkowy palec, rozlał się po kraju niczym tsunami. Sprawa jest więcej niż nośna, medialnie atrakcyjna, trafiająca do najmniej wyrobionych wyborców. Posłanka przeprosiła „wszystkich, którzy poczuli się dotknięci", ale podtrzymuje, że „to jest łgarstwo, pojedyncza klatka wyrwana z ruchu ręki". Pytanie, czy to był ruch ręki (skrzydeł motyla), który zmienił historię, czy tylko epizod, z którego będziemy się kiedyś śmiali, pozostaje otwarte. I tak będzie być może aż do 24 maja.

Paweł Kukiz uważa, że wyborcy powinni mieć możliwość odwoływania w czasie kadencji polityków, którzy wpadną w turbulencje. Napisał nawet w tej sprawie list do Jerzego Owsiaka. „Jurek... Jeśli chcemy, by polityk był naszym pracownikiem, a nie gardzącym nami »panem«, jeśli chcemy mieć nad politykami CODZIENNĄ kontrolę – pomóż mi! Pomóż mi w walce o referenda, o INDYWIDUALNE prawo startu dla każdego Obywatela, a nie tylko dla partyjniaka! To nie jest prośba o zaangażowanie polityczne. To prośba o pomoc w edukacji". Proces upadku trwa.

Podczas jednego ze spotkań mężczyzna zadał Małgorzacie Kidawie-Błońskiej proste pytanie: „Co pani stworzyła przez osiem lat?". Kandydatka Koalicji Obywatelskiej, nie zastanawiając się długo, odpowiedziała również pytaniem: „Wiele rzeczy, proszę pana. A co pan stworzył, to może się pan pochwali, wszyscy chętnie usłyszymy!". W sumie odpowiedź sensowna: w przypadku opozycji kandydatem na prezydenta może być i nikt, i każdy jednocześnie.

No to jeszcze parę złotych myśli Kukiza: „Andrzej Duda nie powinien być ponownie wybrany na prezydenta, to byłaby dla niego wystarczająca kara, bo straciłby swój ukochany mały samolocik"; „Jeśli to prawda, że grozi nam płacenie 2 mln euro dziennie za to psychopatyczne podejście do reformy wymiaru sprawiedliwości przez Zbigniewa Ziobrę, to to będzie dramat" itd. Nigdy dość powtarzania: w Polsce tylko Kaczyński rzucił poważne wyzwanie systemowi. Reszta, nawet jeśli chciała, jest za słaba, by choćby powalczyć.

Wspomniany Owsiak wygrał tymczasem proces z prof. Krystyną Pawłowicz. Sąd Apelacyjny uznał, że „konkurs" Jerzego Owsiaka o nazwie „Ruch Wypierdolenia Krystyny Pawłowicz w Kosmos" to „prawo Jerzego Owsiaka do opinii o polityku". – To ja mam „przeprosić" Jerzego Owsiaka i zwrócić mu koszty obu instancji... Mam mieć jako polityk grubą skórę, bo ochrona prawna w takich sytuacjach nie należy mi się. Czekam na „konkurs" „Kto zabije Krystynę Pawłowicz" – komentuje gorzko zainteresowana. Ludzie kojarzeni z PiS wciąż są w Polsce zwierzyną łowną.

Szefową kampanii Andrzeja Dudy została Jolanta Turczynowicz-

eprasa.pl e3907b2c07

-Kieryłło, w młodości profesjonalna szachistka, później znana adwokat, wywodząca się z rodziny związanej z Solidarnością. Jej ojciec był pełnomocnikiem i obrońcą Jana Rulewskiego i Michała Bartoszcze, pobitych podczas sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy. Ona sama zaangażowana była w Ruch Społeczny AWS. Ma trójkę dzieci. W sumie nie tylko ciekawy wybór, ale i bardzo perspektywiczny. Może zajść wysoko. Bardzo wysoko. Ale na razie to tylko bilet.



Obok szefowej Jolanty Turczynowicz-Kieryłło w sztabie mają pracować także bardziej doświadczeni politycy. Beata Szydło będzie szefową sztabu programowego, Joachim Brudziński szefem sztabu organizacyjnego, a Adam Bielan rzecznikiem sztabu. „W sztabie są politycy, którzy już niejedną kampanię prowadzili, ale są również nowe twarze" – podsumował prezydent. Mieszanka ciekawa, ale również potencjalnie wybuchowa. Powinien uważać.



W związku z kampanią Piotr Trudnowski z Klubu Jagiellońskiego zdobył się na taką oto refleksję: „Największym zagrożeniem dla Dudy są dziś działania pisowskiego aktywu, medialno-politycznego twardego jądra ekosystemu »dobrej zmiany«. To bracia Karnowscy, Joanna Lichocka, Zbigniew Ziobro i Jacek Kurski mogą odebrać mu szanse na reelekcję. A i sam prezes Kaczyński może prezydentowi bardziej przeszkodzić, niż pomóc". A więc znów czeka nas wysyp Wujków Dobra Rada, którzy co prawda sami walką się brzydzą i niczego nigdy nie wygrali, ale chętnie doradzą kapitulację.



Na kluczową rolę TVP wskazuje także prof. Ireneusz Krzemiński. „Ogromna część Polaków nie dość, że ma te dodatkowe pieniądze, to jeszcze ogląda Telewizję Polską, która jest jedną wielką tubą propagandy prorządowej, propartyjnej, tyle że nie chodzi o PZPR, a PiS. Nic dziwnego, że Sejm uchwalił kolejne 2 mld złotych – powtarzam: dwa miliardy! – na TVP. Widać ogłupienie działa". Wniosek z tego, że naród do mądrości mogą prowadzić jedynie Onety, TVN-y i Agory. Można by nawet uwierzyć, gdyby nie był to już wniosek jednoznacznie sfalsyfikowany.



Prof. Krzemiński sięgnął także po, wydawałoby się, już zapomniane, porównanie PiS do NSDAP. „Chciałbym przypomnieć, że mieliśmy w historii takie doświadczenia jak chociażby w Niemczech w epoce hitlerowskiej, kiedy to zaczadzenie powodzeniem i retoryką narodową, dumy narodowej powodowało, że ogromna większość nie dostrzegała, jak bardzo bandycki, morderczy ustrój popierają" – mówił socjolog. Niestety, nie ujawnił, gdzie powstają obozy koncentracyjne ani jaki numer ma projekt ustawy delegalizującej opozycję lub przynajmniej coś równie groźnego.

Kandydat Konfederacji Krzysztof Bosak zaapelował do prezydenta o weta w sprawie ustawy cukrowej, ustawy dotyczącej wsparcia dla TVP oraz ustawy związanej z reformą emerytalną. Zdaniem Bosaka Andrzej Duda „upodabnia się do b. prezydenta Bronisława Komorowskiego". „Jest to zrobienie dokładnie tego samego, co robiła PO. Kiedy Platforma zabierała oszczędności Polaków, prezydent Komorowski podpisywał takie ustawy" – ocenił Bosak. Ciekawe, czy widzi, że on sam upodabnia się do prezydenta Komorowskiego znacznie szybciej niż Andrzej Duda?

Zapewne nie tak ***Krystyna Janda*** wyobrażała sobie postępowe i antypisowskie rządy Rafała Trzaskowskiego. „W tym roku Warszawa pierwszy raz od 13 lat nie będzie miała letniego teatru na placu Konstytucji i Grójeckiej. Wysokie komisje konkursowe nie przyznały nam na tę akcję dotacji. Ani z ministerstwa, ani z miasta" – informuje aktorka, wciąż spokojnie, bo przecież nie chodzi o PiS. Ale bez paniki: Fundacja na rzecz Kultury Krystyny Jandy ma już zapewnioną trzyletnią dotację w wysokości 1,8 mln. Będzie można dalej grać smętne monodramy i nieśmieszne komedie.

Amerykańska agencja prasowa Bloomberg poinformowała, że Dominika Kulczyk kupiła sobie w Londynie dom za niemal 75 mln dol., czyli prawie 300 mln zł. Zdaniem dziennikarzy Bloomberga to dowód na to, że rynek luksusowych nieruchomości odzyskuje swoje życie. Zdaniem Polaków to dowód na dwie sprawy. Po pierwsze, przejazd autostradą do Poznania i dalej na Zachód jest naprawdę łupiestwem. Po drugie, dla niektórych to była bardzo udana transformacja.

Sprawę skomentował ***Jan Śpiewak***. „Dominika Kulczyk kupiła za odziedziczone pieniądze ojca, który dorobił się miliardów na prywatyzacji publicznego majątku, dom w Londynie za 300 mln zł. W marcu pojawi się w TVN, odwiedzając kraje Trzeciego Świata, by >>opowiedzieć o historii osób zmagających się z wieloma problemami<<"– stwierdził ironicznie. Zareagował Leszek Balcerowicz, zarzucając Śpiewakowi, że to „wypowiedź w bolszewickim stylu". Lata mijają, a Balcerowicz wciąż na etapie kapitalistycznej broszurki dla początkujących.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x3

eprasa.pl e3907b2c07

Na Dudę!

Apartament dla VIP-ów w jednym z warszawskich hoteli. Okna zasłonięte, na stole dogasa ostatnia świeczka, a cienie na ścianach majaczą nie gorzej niż ich właściciele, 14. godzina spotkania...



KRZYSZTOF FEUSETTE

Biedroń: Słuchajcie, heloł, przecież ja mogę polecieć do Brukseli i powiedzieć, że Duda to jest homofob. I że ma na drzwiach do sztabu naklejkę „Stop LGBT"!

Kidawa: Ale kłamać jest niełądnie.

Biedroń: Tak? A która partia nam małżeństwa obiecała?

Kidawa: Proszę pana, niech pan ode mnie nie wymaga, żebym panu żony szukała.

Biedroń: Ale ja nie chcę żony!

Kosiniak: Drogi kolego, znowu kolega zaczyna od strony, że tak powiem, odwrotnej. To nie jest debata telewizyjna, do której przy okazji zachęcam, pani Małgosiu...

Kidawa: Daruje pan, ale o czym ja, osoba z takimi korzeniami, miałabym debatować z kimś takim jak pan? To po primo, a po secundo – ustaliliśmy ze sztabem absolutnie nowatorską strategię na czas kampanii wyborczej. Po prostu ma być mnie troszkę mniej. Okazuje się, że ludzie coraz lepiej mnie rozpoznają, ale jednocześnie za szybko się na mnie poznają. Przetestowaliśmy to już przy okazji prezentacji mojego hasła na kampanię, gdzie mnie nie było, i to do tego stopnia, że nawet osoba na billboardzie była nie do końca podobna. Brałam wtedy udział w nabożeństwie nazwania jednego z parkowych chodników w stolicy aleją Pawła Adamowicza. Swoją drogą, taki znawca problemów deweloperów i żeby przy jego ulicy nikt nie mieszkał? Nawet pieski przystają tylko na chwilę, zresztą o mały włos bym wdepnęła jeszcze gorzej niż w kampanię...

Biedroń: Bo pani jest nieprawdziwa!

Kidawa: O, i właśnie przez takie wypowiedzi będziemy mieli w Polsce tragedię „Romea i Julii"...

Biedroń: Raczej Romana i Juliana!

Hołownia: Nie mogę. No, nie mogę tego słuchać, gdy sobie pomyślę, że za rok, miesiąc, a może już jutro skończy się w Polsce woda. Jeśli nie odsuniemy Dudy, nasze karpie, świeć Panie nad ich skrzelami, będą pływać w pustych wannach! Mnie osobiście na Sądzie Ostatecznym mają oceniać jakieś świnie, ale czy w ogóle do niego dojdzie, skoro wszyscy wcześniej umrzemy?

Kidawa: Chyba pana przytulę. Nareszcie pan mówi jak jeden z nas. I spieszę panu zdradzić, że mamy już świetne hasło: „WyPAD 2020".

Biedroń: „Wy – PAD". A „my" – kto?

Kidawa: No, jak to? W sensie: wy – wypad, a my...

Bosak: Odpad.

Kidawa: Może napad? Sama nie wiem, to wymyślili moi przyjaciele z Komitetu Centralnego Demokracji... To znaczy, o święty Donaldzie – znowu się przejęzyczyłam...

Kosiniak: Spokojnie, to nie wyjdzie poza to pomieszczenie. À propos – gdzie są kelnerzy?

Biedroń: No, chyba że pani sama rozpowie w ramach kolejnej wpadki...

Kidawa: Za to panu żadna „wpadka" na pewno nie grozi...

Kosiniak: Ja apeluję...

Hołownia: Kochani...

Kosiniak: Ja panu nie przerywałem!

Hołownia: A teraz?

Bosak: To ja rezygnuję. Wam kury szczać prowadzać, a nie na Dudę polować. Ja przynajmniej powiedziałem publicznie, że jest podobny do Komorowskiego, a wy? Mieliśmy ustalić, kto za co odpowiada: kto bije za aborcję, a kto za in vitro, kto za węgiel z Rosji, a kto za sojusz ze Stanami! Kto wzywa do debaty, a kto wyzywa od „ch..."!

Kidawa: Spokojnie, panie Grzesiu...

Bosak: Krzysiu...

Kidawa: Jeśli już, to „Gosiu", młodzieńcze. Przypominam, że mówisz do damy...

Hołownia: Dodamy albo nie dodamy. Ja mam to przemyślane z doradcami i uchylę wam rąbka – chodzi właśnie o to, żeby dodać do siebie nasze elektoraty. Bo my musimy wygrać. My musimy przewrócić, przepraszam, przywrócić...

Kosiniak: Dobrze już, dobrze. Pan ma w ogóle jakieś hasło?

Hołownia: A pan ma?

Kosiniak: Owszem. „Nadzieja dla Polski".

Bosak: Jak? „Beznadzieja..." i co dalej?

Kosiniak: Beznadziejne to akurat były pana tańce latino w TVN, jak pan się w tej sambie omal nie zabił. Taki z pana Travolta, jak ze mnie Witos. Ale dziś musimy grać do jednej bramki, więc ustalmy nareszcie, kto ma największą szansę na pokonanie Dudy...

Kidawa: Pan raczy sobie robić tak zwane jaja. O tym zdecydowały już wyniki sondaży...

Hołownia: Ja protestuję! Każdy z nas może wejść do drugiej tury jako oficjalny Kandydat Totalnej Opozycji Który Odda Ludziom Wielkim Ich Europejskie Korzyści, w skrócie KTOKOLWIEK. Ale wszyscy wspólnie musimy teraz pracować dla tego kraju, dla wody w kranie, dla drzew, które czekają na adopcję...

Kidawa: Dla Europy po prostu, panie Szymonku [*podaje mu dwie kartki*]. O, proszę bardzo, tutaj pan podpisuje, że nie będzie krytykować innych kandydatów oprócz Dudy, a tu jest ściągaweczka, jak się wydostać z budynku. No, to do widzenia... A, nie, stój! Przecież jeszcze przytulanko na koniec! Psiakrew, no i bym zapomniała...

Reklama | 31/0220/F

eprasa.pl e3907b2c07

POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE
Spółka Akcyjna

#ZMIENIAMYDWORCE
NAJWIĘKSZA MODERNIZACJA DWORCÓW

Podróżni mogą już skorzystać z **15 dworców kolejowych** zmodernizowanych w ramach Programu Inwestycji Dworcowych!

W pierwszym półroczu jest planowane otwarcie kolejnych pięciu dworców.



Obecnie:

42% inwestycji na etapie procesu budowlanego
(prace budowlane i przetargi na wybór wykonawcy prac budowlanych)

40% inwestycji na etapie procesu projektowania
(prace projektowe i przetargi na wybór wykonawcy prac projektowych)

10% inwestycji na etapie przygotowania

eprasa.pl e3907b2c07

WIEŻA BAB

Stan umysłu

Cafe Równik to na mapie Wrocławia (i Polski) wyjątkowe miejsce, gdzie gości obsługują kelnerzy, którym życie rzuciło pod nogi różne kłody. Jednym w postaci zespołu Downa, innym zespołu Aspergera, jeszcze innym autyzmu. Jednak każdy z zatrudnionych w Cafe Równik kelnerów to prawdziwa osobowość. Wszyscy przekroczyli bariery, które wydawały się nieprzekraczalne. Wszyscy są podopiecznymi prof. Małgorzaty Młynarskiej i dr. Tomasza Smereki z Uniwersytetu Wrocławskiego. Dla nich taka praca to doskonała terapia i nauka życia. Dla gości dobre korepetycje z człowieczeństwa.

Niestety okazuje się, że nie wszyscy goście potrafią wyciągnąć dla siebie właściwą lekcję. W Cafe Równik pojawiła się ostatnio rezerwacja, w której tzw. pełnosprawni goście zażyczyli sobie pełnosprawnej obsługi. Być może nie wiedzieli, że to zwyczajnie niemożliwe, ponieważ ta kawiarnia to miejsce terapii. Klubokawiarnia jest kontynuacją statutowej działalności Stowarzyszenia Twórców i Zwolenników Psychostymulacji, które zajmuje się terapią mowy i myślenia osób autystycznych, z zespołem Downa i z upośledzeniem intelektualnym. Kelnerzy pracujący w Cafe Równik to w większości uczestnicy tej terapii, którzy pracują nad mową nawet od 25 lat.

Kawiarnia powstała w czerwcu 2018 r. Jednak żeby zrozumieć, jak wiele Cafe Równik znaczy dla wszystkich związanych z nią osób, trzeba się cofnąć w czasie kilka dekad. Prof. Młynarska, prezes wspomnianego stowarzyszenia, od ponad 40 lat zajmuje się terapią osób z zaburzeniami mowy. Tych z autyzmem, afazją, po wylewach. Z czasem zaczęła prowadzić równolegle badania naukowe w tym kierunku. W 1990 r. prof. Młynarska wraz z dr. hab. Tomaszem Smereką opracowali autorską metodę terapii zwaną Dyna-Lingua M.S. Okazało się, że pomysły terapeutyczne duetu naukowców przyspieszają proces włączania ich podopiecznych w proces komunikacji. Upraszczając, Dyna-Lingua M.S. to metoda holistyczna, oparta na pracy z całym ciałem podopiecznego, nieograniczająca się wyłącznie do pracy z aparatem mowy. Naukowcy zauważyli, że przetwarzanie informacji, rozwój myślenia są tak samo ważne, jak artykulacja. Duet rozwijał metodę pod patronatem Uniwersytetu Wrocławskiego, pod opieką prof. Jana Miodka. W tym czasie powstał profesjonalny ośrodek terapeutyczny. Dziś zatrudnieni w kawiarni kelnerzy to w części dzieci, które trafiły do zespołu naukowców grubo ponad 20 lat temu, gdy zaczęli oni rozwijać swoją metodę terapeutyczną. Dzieciaki dojrzewały pod okiem naukowców, a wraz z nimi dojrzewała Dyna-Lingua M.S. Jednak gdy dzieci dorosły, pokończyły szkoły, ich rodzice zaczęli zadawać pytania: „Co w dorosłości będą robić nasze dzieci?”. Cafe Równik to jedna z odpowiedzi na to pytanie.



To prawda, że zatrudnieni w kawiarni kelnerzy mogą nie być perfekcyjni, jeśli chodzi o obsługę. Bywa, że kelner zaraz po wejściu klientów do lokalu zapyta, co podać, nim ci zdążą pomyśleć. Bywa, że kelnerzy zadają szczegółowe pytania o zawód gościa lub o to, skąd przyjechał (obsługujący mnie kelner zasypał mnie wręcz lawiną pytań – po prostu był ciekawy). Bywa i tak. Kelnerzy nie zawsze wyczuwają, czy to już odpowiedni czas na podejście, czy jeszcze nie. Ale uczą się i chcą pracować. Chcą być potrzebni. Im więcej będzie trudnych sytuacji, tym szybciej nauczą się odpowiedniego zachowania. Każdy gość pełni w Cafe Równik funkcję terapeuty. Obsłudze trzeba wyraźnie mówić, czego się potrzebuje. Kelnerzy są nauczeni spokojnego przyjmowania uwag. Przy odrobinie dobrej woli ze strony klientów każdy z nich wykona daną czynność jak należy, a za popełniony błąd przeprosi. Obsługę zamiast krytykować za błędy, trzeba chwalić za to, co zrobili dobrze. To jest im bardzo potrzebne. Oni każdego dnia udowadniają, że niemożliwe nie istnieje.

Zastanawiam się w tym miejscu, czy osoba, która dokonując rezerwacji, poprosiła o pełnosprawną obsługę, pomyślała, jak bardzo takie życzenie może dotknąć pracujących tam kelnerów? Wątpliwe. Podejrzewam, że każda z zatrudnionych w kawiarni osób ma większe pokłady empatii niż pełnosprawny człowiek, który wyraził takie życzenie. Wielokrotnie miałam okazję się przekonać, że niepełnosprawność to nie tyle ograniczenia ciała, ile po prostu stan umysłu.

Dorota Łosiewicz

Reklama | 22/1219/F

NAJ
NIE
BIERZE SIĘ
ZNIKĄD





Zimą wybierz paliwo NAJwyższych lotów

Paliwo Arktyczny Dynamic sprawia, że nie musisz martwić się rozruchem silnika aż do **-32 °C**.
Ciesz się dynamiczną i efektywną jazdą nawet w najtrudniejszych warunkach.

ARKTYCZNY Dynamic

LOTOS

Generalny Sponsor Polskiego Narciarstwa

eprasa.pl/e3907b2c07

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Róbmy kanał i miłość



Jan Pietrzak

Naga para na terenie Mierzei Wiślanej demonstrowała pod hasłem: „Róbmy miłość, nie kanał". Kalka starego hasła zachodnich pacyfistów, sponsorowanych przez ZSRR: „Make love, not war", w czasach zimnej wojny. Miłość można robić wszędzie, jak żartowano w przedwojennej piosence: w pociągu, w przeciągu, na drągu. Natomiast wyjaśnijmy nagiej parze udającej ekologów, że kanały przekopuje się, bo są potrzebne. Tak powstały kanały Sueski, Panamski i wiele innych. Odgrywają wielką rolę gospodarczą, polityczną itd.

Na uroczystość uruchomienia Kanału Sueskiego Verdi napisał operę „Aida". Najgorszą sławą cieszy się kanał łączący Bałtyk z Morzem Białym. Po rosyjsku: Biełomorkanał, przy którego budowie pracowali niewolnicy sowieckiego przedsiębiorstwa pod nazwą Gułag. Jak napisał Sołżenicyn, życie straciło przy tej robocie 250 tys. osób, jeden człowiek na metr kanału. W sferach cenzorskich PRL popularne było rosyjskie powiedzonko: „Biełomorkanał pastroili anegdotcziki" (zbudowali żartownisie), które z uśmieszkiem przypominano mi w cenzurze przy ul. Mysiej, kiedy wykłócałem się o jakiś skreślany żart. Np. kiedy wspominałem hasło Lenina (bez nazwiska oczywiście), że komunizm to władza rad + elektryfikacja. Elektryfikacja świeci w każdej żarówce, mówiłem, rad mamy od cholery, od osiedlowej do Rady Państwa, a komunizmu nie widać. To duże rozczarowanie. Te słowa zostały skreślone. Zrobiłem poprawkę, że komunizm to władza rad plus kanalizacja. Jakoś przeszło.

Dygresje wciągają mnie we wspomnienia. Wracając do protestujących ekologów, zbyt często ich akcje dziwnym trafem współgrają z polityką Moskwy, zbyt często nie służą środowisku, a szkodzą Polsce. Czy to może być przypadek? Otóż takich przypadków w przyrodzie ani w komunie nie ma. Biedroń w europarlamencie donosił: „W moim kraju są ludzie gorsi od komunistów". Znajomek zapytał przez telefon: „Co ten Biedroń pieprzy?". Odpowiedziałem: „Wiem, ale nie powiem". Bo teraz panuje gorsza cenzura niż za komuny – poprawność polityczna. Jak człowiek takim LGBT podpadnie, zaszczuwają tygodniami. A ja nie mam sił się użerać z anonimowymi obelgami. Lekarz mi zabronił i żona też.



Humor z dreszczykiem

Z Marią Pakulnis rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Nie mogę oderwać wzroku od pani stylizacji. Już jest pani w roli?

Maria Pakulnis: To cudowne, że tak zadbano o wszystkie szczegóły tego spektaklu. Każdy element współtworzy jego klimat – i kostiumy, i charakteryzacja, i detale scenografii. Ten spektakl nie idzie na łatwiznę.

„Upiór w kuchni", który zagościł w Teatrze Kamienica, to historia bardziej z dreszczykiem czy humorem? A może z podpiwnicznym drugim dnem?

Z każdą z tych opcji. Dużo intrygujących rzeczy kryje się w tym naszym uroczym pensjonacie. Myślę, że warto go zobaczyć. Zwłaszcza że to pełnowymiarowy spektakl, który ma swoją historię i precyzyjnie skonstruowane postaci. Ma też specyficzny, cudowny angielski humor.

Czy „Upiór..." w Kamienicy to ukłon w stronę pamiętnej premiery Teatrze Sensacji „Kobra"?

Oczywiście, że tak. Pamiętam klimat tamtych telewizyjnych spektakli.

I Irenę Kwiatkowską w pani roli?

Wcześniej Laurę Collins grała Zofia Mrozowska (była w obsadzie z roku 1976; a Irena Kwiatkowska w 1993 r. – przyp. red.). Grali w tych spektaklach znakomici, wybitni artyści. Nieszukający poklasku ani śmieszności, bo to nie jest celem tej formy.

Kogo do najnowszej obsady zaprosił jeszcze, występujący w roli reżysera, Tomasz Sapryk?

Andżelikę Piechowiak, Krzysztofa Kiersznowskiego, Mirosława Zbrojewicza, Sebastiana Konrada, Jerzego Bończaka, Michała Pielę na zmianę z Maciejem Wierzbickim oraz Sławomira Orzechowskiego. Zapewniam, że będzie ciekawie.

Fot. Gałązka/AKPA

eprasa.pl e3907b2c07

BRONISŁAW WILDSTEIN

Palec Lichockiej

Oczyma duszy widzę manifestację, na której czele kroczą: Magdalena Adamowicz, Aleksander Kwaśniewski, Józef Pinior i Stanisław Gawłowski pod transparentem: „Pieniądze CBA dla chorych”



Posłanka PiS Joanna Lichocka pokazała opozycji w Sejmie środkowy palec. Ona sama twierdzi, że stała się obiektem manipulacji, a wyrwana z sekwencji gestów stopklatka niczego nie dowodzi. Tych, którzy, niezależnie od jej woli, poczuli się obrażeni, przeprosiła. Nie możemy mieć pewności, jak było, ale przyjmując nawet, że posłanka gest ów świadomie uczyniła, należy uznać, że to sprawa błaha, a wystąpienie zainteresowanej ją zamyka. Okazuje się jednak, że nic podobnego. Dla opozycji i jej medialnej emanacji to najważniejsze wydarzenie epoki. Ważniejsze od budżetu, relacji międzynarodowych, kierunków naszej polityki. I trzeba przyznać, że w medialnej rzeczywistości, w jakiej żyjemy, ten nic nieznaczący incydent toczy się jak kula śniegowa.

Zajmuję się nim dlatego, że demonstruje on metodę uprawiania polityki przez obecną opozycję, a generalnie rzecz biorąc dominujące siły III RP. Jak mało co pokazuje przekształcanie jej w groteskową farsę, która przy ciągle występującej przewadze medialnej „salonu” pozwala unikać poważnej dyskusji i ośmieszać tudzież dezawuować swoich przeciwników. Strategia ta polega na wyłapywaniu pojedynczych, zwykle zmanipulowanych sformułowań z ich wypowiedzi, aby – odpowiednio spreparowane – przedstawić je jako program polityczny, który następnie wszelkim środkami będzie zwalczany. Banalna uwaga Kaczyńskiego, że zawsze występował w naszym kraju „najgorszy sort Polaków”, który posuwał się do zdrady w celu realizacji swoich interesów, przekształcona została w tezę, że lider PiS uważa swoich przeciwników za najgorszy sort.

Ten szczególny nadzór powoduje, że nawet cytaty z klasyków – frontmani III RP nie należą do szczególnie wykształconych – stają się powodem do oburzenia i ataków. Nierozpoznany cytat z Kornela Ujejskiego „inni szatani byli tam czynni” miał się stać dowodem na satanistyczną wizję polityki w wydaniu polityka PiS. Strawestowany fragment z „Kwiatów polskich” Tuwima, którego użył prezydent Duda, dał okazję do rozwodzenia się nad jego czarnosecinną mentalnością ze strony Jarosława Kurskiego. Itp.

Drugą stroną tej strategii jest najdziksza demagogia, bo tym było przeciwstawianie leczenia raka wydatkom na telewizję publiczną. W ten sposób, odwołując się do emocji, można uderzyć w istnienie państwa, a w każdym razie niebezpiecznych dla siebie instytucji. Postkomuniści twierdzili zawsze, że pieniądze przeznaczone na IPN można wydatkować lepiej, choćby na służbę zdrowia. „Zamiast grzebać się w teczkach, leczmy ludzi!” – czyż nie piękne hasło?

Ludzie będą chorować i umierać bez względu na to, ile pieniędzy przeznaczylibyśmy na ich opiekę, a gwałtownie rozwijający się i generujący ogromne zyski przemysł farmaceutyczny zeżre dowolne fundusze, zawsze więc można będzie zawołać: „Ratujmy ludzi, a nie...” – tu wsadzić można dowolne, wygodne hasło. Ledwie zdążyłem o tym pomyśleć, a już notoryczny łgarz Robert Biedroń ogłosił: „Albo rakiety, albo szpitale”.

Media publiczne istnieją w każdym demokratycznym państwie, co naturalnie musi pociągać za sobą koszty, ci więc, którzy zagrożeni są wprowadzanym przez nie pluralizmem, będą wołać, aby pieniądze na nie przeznaczyć na służbę zdrowia. Faktem, że to dziś budowany jest nowy program onkologiczny, o którym, kiedy obecna opozycja była przy władzy, nawet nie pomyślała, nikt się nie przejmuje. Oczyma duszy widzę manifestację, na której czele kroczą: Magdalena Adamowicz, Aleksander Kwaśniewski, Józef Pinior i Stanisław Gawłowski pod transparentem: „Pieniądze CBA dla chorych”.

Aktualnie trwa festiwal oburzenia na palec Lichockiej, który przesłonił wszystko. Małgorzata Kidawa-Błońska, wychwalająca bojówki KOD obrzucające w trakcie państwowego święta najgorszymi obelgami urzędującego prezydenta, nie może dojść do siebie z powodu wzmiankowanego członka. Podobnie Bronisław Komorowski, który publicznie cieszył się z fizycznego ataku na Krystyną Pawłowicz. Palec Lichockiej tak głęboko wszedł (w świadomość) Monice Olejnik, że zwróciła się o interwencję do Kaczyńskiego – tak, to ta sama, która za obrażanie prezydenta Kaczyńskiego i organizowanie na niego nagonki pieściła na swoim telewizyjnym łonie polityczną kanalię – Palikota. Biedroń, który na forum PE oskarżał rząd PiS za nie jego inicjatywę i domagał się za to (skutecznie) potępienia Polski, nie może opanować oburzenia. Prawdopodobnie wystąpi do UE z żądaniem potępienia nas za gest nienawiści Lichockiej wobec środowiska LGBT. Szymon Hołownia ma pisać list do papieża...

Może więc gest Lichockiej był potrzebny? Może tym palcem dotknęła i przepchnęła siły III RP?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e3907b2c07

Norwegia

Gorący Spitsbergen

Audun Halvorsen, sekretarz stanu w norweskim MSZ, zapewnił stanowczo, że Norwegia nie będzie dyskutowała z Rosją na temat swoich terytoriów. Stanowisko to jest odpowiedzią na oficjalny list Siergieja Ławrowa, który ten na początku lutego skierował do Oslo w związku z setną rocznicą podpisania międzynarodowej umowy regulującej status Spitsbergenu.

W niesłychanie ostrym, nawet jak na standardy rosyjskiej dyplomacji, wystąpieniu, Moskwa oznajmiła, że umowa dotycząca archipelagu została zawarta w czasie, kiedy państwo rosyjskie było osłabione w wyniku wojny światowej oraz rewolucji i gdyby nie ten fakt, to Rosja nie zgodziłaby się na przyjęty wtedy status Spitsbergenu. Skoro jednak podpisano porozumienie, to Federacja Rosyjska domaga się teraz literalnego wypełnienia jego zapisów, które przewidują równy dostęp innych państw do wysp archipelagu, nad którymi suwerenność sprawuje Norwegia. Chodzi nie tylko o rozszerzenie obecności gospodarczej (Federacja Rosyjska ma na największej wyspie Spitsbergenu niewielką kopalnię węgla kamiennego), ale również o norweskie regulacje ekologiczne, których celem jest ochrona lokalnych ekosystemów. A z tym Rosjanie nie chcą się zgodzić, bo zależy im zarówno na możliwości połowów, jak i na geologicznej penetracji zasobnych w rudy metali wysp.

Jednak kluczową kwestią, jak uważają specjaliści, jest geostrategiczne położenie Spitsbergenu, który uznawany jest za „pozycję ryglową" blokującą dostęp do wód arktycznych i tzw. północnej drogi morskiej. Rosjanie protestują też w związku z norweskimi ograniczeniami w zakresie wykorzystywania lądowisk śmigłowcowych. Dyplomatyczna aktywność Moskwy ma nie tyle zakwestionować prawny status wysp, ile raczej uniemożliwić, nawet w bliżej nieokreślonej przyszłości, wykorzystanie ich jako placówki obserwacyjnej czy miejsca, gdzie znaleźć się mogą siły wojskowe należącej do NATO Norwegii. Z rosyjskiego punktu widzenia jest to tym istotniejsze, że w ostatnich latach ponieśli wielkie nakłady na odbudowę swych baz wojskowych zlokalizowanych na dalekiej Północy i obecna ofensywa dyplomatyczna ma utrwalić rosyjską przewagę wojskową w tej części świata.

Halvorsen, występując na konferencji w położonym na norweskiej północy Kirkenes, potwierdził, że „Rosja regularnie przeprowadza w naszym regionie ćwiczenia wojskowe na wielką skalę zarówno na morzu, jak i na lądzie, a niekiedy ta aktywność ma miejsce dosłownie w naszym sąsiedztwie".

Marek Budzisz



Fot. Anton Afanasev/Shutterstock.com

Włochy

San Remo drwi z chrześcijan

We Włoszech nie milkną echa zakończonego niedawno festiwalu piosenki w San Remo. Była to jubileuszowa 70. edycja słynnej muzycznej imprezy zainicjowanej w roku 1951. To tam zaczęła się kariera takich sław, jak Domenico Modugno, Adriano Celentano, Toto Cutugno, Eros Ramazzotti czy Romina Power i Al Bano.

W tym roku o festiwalu było głośno głównie na skutek kilku spektakularnych występów, które odebrane zostały przez wielu włoskich katolików jako obraźliwe wobec chrześcijaństwa. Po pierwsze, imprezę otworzył znany satyryk Fiorello, przebrany w strój księdza. Opowiadał dowcipy odziany w sutannę, traktując ją jako naturalny ubiór komika lub klowna. Po drugie, na scenie pojawił się popularny włoski raper Achille Lauro, który zrzucił z siebie płaszcz i stanął przed widownią ubrany w obcisłe body w cielistym kolorze sugerujące nagość. Porównał się do św. Franciszka z Asyżu wyrzekającego się dóbr materialnych, by wybrać dolę ubogiego zakonnika, choć wiadomo, że sam piosenkarz preferuje zupełnie inny styl życia. Obaj celebryci sięgnęli po katolicki kostium w niezgodzie z jego rzeczywistym znaczeniem.

Największe kontrowersje wzbudził jednak występ zdobywcy Oscara – Roberta Benigniego, który wyrecytował własną wersję Pieśni nad Pieśniami. Biblijny tekst w jego wykonaniu różnił się znacząco od oryginału. Co więcej, aktor stwierdził, że utwór w wersji kanonicznej, jaką znamy z Pisma Świętego, został w rzeczywistości ocenzurowany przez teologów, których raziło, że bohaterem kantyku jest kobieta, a tematem seks. Benigni przedstawił więc własną wersję pieśni, postmodernistyczną i wypraną z duchowości judaistycznej i chrześcijańskiej. W swym komentarzu dodał, że jest to hymn o miłości we wszystkich jej formach: „kobiety z mężczyzną, kobiety z kobietą i mężczyzny z mężczyzną". Otrzymał za to od publiczności gorące brawa. Najdziwniejsze pozostaje to, że entuzjastyczną recenzję występu Benigniego zamieścił dziennik „Avvenire" – organ prasowy Episkopatu Włoch.

Grzegorz Górny

eprasa.pl e3907b2c07



Serbia

Cień Sorosa?

„To są zmanipulowani ludzie, którzy zostali ściągnięci fałszywymi obietnicami, że ktoś im otworzy granice". W taki sposób serbski minister obrony Aleksandar Vulin skomentował sytuację na granicy z Węgrami, gdzie kilkuset imigrantów z Afryki oraz Bliskiego Wschodu domagało się wpuszczenia na obszar Unii Europejskiej.

Imigranci zebrali się w czwartek 6 lutego na przejściu granicznym Kelebija, po wcześniejszej akcji informacyjnej zorganizowanej na portalach społecznościowych. Policja węgierska natychmiast zamknęła przejście, uniemożliwiając wtargnięcie imigrantów, którzy koczowali w zaimprowizowanym naprędce obozie w lesie po stronie serbskiej. Przybysze mieli ze sobą transparenty z napisami: „Nie jesteśmy kryminalistami" i „Chcemy lepszej przyszłości dla naszych dzieci". Wśród demonstrujących było wiele rodzin z Syrii, Iraku i innych państw Bliskiego Wschodu.

Minister Vulin, który tego dnia pojawił się na granicy, oskarżył organizacje pozarządowe o pomoc w zorganizowaniu demonstracji. „Najróżniejsze organizacje pokazywały tym ludziom zdjęcia autobusów pełnych imigrantów przekraczających granice... Serbia wie, co to humanitaryzm, ale nie pozwolimy nikomu nadużywać naszej gościnności" – powiedział. Następnego dnia policja serbska wypchnęła uchodźców z powrotem do obozów w głębi Serbii.

Po jakimś czasie sprawa znowu wypłynęła. Część serbskich mediów, odnosząc się do słów Vulina na temat mieszania się organizacji pozarządowych, zacytowała wypowiedź Györgya Bakondiego, doradcy premiera Węgier Viktora Orbána do spraw bezpieczeństwa. Stwierdził on, że przed kryzysem na granicy w mediach społecznościowych pojawiły się fałszywe informacje. „Twierdziło się w nich, że [imigranci] będą mogli przejść przez granicę, jeśli pojawią się tam z dziećmi. Do tych wiadomości dołączone zostały nieprawdziwe filmy" – powiedział Bakondi i dodał, że – według jego danych – za wszystkim kryje się organizacja pozarządowa kontrolowana przez amerykańskiego miliardera George'a Sorosa. Bakondi stwierdził też, że wydarzenia te są ściśle powiązane z tym, co dzieje się dzisiaj w Unii Europejskiej, m.in. z głosowaniem na temat wspólnego budżetu. Zdaniem polityka niektórym środowiskom liberalnym zależy na tym, aby w tym kluczowym momencie „pokazać Węgry w złym świetle".

Oprócz Vulina nikt z serbskich funkcjonariuszy otwarcie nie wypowiedział się w tej kwestii. Mówi się tylko o tym, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy wzrosła liczba prób nielegalnego przekroczenia granicy z Węgrami.

To nie pierwszy przypadek, gdy ministrowie z państw znajdujących się na szlaku migracyjnym oskarżają organizacje pozarządowe o manipulowanie imigrantami. Półtora roku temu chorwacki minister spraw wewnętrznych Davor Božinović oskarżył dwie organizacje o przekazywanie imigrantom pieniędzy oraz wskazówek, jak można nielegalnie przekroczyć granicę z Chorwacją. Obie organizacje zdementowały potem jego słowa.

Goran Andrijanić

USA

Bezdomność w Kalifornii

Jeżeli Arnold Schwarzenegger dziękuje za cokolwiek prezydentowi Donaldowi Trumpowi, to znaczy, że stało się coś bardzo poważnego. Były republikański gubernator Kalifornii i ikona kina akcji należy dziś do zagorzałych krytyków Trumpa. Co ciekawe, to właśnie on, jednak bez powodzenia, przejął po Trumpie prowadzenie telewizyjnego show „The Apprentice" nadawanego przez stację NBC.

Obaj za sobą nie przepadają, czemu nieraz dawali publicznie wyraz. Teraz jednak „Terminator" podziękował Trumpowi oraz sekretarzowi urbanizacji Benowi Carsonowi za pomoc w walce z bezdomnością w Los Angeles. „Rozwiążemy ten problem tylko wspólnie. Problem jest poważniejszy niż nasze spory. Teraz jest czas na podjęcie działań" – napisał na Twitterze Schwarzenegger.

Według statystyk Departamentu Zdrowia hrabstwa Los Angeles w 2018 r. zmarło dwa razy więcej bezdomnych (ponad tysiąc osób) niż jeszcze sześć lat wcześniej. Według raportu z końca zeszłego roku głównymi przyczynami zgonów bezdomnych były choroby serca oraz przedawkowanie alkoholu lub narkotyków. Na końcu znalazły się zabójstwa i samobójstwa. Według różnych szacunków w Los Angeles żyje dziś ok. 59 tys. bezdomnych i ich liczba stale się powiększa. W ciągu ostatniego roku wzrosła o 12 proc. Mieszkają głównie w namiotach i samochodach. Najwięcej koczuje wokół plaż (nawet słynna Venice Beach nie jest wolna od bezdomnych). Według agencji Reuters za problem rosnącej bezdomności odpowiadają lawinowo rosnące koszty mieszkaniowe oraz stagnacja wynagrodzeń. Nie można też zapominać, że w Kalifornii mieściło się wiele firm obsługujących wojsko. W czasie zimnej wojny ich pracownicy mogli za jedną pensję utrzymać dom. Po zakończeniu wyścigu zbrojeń Kalifornia straciła wiele zakładów zbrojeniowych. Na to nałożył się jeszcze kryzys finansowy w 2008 r.

Swoje robi też tutejsza polityka mieszkaniowa. Coraz wyższe czynsze są tylko w niewielkim stopniu kontrolowane przez władze. Wylicza się, że spośród 4 mln mieszkańców Los Angeles ponad 780 tys. przeznacza aż 90 proc. swoich zarobków na zapłatę czynszu. W grudniu ub.r. „Los Angeles Times" nawoływał, aby wprowadzono w hrabstwie regulacje wysokości czynszów, podobne do tych, jakie wprowadzono w Nowym Jorku.

Kwestie te stały się tak pilne, że może ona wpłynąć na lokalne notowania wyborcze kandydatów do Białego Domu. Właśnie potrzebami kampanii wyborczej tłumaczy się decyzję sekretarza urbanizacji Carsona, który przeznaczył 20 mln dol. pomocy rządowej dla dziewięciu agencji budujących domy czynszowe.

Pojawia się jednak pytanie, czy same pieniądze wystarczą, skoro wielu bezdomnych przyjeżdża do Kalifornii z innych stanów? I będą nadal przyjeżdżać. Choćby dlatego, że jest tu ciepły klimat.

Łukasz Adamski

eprasa.pl e3907b2c07

OGNIEM NA WPROST

Para – buch! Koła – w ruch!



Dawn Butler jest ważną postacią w brytyjskiej Partii Pracy oraz sekretarzem stanu ds. kobiet i równości, na szczęście tylko w gabinecie cieni. Piszę na szczęście, bowiem to, co wygadywała w najważniejszym brytyjskim mainstreamowym programie śniadaniowym „Good Morning Britain", przechodzi ludzkie pojęcie. Opowiadała mianowicie o swoich nowych ustaleniach w sprawie transgenderyzmu. Zaczęła od stwierdzenia, że „rozmowa o penisach i waginach nie pomaga w dialogu" o występowaniu biologicznej różnicy między kobietą i mężczyzną. Normalnie bez tego nie da się na ten temat rozmawiać, ale kto twierdzi, że pani Butler jest człowiekiem, który jak inni stąpa twardo obiema nogami po ziemi. Potwierdza to kolejna rewelacja, którą wypowiedziała chwilę później, kończąc wywód: „Dziecko rodzi się bez płci. Dziecko jest formowane bezpłciowo na początku". Gdy do tego dodamy, że Dawn Butler wraz z kilkoma innymi ważnymi politykami brytyjskiej lewicy podpisała przysięgę, że będzie walczyć o usuwanie z partii każdego, kto ma transofobiczne poglądy – mamy komplet. Czy pani sekretarz jest przykładem fanatycznej zwolenniczki działań transgresyjnych, czyli przekraczania granic biologii, osobowości oraz norm społecznych, zwłaszcza moralnych? Odpowiedź brzmi – tak. Z przekroczeniem granic obłędu włącznie.

Kawaler Krzyża Kawalerskiego Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej (z nadania prezydenta Kwaśniewskiego) Jan Tomasz Gross w wywiadzie, jakiego udzielił francuskiej katolickiej gazecie „La Croix", znowu oskarża Polaków o antysemityzm i czynny udział w Holokauście. W dodatku powtórzył swoją tezę, że w czasie wojny Polacy mieli zabić więcej Żydów niż Niemców. Zarzuca Polakom „udział na wielką skalę w morderstwie", twierdząc, że w XX w. Polacy masowo dokonywali zbrodni na Żydach, co „działo się na oczach wszystkich". Dostało się też bp. Adamowi Sapieże, który w czasie wojny miał nie protestować przeciwko niemieckiej polityce wobec Żydów, a po wojnie pobudzać polski antysemityzm. „Antysemityzm był integralną częścią katolicyzmu polskiego XX wieku. Uczestnictwo polskich katolików w prześladowaniu i morderstwach swych współobywateli żydowskich było zjawiskiem bardzo rozpowszechnionym w całym kraju" – łgał jak najęty Gross. Wywodów Grossa nie ma sensu już dłużej przytaczać, ale należałoby się zastanowić. Czy przypadkiem, jeśli doszłoby do II tury wyborów prezydenckich w ramach walki o dobre imię naszego kraju, a nie ukrywam – chodziłoby także o tzw. pozyskiwanie elektoratu Konfederacji, wreszcie zabrać temu szkodnikowi sprawy narodowej order zasługi. I cnoty się nie straci, a i rubelek do kieszeni wpadnie.

Dla wielu fanów kolei historia skończyła się wraz z końcem ery pary, czyli parowozów. Dawny romantyzm żelaznych dróg odszedł, a na torach pociągi holują dziś same wynalazki, jak lokomotywy elektryczne, spalinowe, TGV czy jakieś inne dziwaczne pendolina. Na perony nie wjeżdżają już buchające dymem i parą kotły na potężnych kołach, takie jak w słynnym industrialnym filmie Willy'ego Otta Zielkego z 1935 r. „Das Stahltier" („Stalowe zwierzę") czy polskim Andrzeja Munka z 1956 r. „Człowiek na torze". Ale błysnęło światełko w tunelu. Niedawno doszło w Wielkopolsce do kolizji szynobusów. Część składów została wyłączona i obecnie jest w naprawie. I tutaj management PKP stanął na wysokości zadania, postanawiając wykorzystać muzealne zbiory Parowozowni Wolsztyn. „Zamiast wprowadzać komunikację zastępczą, zdecydowaliśmy o obsłudze połączeń pociągiem parowym" – powiedział Arkadiusz Garcon z Kolei Wielkopolskich. I tak pociągiem zaprzężonym w parowóz będzie można przez najbliższe tygodnie pojechać z Wolsztyna do Leszna w dni robocze o 15:49. W drugą stronę skład wyruszy o 17:05. Przewozy realizowane będą słynnymi jednostkami polskiej produkcji Ol-49 i Pt-48, które zostawią za sobą potężny ślad węglowy. Greta Thunberg znowu wpadnie w depresję. „Para – buch! Koła – w ruch!".

W krymskim mieście Eupatoria, 70 km od Symferopola, w parku Przyjaźni stoją stare armaty z czasów II wojny światowej, a koniec głównej alei zwieńcza cementowa płyta z napisem „Nasze pokolenie odebrało Krym, a przyszłe niech odbierze Alaskę". Podobny w formie plazmowego ekranu TV betonowy monument stał jeszcze całkiem niedawno w parku Mirowskim w Warszawie i poświęcony był rewolucyjnemu działaczowi robotniczemu i komuniście Julianowi Marchlewskiemu. Pomnik zdekomunizowano, ale podążając za eupatorskim wzorem, należy go przywrócić. 2020 r. jest rokiem hetmana wielkiego koronnego Stanisława Żółkiewskiego – zdobywcy Moskwy w 1610 r. Obok popiersia wojownika należałoby na płycie umieścić inskrypcję: „Nasze pokolenie odbiło Rzeczpospolitą ze strefy wpływów Rosji, a przyszłe niech odbierze Moskwę".

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e3907b2c07

Cukier nie krzepi



Marta Kaczyńska-Zielińska

W Polsce 25 proc. społeczeństwa choruje na otyłość, a ok. 53 proc. kobiet i 68 proc. mężczyzn ma nadwagę. Ten sam problem dotyczy 18 proc. chłopców i 9 proc. dziewcząt w wieku 18 lat. Konsekwencjami nieprawidłowej wagi nastolatków są m.in. takie schorzenia, jak stan przednadciśnieniowy, cukrzyca typu 2, stłuszczenie wątroby, a także zaburzenia tolerancji glukozy.

Według obliczeń opublikowanych na łamach „Pediatric Obesity", jeżeli obecnie dominujące trendy żywieniowe pozostaną niezmienione, to w ciągu najbliższych kilku lat na świecie będzie 268 mln dzieci z nadwagą, a 91 mln spośród nich będzie się zmagać z ciężką otyłością. Międzynarodowa Organizacja Zdrowia (WHO) alarmuje, że w ciągu ostatnich 40 lat podwoiła się liczba osób z nadwagą. Ten ogólnoświatowy trend jest widoczny także w Polsce. Średnie spożycie słodyczy wynosi u nas 2 kg rocznie na obywatela.

Jedną z inicjatyw podjętych przez WHO w ramach zwalczania otyłości jest zachęcanie państw do dodatkowego opodatkowania napojów zawierających cukier, które zdaniem wielu ekspertów stanowią istotny czynnik nadmiernego przyrostu wagi u dzieci, młodzieży i wśród dorosłych. Środki uzyskane przez państwo od producentów napojów mogą być przekazane na popularyzację zdrowego żywienia i walkę z chorobami cywilizacyjnymi wywoływanymi niezdrową dietą.

Polska zastosowała się do zaleceń – podobnie jak uczyniło to wcześniej wiele innych krajów, w tym Irlandia, Wielka Brytania, Portugalia, Meksyk, Francja, Węgry, Finlandia oraz Norwegia. Prozdrowotne przepisy ustanawiające nowy rodzaj podatku wejdą w życie w lipcu br., co według prognoz może sprawić, że słodkie napoje zdrożeją nawet o jedną trzecią aktualnej ceny. Opłaty będą stałe i zmienne. Stawka pierwszej będzie wynosić 50 gr za litr napoju z cukrem, a drugiej 5 gr za każdy gram cukru powyżej 5 gram/100 ml. W krajach, w których nie obowiązują dodatkowe opłaty za nadmiar cukru, jego zawartość w 100 ml napoju przekracza nawet 9 g. Nowe regulacje obejmą również tzw. energetyki, czyli napoje wzbogacone kofeiną lub tauryną, które będą wymagały opłaty w wysokości 10 gr za litr. Podatek cukrowy zasili budżet kwotą ok. 3 mld zł rocznie. Większość wpływów będzie przekazywana Narodowemu Funduszowi Zdrowia. Pozostała część zostanie rozdysponowana dla gmin i Funduszu Rozwoju Kultury Fizycznej.

Niektóre media starają się czynić z powyższych wyliczeń zarzuty pod adresem rządzących. Koszty otyłości wynoszą w Polsce ponoć 3 proc. PKB. Wydaje się więc oczywiste, że tak pokaźnym wpływom dla NFZ, gmin i ośrodka promującego aktywny tryb życia, można tylko przyklasnąć, a nie za wszelką cenę starać się je krytykować.

Opodatkowanie słodzonych cukrem napojów skłania producentów do obniżenia ilości wymienionego składnika dodawanego do wyrobów. Niektóre wielkie koncerny w celu uniknięcia konieczności zwiększenia kosztów modyfikują receptury swoich produktów. Niewykluczone, że cukier zostanie zastąpiony innymi substancjami słodzącymi, których wpływ na nasze zdrowie nie został jeszcze dokładnie zbadany.

Ograniczenie popularności palenia tytoniu stało się możliwe nie tylko za sprawą podwyższania stawki akcyzy i wprowadzania zakazów, lecz przede wszystkim dzięki wzrostowi poziomu świadomości na temat szkodliwości palenia papierosów i propagowaniu mody na niepalenie.

Konieczne jest dalsze podejmowanie starań o przekonanie społeczeństwa o skali destrukcyjnego wpływu na nasz organizm żywności wysoko przetworzonej, zawierającej znaczne ilości tłuszczu i cukru. Ograniczenie liczby reklam słodyczy adresowanych do dzieci i dorosłych, a także zrozumiałe i atrakcyjne kampanie społeczne promujące zdrowe odżywianie z pewnością mogą wpłynąć na nasze kulinarne gusta, tak by sięganie po słodkości przestało być powszechnym nawykiem od najmłodszych lat.

Panu

Pawłowi Gruzie

Wiceprezesowi Zarządu KGHM Polska Miedź

serdeczne wyrazy współczucia

z powodu śmierci

OJCA

Jerzego Gruzy

składa

Zarząd i Pracownicy Grupy Medialnej Fratria

eprasa.pl e3907b2c07



Walizka Arka Gołębiewskiego

producenta i scenarzysty filmowego

Podróżowałem, odkąd stałem się pełnoletnim turystą. Kamera, którą kupiłem podczas studiów w łódzkiej szkole filmowej, stała się moją towarzyszką i kompasem, który wybiera kierunek podróży. Jeżeli w moim sercu zagrał jakiś temat, to pakowałem sprzęt i jechałem do dowolnego zakątka w świecie: do dorzecza Amazonki, Peru, w Andy, do Tybetu, Kosowa, Japonii, Arizony.

KAMERA



Sony 1000 Mini Dv w latach 90 była technologiczną nowością i kosztowała majątek. Na małych kasetach można było osiągnąć taką definicję obrazu, która po transferze pozwalała na emisję w telewizji, ale również na ekranach kinowych.

KOSZULE



Moim ulubionym ubiorem jest kanarkowo-żółta kamizelka. Moja żona jej nienawidzi, ponieważ jest już mocno sfatygowana, więc żeby jej nie denerwować, powiem kilka słów o koszulach. W różne rejony świata lubię zabierać koszule w kolorach khaki, pozwalające mi się wtapiać w otoczenie.

KSIĄŻKA



Książka nie służy mi do relaksu, lecz do pogłębienia wiedzy i czas na dworcu lub podczas lotu traktuję jako okazję do nadrobienia zaległości. Nie szukam emocjonalnych przeżyć w lekturze, bo tych dostarczają mi podróże, lecz praktycznych informacji.

OBUWIE



Buty są podstawą bezpiecznej wyprawy. Długie buty za kostkę, odporne na wilgoć, błoto, mróz.

ZIOŁA



Gdy lądujemy w Delhi czy Iquitos, podstawą jest, że po każdym posiłku przez minimum dwa dni należy odkazić

eprasa.pl e3907b2c07



organizm dobrym łykiem nalewki z ziół. Lub whisky. Więc zawsze w bagażu mam małą piersiówkę, nie z potrzeby picia alkoholu, ale z przezorności.



APARATY FOTOGRAFICZNE

Fotografowanie plenerów, ludzi, faktur itd. jest ważnym dopełnieniem wypraw. Oprócz klasycznego cyfrowego z dobrym obiektywem do plecaka pakuję analogowego Olympusa z kilkoma rolkami filmów oraz mały, kieszonkowy aparacik, który pozwala na szybkie i dyskretne rejestrowanie ciekawych scen.

SCYZORYK

Dzięki niemu mogę przykręcić kamerę do statywu, uciąć kawałek sznurka, żeby przewiązać rozwalony plecak, czy ukroić kawałek sera kupionego na bazarze. No i oczywiście funkcja korkociągu.



OPASKA FLUORESCENCYJNA

Moja biało-czerwona opaska założona na plecak czy torbę z aparatem jest formą identyfikacji informującej, skąd jestem.

ŚWIĘTY OBRAZEK

Oprócz zdjęcia rodziny zawsze zabieram obrazek świętych. Warto go mieć przy sobie dla boskiej opieki w podróży.





NOTES

Zapisuję adresy osób, z którymi rozmawiam, zagadnienia, które chcę poruszyć podczas wywiadów, złote myśli rozmówców. Robię też szkice plenerów, portrety ludzi, mapy miejsc, w których jestem. Notes to także pamiętnik z podróży.

Wysłuchał i spisał: Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x3)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Owsiak wie lepiej



Dominik Zdort

Nie rozumiem pana Jerzego Zbigniewa Owsiaka. Zbudował ogromną społeczną siłę, Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy, której naczelnym hasłem jest łączenie Polaków. A teraz konsekwentnie niszczy autorytet własnej organizacji. Wiem, że Orkiestra to Owsiak, a Owsiak to Orkiestra i niby może sobie ze swoją własnością robić, co chce, ale naprawdę nie powinno być w jego interesie upolitycznianie WOŚP, bo skutkiem tego jest ograniczanie jej możliwości.

Tym, którzy nie są przekonani, że Owsiak to czyni, przypomnę tylko kilku gości jego festiwalu, który ma być podziękowaniem dla wolontariuszy WOŚP. Zacznijmy od dziennikarzy o jednoznacznych sympatiach politycznych: Kamil Durczok, Tomasz Lis, Michał Ogórek, Monika Olejnik, Janina Paradowska, Tomasz Sekielski, Jacek Żakowski. Dorzućmy polityków z krwi i kości: Leszek Balcerowicz, Marek Belka, Adam Bodnar, Jerzy Buzek, Ewa Łętowska, Tadeusz Mazowiecki, Marek Safjan, Igor Tuleya, Lech Wałęsa.

Dochodzi Szymon Hołownia, stojący – jak się w końcu okazało – na granicy tych dwóch światów, ale po tej samej stronie, co wszyscy powyżej wymienieni. Pominąłem dziesiątki artystów w przeważającej większości niechętnych prawicy. Tę stronę sceny politycznej przez ćwierć wieku reprezentowało chyba tylko dwóch gości festiwalu: Janusz Kochanowski i Jan Ołdakowski.

Osobiście twórca WOŚP także nie unika politycznych deklaracji. Wspierał działania na rzecz swobody aborcji i opowiedział się za legalizacją eutanazji. A ostatnio – jak rozumiem, jako rzecznik zwykłych Polaków – wysłał list do jednej z posłanek PiS, żądając od niej rezygnacji z mandatu. Przy okazji zorganizował show: nagrał filmik, na którym „wbija się" do biura Jarosława Kaczyńskiego i wręcza sekretarce kopię listu.

Po co panu Jerzemu Zbigniewowi Owsiakowi jawne wpisywanie się w podziały polityczne? Może jedynie po mannowsku uznał, że „wszystko jest polityką". A może stwierdził już nie tylko, że „Orkiestra to ja", lecz wręcz „Polska to ja" (co by świadczyło o bardzo wysokim odlocie)...

Chyba że pozazdrościł Szymonowi Hołowni i szykuje grunt pod własną inicjatywę polityczną. Ciekawe, czy czytał niedawny sondaż, w którym aż 70 proc. pytanych nie chciało, by Owsiak założył partię polityczną. Ale cóż, skoro twórca WOŚP uważa, że ma prawo pisać listy w imieniu Polaków, to pewnie wie lepiej od nich, czego chcą.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl e3907b2c07

RZECZY POSPOLITE

Florenckie muzy



Tomasz Łysiak

Muszę z przykrością poinformować państwa o straszliwej niesprawiedliwości dziejowo-artystycznej, jaka dotknęła stolicę Toskanii, perłę renesansu, Florencję. Asesor kulturalny miasta, pan Tommaso Sacchi, sprawdził, przestudiował, wyliczył i przedstawił przerażający raport. Otóż na ulicach, placach i w zaułkach znajdują się dzieła sztuki wykonane w ciągu wieków, ale ich autorami są tylko... mężczyźni! Mamy więc 173 obiekty, a w tym: 47 pomników i rzeźb, 9 biustów, 19 fontann, 26 miejsc pamięci i tablic poświęconych bohaterom wojen, 73 kapliczki wbudowane w ściany budynków. Jednak, o zgrozo, żadnego, dosłownie żadnego z nich, nie zrobiła kobieta! Burmistrz Dario Nardella tak się tym przejął, że za wszystkim stoją samce, m.in. Ammanati, Raffaello Romanelli, Michał Anioł, Francavilla, Landini, Caccini czy Enrico Pazzi, iż postanowił wraz z radą miejską zmienić ów zastraszający stan rzeczy i zadbać o parytet w rzeźbach i fontannach.

Rok 2020 ogłoszono więc we Florencji specjalnie przeznaczonym dla pań artystek. Asesor kulturalny Sacchi wyjaśnił: „Miasto przyjmie jako donacje dzieła sztuki, w szczególności rzeźby, wykonane wyłącznie przez kobiety. To dlatego, iż Florencja w sposób szczególny wierzy w równouprawnienie. (...) Mamy nadzieję, że wiele artystek, Włoszek i nie tylko, przybędzie do Florencji, by się tu spotkać i prowadzić dialog".

Zostanie powołana też specjalna komisja, która będzie obradować w Palazzo Vecchio i która składać się będzie z trzech dam.

Ja niniejszym radzę Dawidowi, stojącemu w wyzywającej pozie na Piazza della Signoria przed wejściem do Palazzo Vecchio, żeby dał dyla. Niech nie będzie głupi. Nie dość, że go wykonał samiec, to on sam jeszcze prowokuje publiczność cielesnymi szczegółami, które wobec kobiecej rewolucji w sztuce florenckiej mogą być zagrożone. A nuż się okaże, że wzburzeni mieszkańcy utrącą mu jego męskość? I że trzy damy ze „świętej feminicji" ruszą w miasto, by kastrować i twórców, i pomniki? Dawid, uciekaj! Najlepiej do Polski. Z przyjemnością cię przyjmiemy. Mamy kilka pustych placów do obsadzenia, a w razie czego można przesunąć lekko kolumnę Zygmunta.

Rak opozycji



Piotr Cywiński

Musiało ostro ponieść Piotra Gursztyna, skoro zdobył się na to wyznanie: „Miałem operację, wypatroszono mi ćwierć brzucha, ale nie wpadłem na to, by zrobić z siebie onkocelebrytę". Jego reakcja dotyczyła absurdalnej kampanii opozycji i jej klakierów z cyklu „Finansowanie TVP, a chorzy na raka". I ja nie jestem skory do zwierzeń, i ja doświadczyłem razów od losu, zamykając oczy moim rodzicom, którzy umierali w męczarniach, ale i mnie nigdy nie przyszło do głowy żerowanie na cierpieniu, robienie sobie zdjęć i memów, wprzęganie ich i mojej tragedii do walki politycznej. A z tym właśnie jesteśmy dziś skonfrontowani przez totalnie już zrakowaciałą opozycję. Dla umysłowo jachirobliskich wszystko stało się użyteczne, od „zimnego Lecha" do „kaczki po „smoleńsku", przez serwowanie „parówek smoleńskich", po show przy łóżkach szpitalnych.

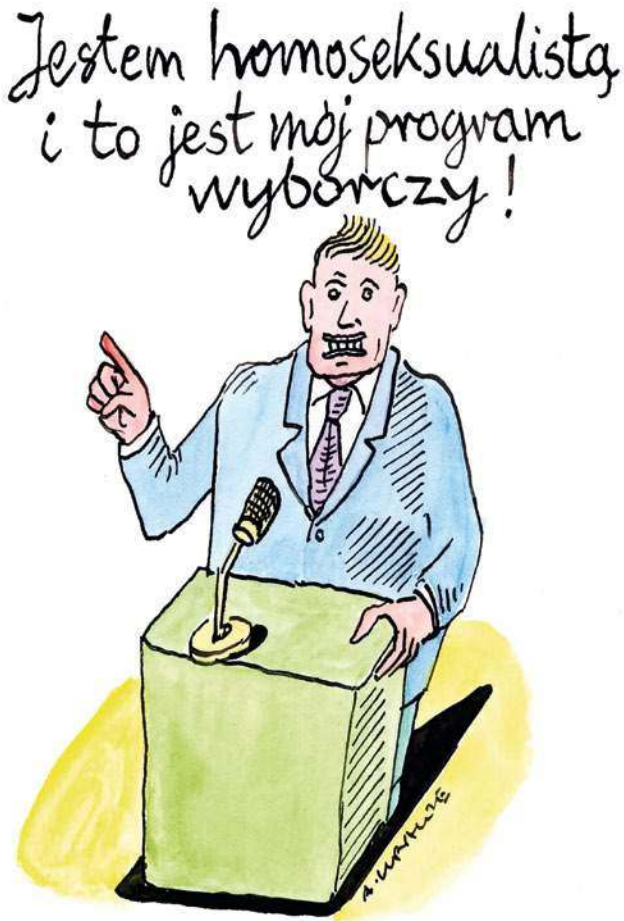
„Milion chorych na raka i tylko 1,5 mld zł na leczenie onkologiczne. Tymczasem PiS planuje przeznaczyć lekką ręką 2 mld zł na hejt i propagandę mediów rządowych", oburzyła się kandydatka na „prawdziwego prezydenta" Małgorzata Kidawa-Błońska. Ta sama, która u boku Donalda Tuska targowała się o zapomogi dla kalekich dzieci i ich opiekunów, okupujących Sejm w proteście przeciw polityce jego rządu. Z tej samej partii, która przyczyniła się do totalnego zadłużenia służby zdrowia, a obywatelom obcięła niemal o połowę nawet zasiłki pogrzebowe. Tej partii, której lider zachęcał obywateli do niepłacenia abonamentów na TVP, a gdy zdobył władzę płacił miliony swym propagandzistom, jak Tomaszowi Lisowi, za prorządową klakę. Dziś jej kauzyperdy, w typie usłużnego Romana Giertycha, perorują, że dla PiS „zadowolenie pań Holeckiej i Ogórek z nowych torebek jest ważniejsze" niż chorzy na raka.

Czy lokalne samorządy PO nie powinny raczej dofinansować onkologii, zamiast wydawać kasę na budowę skwerów i alei imienia prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza w miastach, dla których de facto nic nie zrobił, jak w Szczecinie, gdzie na ten cel wyłożono 3,2 mln zł? Zamiast płacić miliony za tęczę w Warszawie czy na zakup 666 (symboliczna liczba...) tęczowych ławek, czy na tzw. strefę relaksu, czy na dofinansowanie teatru Krystyny Jandy, że o takich spektaklach jak „Klątwa" w Teatrze Powszechnym nie wspomnę? Pytać dalej...?

„Ja też jestem chory na raka i sobie wypraszam. (...) Przeciwstawianie pieniędzy wydawanych na jakąś instytucję państwową, która jest niezbędna, ludziom chorym, żerując w tym wypadku na emocjach, jest ohydne i idiotyczne", skwitował Bronisław Wildstein. A ja nie mam nic do dodania.

eprasa.pl e3907b2c07

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

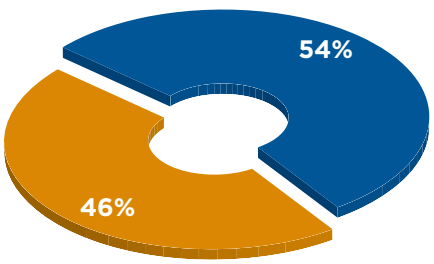
FOT. NA OKŁADCE: KAROL MAKURAT/REPORTER, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, SHUTTERSTOCK

nasz sondaż

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

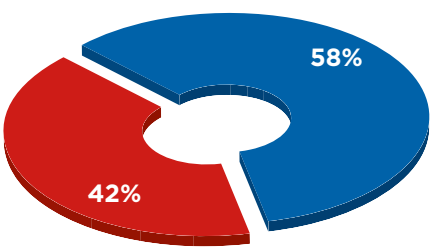
Na którą z poniższych osób oddałaby Pani/ oddałby Pan głos w drugiej turze wyborów prezydenckich?

Andrzej Duda



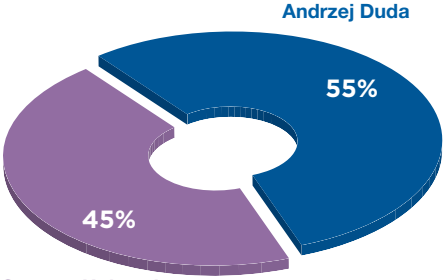
Małgorzata Kidawa-Błońska

Andrzej Duda



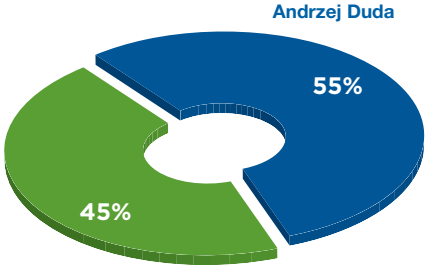
Robert Biedroń

Andrzej Duda



Szymon Hołownia

Andrzej Duda



Władysław Kosiniak-Kamysz

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1085.

Zakres czasowy badania 7–11 lutego 2020 r.

eprasa.pl e3907b2c07



Polityczna g

Platforma Obywatelska, zamiast stosować polityczny szantaż podlany fałszywą troską o chorych na raka, akurat w sprawie finansowania polskiej onkologii powinna siedzieć cicho



ALEKSANDRA JAKUBOWSKA

„Jeżeli prezydent podpisze tę ustawę, to jest to wyrok śmierci dla wielu tysięcy osób. Taka jest waga tego podpisu” – powiedział prominentny polityk Platformy Obywatelskiej europoseł Andrzej Halicki, komentując ustawę rekompensującą mediom publicznym utratę wpływów z abonamentu za lata 2017–2020 kwotą 1,95 mld zł w papierach wartościowych. Senat tę ustawę odrzucił, a marszałek Tomasz Grodzki zaapelował o przeznaczenie tych pieniędzy na onkologię. Po ponownym uchwaleniu przez Sejm nowelizacji ustawy przekazującej mediom publicznym rekompensatę za utracone wpływy czeka ona na podpis prezydenta, a opozycja zaczęła swoją polityczną grę, wykorzystując cierpienia i tragedię tysięcy osób.

„W mówieniu o stanie onkologii ze strony opozycji jest masa obłudy, fałszu, cynizmu, niegodziwości i wykorzystywania tragedii ludzkich” – tak skomentował tę akcję Stanisław Karczewski, wicemarszałek Senatu, lekarz. A prof. Adam Maciejczyk, prezes Polskiego Towarzystwa Onkologicznego i twórca Krajowej Sieci Onkologicznej, stwierdził na antenie Radia RMF FM: „Onkologia powinna być tematem ponadpolitycznym”. Dodał także, że bardzo by się cieszył z zainteresowania polityków, którzy deklarują, że jak tylko dojdą do władzy, to zajmą się wsparciem onkologii, gdyby to zainteresowanie było nie tylko związane z momentem wyborów: „Bezwzględnie przed wyborami zawsze się interesują, co widzimy już od kilku lat”.

pl e3907b2c07

ra onkologią

W bitewnym kurzu kampanii wyborczych twarde dane i fakty są na dalszym planie – emocje, zdaniem polityków, bardziej kierują wyborcami i wpływają na ich decyzje, więc umiejętna i przeważnie cyniczna gra na różnych strunach naszych lęków, obaw, złości, zawodów i tragedii bliskich jest bez skrupułów prowadzona, stara zasada Machiavellego – „cel uświęca środki" – jak nigdy dotąd w polskiej polityce jest bowiem bezwzględnie wykorzystywana. I to, niestety, bez względu na partyjne barwy. Przyjrzyjmy się zatem, jak przez lata była traktowana ochrona zdrowia, w tym przede wszystkim onkologia, przez polityków, którzy mieli realny wpływ na podejmowane w tej dziedzinie decyzje.

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

W 2006 r. wdrożono Narodowy Program Zwalczania Chorób Nowotworowych, na którego realizacje wydano ponad 2,6 mld zł (w tym w latach 2011–2016 prawie 1,1 mld zł). Wyniki jego realizacji zawarte są w raporcie Najwyższej Izby Kontroli opublikowanym na początku 2018 r., a przygotowanym jeszcze za prezesury Krzysztofa Kwiatkowskiego, obecnie niezależnego senatora, startującego do ubiegłorocznych wyborów z poparciem PO.

„Efekty kolejnych programów profilaktycznych i ochronnych są niezadawalające i niewspółmierne do wydanych środków" – czytamy w raporcie. Nie osiągnięto żadnego z głównych celów Narodowego Programu Zwalczania Chorób Nowotworowych, „nie udało się ani zwiększyć liczby korzystających z badań profilaktycznych, w tym przesiewowych, ani przyspieszyć wykrywalności nowotworów [...] nie poprawiła się też dostępność do świadczeń i profilaktycznych badań diagnostycznych, ani nie zwiększyła liczba ośrodków specjalizujących się w leczeniu określonych typów nowotworów". NIK stwierdza, że wyniki leczenia w Polsce nowotworów są niezadawalające, choć „jednej trzeciej zachorowań można byłoby zapobiec, tylko i wyłącznie dzięki tak prostemu procesowi, jak zminimalizowanie kluczowych czynników ryzyka zależnych również od nas samych, m.in.: palenia tytoniu, spożywania alkoholu, braku aktywności fizycznej, niewłaściwej diety oraz związanej z tym nadwagi". Nieskuteczny okazał się Program Ograniczania Zdrowotnych Następstw Palenia Tytoniu, skrajnie niedofinansowany, przeznaczono bowiem na niego środki jedynie na poziomie około 1 proc. kwoty wynikającej z ustawy o ochronie zdrowia przed następstwami używania tytoniu i wyrobów tytoniowych, choć palenie jest pierwszym ze wszystkich czynników ryzyka nowotworów. W zakresie diagnostyki i leczenia chorób nowotworowych wyniki kontroli NIK wskazywały na brak koordynacji leczenia i zapewnienia jego ciągłości: „pacjenci byli kierowani do innych placówek w celu wykonania niezbędnych badań.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e3907b

Brakowało ośrodków referencyjnych specjalizujących się w leczeniu określonych typów nowotworów."

W ostatnim roku rządów koalicji PO-PSL (2015) na onkologię przeznaczono 7,6 mld zł z Narodowego Funduszu Zdrowia i około 200 mln zł z Narodowego Programu Zwalczania Chorób Nowotworowych. W roku 2020 ma to być 11,2 mld zł, powiększonych o kwoty wynikające z Narodowej Strategii Onkologicznej przewidzianej na lata 2010–2030.

MINISTER ARŁUKOWICZ TNIE DO BÓLU

„Arłukowicz oszczędza na lekach na raka" – alarmował w 2013 r. „Super Express", kiedy to obecny szef sztabu wyborczego Małgorzaty Kidawy-Błońskiej był ministrem zdrowia. Teraz kandydatka PO apeluje do prezydenta Andrzeja Dudy, by nie podpisywał ustawy rekompensującej mediom publicznym utratę wpływów z abonamentu: „Niech pan ma odwagę i powie ludziom, że są najważniejsi, że muszą być leczeni dobrymi metodami i te pieniądze powinny trafić do tych, którzy tego naprawdę potrzebują". Bardzo szlachetne słowa, ale w 2013 r. nie było podobnych apeli, a i pieniądze nie trafiły do tych, którzy ich naprawdę potrzebowali. „Minister Bartosz Arłukowicz szczyci się tym, że jego resort zaoszczędził w ubiegłym roku prawie dwa miliardy złotych. Tymczasem pacjenci z rakiem prostaty muszą płacić więcej za leki na tę śmiertelną chorobę" – pisali dziennikarze „Super Expressu". I cytowali wypowiedź Mariana Wiecha, prezesa Stowarzyszenia Pacjentów z NTM „UroConti": „Decyzje podejmowane przez ministra zdrowia w zakresie refundacji leków uderzają przede wszystkich w nas, pacjentów. To my musimy, w dosłownym znaczeniu tego słowa, płacić za decyzje ministra".

„Arłukowicz oszczędza na lekach na raka" – alarmował w 2013 r. „Super Express", kiedy to obecny szef sztabu wyborczego Małgorzaty Kidawy-Błońskiej był ministrem zdrowia

Nowelizacja ustawy o świadczeniach opieki zdrowotnej finansowanych ze środków publicznych, przygotowana przez ministra zdrowia Bartosza Arłukowicza, która została pośpiesznie przepchnięta przez parlament i podpisana przez prezydenta Bronisława Komorowskiego, zaowocowała coraz dłuższymi kolejkami do szpitali i lekarzy specjalistów. Ograniczony został dostęp do terapii lekowych dla osób cierpiących na nowotwory. NFZ obcinał finansowanie placówek, z którymi miał podpisane kontrakty. Ówczesny dyrektor Centrum Onkologii w Bydgoszczy Zbigniew Pawłowicz alarmował: „Narodowy Fundusz Zdrowia przedstawił nam aneksy do umów. Przedstawione w nich kwoty są niższe nawet o kilkadziesiąt procent w stosunku do tego, ile wydamy na leczenie w tym roku. Centrum dostanie mniej pieniędzy na programy lekowe, chemioterapię standardową, radioterapię oraz funkcjonowanie szpitala. To dramatyczna sytuacja. Cięcia dotkną przede wszystkim pacjentów. Już w tej chwili w kolejce na terapię czekają setki pacjentów. W przyszłym roku oczekujących będzie jeszcze więcej. Wielu z nich może nie doczekać się leczenia".

Kiedy w czerwcu 2015 r. Ewa Kopacz odwoływała Arłukowicza z funkcji ministra zdrowia, ówczesny szef Naczelnej Rady Lekarskiej dr Maciej Hamankiewicz nie krył zdumienia uzasadnieniem, jakie temu towarzyszyło: „Jestem oburzony uzasadnieniem premier Kopacz w sprawie dymisji Bartosza Arłukowicza. Odwołanie go z powodu afery podsłuchowej, z którą, jak się wydaje, niewiele miał wspólnego, jest zdumiewające". Rzeczywiście, ujawnienie na taśmach swoistej filozofii zarządzania ochroną zdrowia przez Arłukowicza, ministra w rządzie noszącym się z zamiarem prywatyzacji szpitali, nie powinno wywołać takiej reakcji. Przypomnijmy: „Przychodzi do mnie Sowa [Marek, marszałek województwa małopolskiego – przyp. red.] i mówi: »Miliard dla szpitala«. Mówię: »Chłopie, ku...a, masz tych szpitali co drugą ulicę. Zamknij cztery i przyjdź po 200 baniek, a nie po miliard«".

Zdaniem dr. Hamankiewicza istniało wiele innych, poważniejszych powodów, dla których już wcześniej Arłukowicz powinien być odwołany: minister nie przygotował ani nie przedstawił rządowi sprawozdania z wykonania ustawy z 12 maja 2011 r. o refundacji leków, wyrobów medycznych i produktów spożywczych specjalnego przeznaczenia żywieniowego. „Postępując w ten sposób, uchylał się od publicznej dyskusji na temat pieniędzy, które powinny być przeznaczone w całości na zaspokojenie potrzeb lekowych polskich chorych. Ustawa refundacyjna wprowadziła rewolucyjne zmiany w zakresie sposobu finansowania i organizacji procesu wystawiania recept na leki refundowane. Były one powszechnie krytykowane – mówił Hamankiewicz. – Należy postawić pytanie, co stało się z kwotą w wysokości 3,7 mld zł i czy przepisy ustawy refundacyjnej mówiące o przeznaczeniu zaoszczędzonych pieniędzy na finansowanie nowych leków są realizowane. To takie zaniedbania powinny być powodem odwołania Arłukowicza".

Hamankiewicz oceniał, że minister „siał nienawiść" między lekarzami a pacjentami: „Próbował wszystkim wmówić, że system jest dobry, ale nie działa z powodu złych lekarzy. Zresztą od początku swoich rządów minister nie próbował komunikować się z lekarzami, nie był zainteresowany rozmową z samorządem lekarskim". Maciej Hamankiewicz nie ukrywa, że w opinii lekarzy Arłukowicz był jednym z najgorszych ministrów zdrowia po 1989 r. w Polsce.

W tym miejscu należy dodać, że zwieńczeniem polityki „zdrowotnej" koalicji PO-PSL była zmiana przepisów w 2015 r. (rzutem na taśmę!), w wyniku której wywóz z Polski niezbędnych produktów leczniczych traktowano już nie jako przestępstwo, ale wykroczenie administracyjne. I to była matka mafii lekowej, której skutki działania odczuł nie tylko skarb państwa, lecz przede wszystkim pacjenci.

Dzisiaj na liście leków refundowanych znajduje się 11 medykamentów związanych z rakiem piersi, w 2015 r. było ich... 2.

eprasa.pl e3907b2c07

Utworzenie Krajowej Sieci Onkologicznej sprawiło, że czas oczekiwania na wizytę u specjalisty skrócił się z dwóch miesięcy do dwóch dni, a z ankiety przeprowadzonej wśród pacjentów wynika, że większość z nich czas przyjęcia u lekarza określa jako „szybki" lub „zadowalający". Ale jeszcze daleko do odtrąbienia sukcesu – skuteczność leczenia onkologicznego w Polsce jest gorsza niż w większości krajów Unii Europejskiej, a prawdopodobnie do 2025 r. zachorowalność na choroby onkologiczne wzrośnie o ponad 25 proc., nowotwory zaś staną się wówczas główną przyczyną zgonów w Polsce. I dlatego o onkologii trzeba mówić i myśleć nie tylko w czasie kampanijnej gorączki. Lecz przede wszystkim – działać.

ZABRAĆ MEDIOM PUBLICZNYM, DAĆ NA ONKOLOGIĘ

W czerwcu 2008 r. Sejm rozszerzył listę osób zwolnionych z opłaty abonamentowej za posiadanie odbiornika telewizyjnego bądź radiowego. W 2009 r. Trybunał Konstytucyjny przyznał Sejmowi prawo do wprowadzania ulgi i zwolnienia w systemie opłat abonamentowych, ale uznał, że w takiej sytuacji parlament powinien również wprowadzić rekompensaty utraconych wpływów dla mediów publicznych. I w latach 2017–2018 takie rekompensaty Sejm przyznawał. W tym roku, kiedy chciał uregulować to systemowo, Senat uznał, że należy się temu przeciwstawić, odrzucił nowelizację i zaapelował o przeznaczenie 1,95 mld zł na onkologię.

Tyle że to nie są „żywe pieniądze", ale obligacje skarbu państwa, których nie można przekazać jednostkom budżetowym (jakimi są jednostki służby zdrowia), mogą one korzystać tylko z finansowania z budżetu centralnego. Spółka skarbu państwa (TVP i Polskie Radio) takimi obligacjami, zgodnie z Kodeksem handlowym i prawami rynkowymi, może się posługiwać. To instrument dłużny, który może być przedmiotem obrotu na rynkach finansowych na świecie. Racjonalne tłumaczenie jednak efektu nie przynosi, więc, idąc w populizm, jeżeli już senatorowie uważają, że zasilenie mediów publicznych jest zbędnym wydatkiem, to może podejmą jakąś inicjatywę związaną np. z finansowaniem z budżetu państwa partii politycznych, bo o likwidacji Senatu, wniosku od wielu lat rządzącej obecnie tą izbą większości, wspomnieć nie śmiem.

Jeśli rekompensata za utracony abonament ma być przede wszystkim przeznaczona na misję mediów publicznych, to wypada poważnie potraktować list otwarty, jaki do prezesa TVP Jacka Kurskiego skierowała Polska Koalicja Pacjentów Onkologicznych, apelując o wykorzystanie części tych środków na sfinansowanie profesjonalnej, kilkuletniej kampanii społecznej poświęconej pierwotnej i wtórnej profilaktyce nowotworów. To będą pieniądze wykorzystane w naprawdę szlachetnym celu i zapewne taka inicjatywa zyska poparcie wszystkich sił politycznych, przywołując bowiem ponownie słowa prof. Adama Maciejczyka, prezesa Polskiego Towarzystwa Onkologicznego i twórcy Krajowej Sieci Onkologicznej, „onkologia powinna być tematem ponadpolitycznym".

REKLAMA



eprasa.pl e3907b2c07

Moi wrogowie mnie nie sprowokują

O powrocie dudabusa na kampanijną trasę, rozmowach z Polakami, haniebnych prowokacjach KOD, sile sztabu wyborczego, zmowie kontrkandydatów, możliwości podróży do Rosji 10 kwietnia z prezydentem *Andrzejem Dudą* rozmawia Marcin Wikło



eprasa.pl e3907b2c07



Zdjęcia: Andrzej Wiktor

Panie prezydencie, mija pięć lat, znów spotykamy się w dudabusie, który rusza w kampanijną trasę. Jak się pan czuje ponownie w roli kandydata?

Andrzej Duda: Młodziej! [śmiech]

Kampania pana odmładza?

O, tak! Miłe wspomnienia sprzed pięciu lat wracają. Czuję się tak samo, mimo że przecież nie przestałem jeździć po kraju.

Z jakimi emocjami zaczyna pan walkę o reelekcję?

Trudno mi mówić o swoich emocjach. Spotykając się i rozmawiając, poznaję prawdziwe problemy Polaków. Słyszę, co ludzi boli, co ich denerwuje, z czego się cieszą, na co mają nadzieję. Często słyszę, czego oczekują ode mnie, od premiera, od parlamentu. Wiele z tych spraw to rzeczy niezałatwione po 1989 r. Bardzo często słyszę o braku poczucia, że do sądu idzie się po sprawiedliwość. Musimy to zmienić. To jest nasze wielkie zadanie na przyszłość.

Pięć lat temu też pan mówił, że ludzie dzielą się swoimi troskami. Nic się nie zmieniło czy to po prostu inne problemy?

Są inne, to prawda. Wtedy najczęściej słyszałem o braku perspektyw. O emigracji. Że rodzice zostają w Polsce sami, bo młodzi, nie znajdując pracy w kraju, wyjeżdżają za granicę. Teraz tego problemu praktycznie nie ma. Częściej słyszę o tych, którzy wracają. Nie jest oczywiście tak, że wrócili wszyscy albo że nikt już nie wyjeżdża, ale obecnie nie jest to sytuacja spowodowana przymusem ekonomicznym. Wyjeżdżający czasem szukają wrażeń, czasem chcą się sprawdzić w pracy czy nauce w innym otoczeniu, ale nie jest to problem, tylko wyzwanie. I tak powinno być.

Jak w ich oczach zmieniła się Polska przez te pięć lat? Do jakiego kraju wracają?

Niedawno rozmawiałem z pewną nauczycielką. Wróciła z dzieckiem, niedługo potem jej mąż. Ona pracuje w szkole, on ma swoją firmę. Nie boją się, że zabraknie im do pierwszego.





Normalne życie, które kiedyś nie było wcale taką oczywistością. To dla mnie przykład, że wiele nam się udało. Że dzisiaj wiele rodzin zyskało poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Właśnie na tym, by takie było przekonanie wszystkich polskich rodzin, zależy mi najbardziej.

Na starcie tej kampanii apelował pan o kulturę i poszanowanie. Powiedział pan na prezentacji sztabu: „Proszę o to, żeby nie było takich sytuacji jak ostatnio w Pucku czy w polskim Sejmie". Rozumiem, że chodziło o gest pani poseł Joanny Lichockiej, który dosyć szybko został całkowicie oderwany od kontekstu, w jakim się pojawił. Jest za to – co widzimy w wystąpieniach KOD i Obywateli RP, ale także polityków opozycji – wykorzystywany wręcz jako mem, etykietka, którą przeciwnicy chcą na siłę przylepić obecnej władzy. Sprawa zatacza naprawdę szerokie kręgi w internecie. Czy nie jest to dla pana dosyć niespodziewane obciążenie na starcie kampanii?

Powtórzę raz jeszcze – taka sytuacja nie powinna się zdarzyć. Nad emocjami trzeba panować. Szczególnie w polityce. Doskonale wiem, że w Sejmie bywają różne sytuacje, czasem skrajnie trudne. Pamiętam to dobrze z czasów, kiedy byłem ministrem w kancelarii prezydenta Lecha Kaczyńskiego czy później posłem, wtedy nieraz zdarzało się, że byłem obrzucany wyzwiskami. Nie było to miłe, takie zachowanie zawsze wywoływało moje wzburzenie, ale polityk musi umieć nad sobą panować.

Wyzwiskami obrzucono pana także niedawno, podczas setnej rocznicy zaślubin Polski z Bałtykiem w Pucku. Mówi się, że w kampanii wyborczej kandydaci muszą mieć grubszą skórę, ale ten przypadek chyba skłania do refleksji nad pobłażliwością w tej materii i nad granicami, których przekraczać po prostu nie wolno.

To zachowanie uważam za gorszące. To naprawdę wielka rocznica dla Polski, a zwłaszcza Kaszubów, bo do nich niepodległość przyszła dopiero, gdy gen. Józef Haller dokonał symbolicznego gestu zaślubin Polski z morzem. Na uroczystości rocznicowe przybyło mnóstwo ludzi. Jest mi przykro, że w tak haniebny sposób zakłócono to wielkie święto.

Później pojawiły się także nagrania, gdy ci zadymiarze składali swego rodzaju meldunek Małgorzacie Kidawie-Błońskiej, byli przez nią przytulani, a jej sztabowcy chwalili ich za głośny występ.

Nie będę tego komentował.

Ta grupa KOD to byli niby „mieszkańcy Pucka". Później rozpoznawaliśmy te same twarze przy okazji kolejnych pana aktywności – w Zakliczynie, w Warszawie po konwencji rozpoczynającej kampanię, a następnie jeszcze w Łowiczu. Czy do samych wyborów tak to już będzie wyglądało?

Nie wiem. Natomiast mogę powiedzieć jedno – jeśli ktoś w ten sposób chce mnie sprowokować, to swojego celu nie osiągnie.

Prezentując swój sztab, zwracał pan uwagę, że są w nim i politycy bardzo doświadczeni, i sejmowi debiutanci. A na czele kampanii stanęła – i to było zaskoczenie – pani mecenas Jolanta Turczynowicz-Kieryłło, która z polityką miała do tej pory mały kontakt. Czy na tej pozycji nie należało ustawić kogoś bardziej doświadczonego?

Jestem pewien, że sobie poradzi. Kampania to gra zespołowa, w mojej drużynie grają zawodnicy bardzo doświadczeni. Pani premier Beata Szydło odpowiada za kwestie programowe, Joachim Brudziński za kwestie organizacyjne. Mają na koncie sukcesy i wierzę, że pomogą także mnie. Nie mam tutaj żadnych obaw, wiem, że sztab działa dobrze.

Jest pan teraz poddawany wyjątkowo perfidnemu szantażowi, myślę o ustawie ws. rekompensaty dla mediów publicznych. Jak pan odbiera tę wykreowaną przez opozycję alternatywę, że gdy pieniądze pójdą na telewizję publiczną, to nie będzie ich na onkologię?

Choroba i ludzkie cierpienie są instrumentalnie wykorzystywane w politycznych celach. Oczywiście, że jest to manipulacja. Prawda jest natomiast taka, że wydatki na leczenie nowotworów rosną. Na początku lutego w Pałacu Prezydenckim przedstawiliśmy z ministrem zdrowia Łukaszem Szumowskim Narodową Strategię Onkologiczną – kompleksowy, dziesięcioletni plan walki z rakiem. Mamy pełną świadomość wagi problemu. Stąd narodowy

eprasa.pl e3907b2c07





program, który wiąże się ze znacznym zwiększeniem środków. Bądźmy też uczciwi i zauważmy realny wzrost wydatków na sektor ochrony zdrowia. Za czasów Platformy Obywatelskiej i PSL było to rocznie 7 mld, teraz ponad 10, to jest wzrost o jedną trzecią. To wielka różnica. Tym bardziej że te wydatki na ochronę zdrowia będą dalej rosły, aż dojdziemy do 6 proc. PKB.

10 kwietnia w tym roku mamy 80.rocznicę zbrodni katyńskiej i 10. rocznicę tragedii smoleńskiej. Rozważa pan wyjazd do Rosji tego dnia?

W tej chwili wszystko jest kwestią otwartą, trwają działania dyplomatyczne w tej sprawie. Tyle mogę w tym momencie powiedzieć.

Poprosił pan premiera Mateusza Morawieckiego, by te obchody były zorganizowane godnie. Co to dla pana znaczy?

Mówimy o rocznicy zbrodni katyńskiej, której ofiary pochowane są na czterech cmentarzach: w Katyniu, Miednoje, Bykowni i Charkowie. Zależy mi na tym, abyśmy uczcili pamięć wszystkich ofiar. Dziękuję, że pan premier przystąpił do realizacji tej prośby, dziękuję, że działa w tej sprawie pan minister Jacek Czaputowicz, a jakie będą tego efekty w przestrzeni międzynarodowej, zobaczymy. To nie jest prosta sprawa.

Ta sprawa nie jest łatwa, bo – jak mówił ambasador Siergiej Andriejew – stosunki pomiędzy Polską a Rosją są najgorsze od zakończenia II wojny światowej?

Rosja jest agresorem na Ukrainie. Nie zaprzestała tej agresji, wciąż przecież okupuje Krym i tereny wokół Donieccka i Ługańska. Wspiera tak zwanych separatystów i zachowuje się agresywnie również wobec innych państw. Dokonuje demonstracji siły choćby poprzez naruszanie przestrzeni powietrznej. Nie jest więc państwem, o którym można by powiedzieć, że jest godne zaufania i w sposób pokojowy realizuje swoje interesy. My natomiast jesteśmy absolutnym zwolennikiem przestrzegania prawa międzynarodowego, tymczasem przez Rosję jest ono ewidentnie i notorycznie łamane. Wielokrotnie przeciwko temu protestowaliśmy, broniąc Ukrainy czy Gruzji. To oczywiście Moskwie się nie podoba. Nie podoba się też obecność sił sojuszniczych i wojsk NATO w Polsce. One bez wątpienia wzmacniają nasze bezpieczeństwo, a w obliczu rosyjskiej agresji na Ukrainę i wobec państw bałtyckich ta obecność jest konieczna.

> Bardzo często słyszę o braku poczucia, że do sądu idzie się po sprawiedliwość. Musimy to zmienić. To jest nasze wielkie zadanie na przyszłość

Nie da się tych relacji jakoś poukładać, nie rezygnując ze swej odrębności?

Oczywiście, że chcielibyśmy mieć z Rosją dobre relacje, np. dobrą wymianę handlową. Ale to wymaga zmiany rosyjskiej polityki wobec Polski i innych państw naszego regionu.

Wracając jeszcze do kampanii, mówi się, że te wybory to będzie swego rodzaju plebiscyt, w którym argumenty merytoryczne mogą nie mieć pierwszorzędnego znaczenia. O ile w pierwszej turze pana przeciwnicy będą się nieco od siebie różnić, by znaleźć się w rozgrywce finałowej, o tyle już w drugiej sprzymierzą się i to będzie pojedynek Dudy z anty-Dudą, który może mieć twarz wszystkich pana przeciwników.

Głosy należą do wyborców, a nie do kandydatów. Jestem przekonany, że Polacy dobrze ocenią ostatnie pięć lat, podejmując decyzję o przyszłości Polski.

Zachęcam do czytania bloga „Pałac 2020. Zapiski z kampanii" na portalu wPolityce.pl. To moje autorskie spojrzenie na przebieg kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy. Zapraszam do podróży przez mniejsze i większe miejscowości. I do śledzenia relacji ze spotkań prezydenta z Polakami.

Marcin Wikło

eprasa.pl e3907b2c07



Fot. Darek Rodos/REPORTER

Firma przestępcza „Zbigniew S.”

Kim tak naprawdę jest Zbigniew S., który zasłynął ostatnio szokującymi pomówieniami małżonki Zbigniewa Ziobry Patrycji Koteckiej oraz groźbami karalnymi kierowanymi pod adresem prokuratora generalnego. Czy rzeczywiście „kontrowersyjnym przedsiębiorcą” i „demaskatorem afer obecnej władzy”, jak określają go niektóre media? Nic bardziej mylnego. To człowiek, który ma na koncie kilkanaście wyroków karnych. W tym roku minie 20 lat od czasu, gdy Zbigniew S. usłyszał swój pierwszy wyrok



WOJCIECH BIEDROŃ

Przeanalizowaliśmy dotyczące Zbigniewa S. sprawy sądowe i te toczące się w różnych prokuraturach w całej Polsce. Zdobyliśmy nowe informacje, które jasno wskazują, że interes Zbigniewa S. to prawdziwie przestępcze przedsiębiorstwo, a on sam zamieszany jest nie tylko w pomówienia, groźby, lecz także przekręty.

W kartotece karnej Zbigniewa S. znajduje się ponad 20 orzeczeń różnych sądów, które wymierzały mu kary (od grzywien po karę bezwzględnego więzienia) lub odstępowały od wykonania kary. Wachlarz paragrafów z Kodeksu karnego, za które odpowiadał i odpowiada S., mógłby starczyć nie dla jednego, ale dla kilku przestępców, ich charakter zaś całkowicie dyskwalifikuje go jako rzekomą ofiarę rządów Prawa i Sprawiedliwości. Dlaczego? Pierwszy wyrok skazujący Zbigniewa S. na karę czterech lat więzienia zapadł już w 2000 r.

WIELU NA CELOWNIKU

Media społecznościowe sprawiły, że Zbigniew S. ze zwykłego oszusta zamienił się w medialnego celebrytę, który kreował się na „ostatniego sprawiedliwego”. Rewelacje S. wygłaszane na Facebooku oraz na YouTube zyskiwały wprawdzie spore

eprasa.pl e3907b2c07

grono widzów, ale szybko zaczęły przybierać znamiona pomówień i kłamliwych opowieści, które miały zniszczyć lub zdeprecjonować tych, którzy Zbigniewowi S. przeszkadzali lub wadzili tym, którzy na S. mieli różnoraki wpływ. Tak było w 2016 r. w przypadku ohydnego ataku na księdza Dariusza K., którego S. pomówił o homoseksualne kontakty. Do tych zarzutów „przedsiębiorca" dołożył jeszcze oskarżenia o rzekome malwersacje finansowe, jakich ksiądz miał się ponoć dopuścić w Caritasie. S. przekonywał, że pieniądze miały trafiać do „kochanków" pomawianego księdza. Co ciekawe, w tej sprawie sąd powołał biegłego, który uznał, że Zbigniew S. jest człowiekiem całkowicie poczytalnym, a ta opinia to prawdziwy problem dla S.

Zbigniew S. uderzał też wielokrotnie w prokuratorów, i to nie tylko tych, którzy zajmowali się jego postępowaniami. Atakował ich za prowadzenie oczywistych czynności procesowych, wzywał do blokad budynków prokuratury, publicznie wyzywał i znieważał. Wściekle atakował i wygrażał też prokuratorowi generalnemu Zbigniewie Ziobrze, jego małżonce i bliskim. Dostawało się także sędziom oraz pracownikom sądów. Za te czyny skazywano go na grzywny.

W październiku 2019 r. Zbigniew S. pojawił się w Ministerstwie Sprawiedliwości, gdzie groził Zbigniewowi Ziobrze oraz jego rodzinie śmiercią. Za to S. usłyszał kolejne zarzuty. Dziś jest ich już ok. 200. Gdy bezpośrednie groźby nie pomogły Zbigniewowi S., sięgnął on po inne, ale równie ohydne metody. Wspólnie ze swoim kompanem, drobnym gangsterem Piotrem K. ps. Broda, kolportują obrzydliwe zdjęcia pornograficzne, na których rzekomo uwieczniono małżonkę obecnego ministra sprawiedliwości. Oczywiste fałszywki nie robią na nikim większego wrażenia, ale to kolejna próba uwikłania najbliższych ministra Ziobry w brudny świat Zbigniewa S.

Kolejne zdjęcia, które za sprawą Zbigniewa S. i „Brody" trafiły do sieci, miały ponoć przedstawiać zastępcę prokuratora generalnego ds. przestępczości zorganizowanej i korupcji Beatę Marczak. Oczywiście znów okazuje się, że przedstawiają one zupełnie inną osobę. Zbigniew S. zasłania się w swoich działaniach rzekomo demaskatorską rolą dziennikarza. Trudno o bardziej mylne twierdzenie. Biznesowa i medialna legenda Zbigniewa S. to bowiem wynik kreacji jego samego oraz części mediów, które w kłamstwach i manipulacjach S. znajdują pożywkę – tak kolportowana dla części czytelników może stanowić wiarygodne źródło informacji.

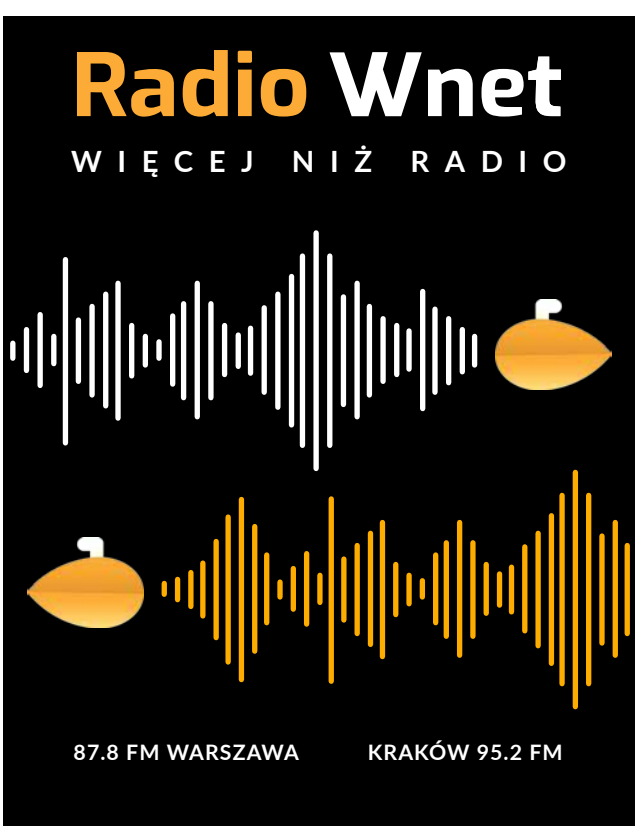
PRZEKRĘTY I OSZUSTWA

Spis śledztw, w których występuje „biznesmen" hejter, wskazuje, że był lub jest on zamieszany w poważne przestępstwa finansowe, księgowe i skarbowe. 7 stycznia 2019 r. do sądu trafił akt oskarżenia w sprawie grupy, na której czele stał Zbigniew S. Historia dotyczy okresu (grudzień 2013 – kwiecień 2014 r.), w którym S. sprawował funkcję prokurenta spółki Viamot SA. Zdaniem prokuratorów nadużył on zaufania i wyprowadzał ze spółki wartościowe składniki majątku, w tym pieniądze, pojazdy, wyposażenie salonów samochodowych oraz nieruchomości. Wszystko to odbywało się za pośrednictwem podejrzanych faktur VAT, faktur sprzedażowych i poprzez nabywanie bezwartościowych przedmiotów od innych spółek. Liczne krętactwa w tej sprawie obliczono na kwotę ponad 42 mln zł. Zdaniem śledczych S. ukrywał też brudne pieniądze i wyprowadzał je ze spółki.

> Sądy w całej Polsce 19 razy skazywały Zbigniewa S. prawomocnie w związku z popełnianymi przez niego przestępstwami. Sypały się kary więzienia, grzywien oraz ograniczenia wolności

W innej sprawie prokuratorzy oskarżyli go o wyłudzenie ponad 75 tys. litrów paliwa. Zdaniem śledczych Zbigniew S. uczestniczył też w przekręcie dotyczącym produkcji i sprzedaży nielegalnego paliwa. Akt oskarżenia w tej sprawie trafił do sądu już w 2005 r., a początek sprawy sięga 2003 r. Ciężko więc zarzucić PiS, że w tej sprawie „ścigało" S. z przyczyn politycznych.

REKLAMA



65/0120/F

eprasa.pl e3907b2c07

BANDYCKIE WYBRYKI

Wśród kilkudziesięciu aktów oskarżenia, które śledczy skierowali do sądów w sprawach Zbigniewa S., oprócz przestępstw zniesławienia oraz przekrętów, znajdziemy również przykłady przestępstw bandyckich. Podpalenia, pobicia i inne w jasny sposób wskazują, że S. to człowiek niebezpieczny, który swoje groźby może wprowadzić w czyn.

Krytycy obecnego kierownictwa Ministerstwa Sprawiedliwości twierdzili, że Zbigniew S., grożąc rodzinie Zbigniewa Ziobry, jedynie straszy, a działania śledczych i policji uznawano za zbyt radykalne. Tymczasem w akcie oskarżenia z 30 czerwca 2014 r. Prokuratura Rejonowa w Opolu opisuje, jak w listopadzie 2013 r. Zbigniew S. rozlał łatwopalny płyn w jednym z barów i próbował tam zaprószyć ogień. Udało się go obezwładnić i do tragedii nie doszło. To jednak nie koniec. Śledczy z Ostrołęki w kwietniu 2007 r. zarzucili Zbigniewowi S., że w lecie 2002 r. wspólnie ze swoimi kompanami pobił kilka osób, by w ten sposób wyegzekwować dług. Prokuratura podkreślała, że czynu tego dokonał w on w ciągu pięciu lat po odbyciu kary więzienia za podobne przestępstwo.

Zbigniew S. nawoływał też górników z Jastrzębskiej Spółki Węglowej do zaatakowania innych pracowników tej firmy, a w listopadzie 2015 r. wywołał awanturę w hotelu Marriott, znieważył policjantów, a jednego z nich zaatakował fizycznie. Liczne są także przykłady znieważania przez S. pracowników służby więziennej, w czasie gdy przebywał on w areszcie.

> Spis śledztw, w których występuje Zbigniew S., wskazuje, że był lub jest on zamieszany w poważne przestępstwa finansowe, księgowe i skarbowe

„FILANTROP" W KAJDANKACH

O wiarygodności Zbigniewa S. niech świadczy też inny jego „biznes", czyli fundacja charytatywna. Dwa tygodnie temu został on zatrzymany wraz z synem i żoną w sprawie dotyczącej przywłaszczenia pieniędzy na szkodę... Fundacji im. Zbigniewa S. Prokuratorzy są przekonani, że S. prał pieniądze za pośrednictwem swojej fundacji. Cały proceder żerował na osobach biednych i zagubionych, a także na darczyńcach, którzy w dobrej wierze wpłacali pieniądze na konta fundacji. Część kwot rzeczywiście trafiała do potrzebujących. Część, bo resztę miał wyprowadzać sam S. za pomocą łańcuszka spółek. „Z ustaleń śledztwa wynika, że kwoty przekazywane przez darczyńców na rzecz Fundacji przelewano na konto spółki Iwony S., do którego miał dostęp jej mąż Zbigniew S. Stamtąd transferował pieniądze na bankowe rachunki kontrolowanych przez siebie podmiotów gospodarczych, a także na prywatne konto syna, Przemysława S. – czytamy w komunikacie prokuratury. – Jak ustalono w śledztwie, bezrobotna Iwona S., z zawodu kaletnik, która w przeszłości nigdy na stałe nie pracowała, jest właścicielką dwóch samochodów osobowych, w tym mercedesa o wartości prawie 100 tys. zł, a także nieruchomości o wartości blisko ćwierć miliona złotych" – ustalili prokuratorzy.

Dotarliśmy do szczegółów jednej z takich „akcji pomocowych" Zbigniewa S., która jest obecnie przedmiotem śledztwa. S. miał przekazać na konto Ewy N. około 20 tys. zł. Kobieta zajmowała się swoją ciężko chorą matką, która mieszkała w bardzo trudnych warunkach. Pomoc więc nadeszła, ale nie w kwocie, jaką publicznie zadeklarował S. Ten twierdził, że dla starszej pani zdobył 47 tys. zł. Co się stało z resztą pieniędzy? Dlaczego nie dotarły one do staruszki i jej córki? Zbigniew S. miał stwierdzić, że opiekunka starszej pani nie rozliczyła się z poprzednich wpłat i jedynie „żebrze" o pieniądze. Staruszka wkrótce zmarła.

W innej sprawie, analizowanej obecnie przez śledczych, Wioletta Sz. miała otrzymać w 2015 r. 1589 zł ze środków fundacji S. Następnie przeprowadzono loterię na rzecz pani Wioletty, w której do wygrania był samochód osobowy. Kobiecie przekazano więc kolejne pieniądze, tym razem 2300 zł. Szkopuł w tym, że S. informował na Facebooku, iż pani Wioletta otrzymała dziesięć razy więcej – 23 tys. zł.

Prokuratura Regionalna w Lublinie, która prowadzi śledztwo w sprawie fundacji S., przekonuje, że działając w porozumieniu z Kamilem C. i Edwardem Sz., „filantrop" z wyrokami przywłaszczył sobie 927 tys. zł z kwoty ponad 953 tys. zł wpłaconej przez darczyńców. „Przestępstwa tego dokonał, wyprowadzając pieniądze na konto warszawskiej spółki, nad którą sprawował nieformalną kontrolę. Następnie środki te były dalej przelewane na konta różnych podmiotów, a faktycznym dysponentem tych rachunków był Zbigniew S. W ten sposób podejrzany przelał co najmniej 607 tys. zł. Operacje te miały utrudnić odkrycie pochodzenia pieniędzy z kradzieży. Ze swojej złodziejskiej działalności w okresie między 15 maja 2015 r. a 30 czerwcem 2017 r. Zbigniew S. uczynił sobie źródło stałego dochodu" – informowała Prokuratura Krajowa.

SĄDY NIERYCHLIWE

W sprawie fundacji najbardziej szokuje to, że Zbigniew S. nie trafił do aresztu po tym, jak w grudniu ubiegłego roku postawiono mu siedem zarzutów dotyczących przywłaszczenia pieniędzy z kont fundacji. Wciąż pozostaje na wolności, gdyż sąd nie zgodził się na zastosowanie wobec niego aresztu. W 20 innych postępowaniach przed sądami w całej Polsce razi ich przewlekłość. Niezależnie od tego sądy w całej Polsce 19 razy skazywały go prawomocnie w związku z popełnianymi przez niego przestępstwami. Sypały się kary więzienia, grzywien oraz ograniczenia wolności. Zbigniew S. wciąż skutecznie unika trafienia za kratki na dłuższy okres. Czas spędzany na wolności upływa mu na kolejnych oskarżeniach ludzi władzy, prokuratorów i innych funkcjonariuszy państwowych. Siłę dają mu media społecznościowe, a on sam zdaje się nie przejmować kolejnymi zarzutami i postępowaniami. Ciekawe, jak długo uda mu się jeszcze unikać odpowiedzialności.

Reklama | 66/0120/F

eprasa.pl e3907b2c07

Jeden
z największych
producentów
surowców
chemicznych
w Europie



SYNTHOS
synonim
innowacyjnej
POLSKI

synthos
chemical innovations

100
pracowników
naukowych

3000
pracowników

7
zakładów
produkcyjnych



70
lat tradycji



synthosgroup.com

eprasa.pl e3907b2c07

Nieprzygotowana rocznica

Z coraz większym niepokojem obserwuję przygotowania do uroczystości w Smoleńsku i Katyniu w 10. rocznicę katastrofy smoleńskiej i zbrodni katyńskiej. Na dziś wiele wskazuje, że żadna kwietniowa wizyta w Rosji najwyższych polskich władz się nie odbędzie



MAREK PYZA

9 stycznia chyba pierwszy publicznie postawiłem problem organizacji uroczystości związanych z 10. rocznicą katastrofy smoleńskiej. Na portalu wPolityce.pl pisałem wówczas, że ministrowie na trzy miesiące przed rocznicami wymieniają się wątpliwościami sprowadzającymi się do zdania: „Być może trzeba będzie tam być". „Tam", czyli w Smoleńsku i Katyniu. Już wtedy słyszałem, że delegacja ma być na wysokim szczeblu. I zaznaczałem: „Na zorganizowanie obchodów w Rosji (nawet jako »wizyty prywatnej« – o innej dziś chyba nie może być mowy) zostało naprawdę niewiele czasu, zważywszy na to, że o polskich planach nic nie wie jeszcze strona rosyjska, a im mniej pozostanie czasu, tym łatwiej będzie je Moskwie storpedować".

Nie sądziłem, że minie miesiąc, a sprawy niewiele się posuną do przodu.

SPRZECZKA MIĘDZY PAŁACAMI

Mówiąc najogłędniej: nad tym tematem chyba nikt nie panuje. Tak wynika zarówno z nieoficjalnych rozmów, jakie miałem okazję odbyć z wieloma ludźmi obozu władzy, jak i z publicznych wystąpień kilku ministrów.

13 lutego szef KPRM Michał Dworczyk, ku zaskoczeniu nie tylko opinii publicznej, ale też kolegów ze Zjednoczonej Prawicy (a zwłaszcza z Pałacu Prezydenckiego), oświadczył, że premier Mateusz Morawiecki 10 kwietnia „chce być i w Smoleńsku, i w Katyniu; w tej chwili kancelaria analizuje możliwości przygotowania takiego wyjazdu". Kilka godzin później rzecznik prezydenta Błażej Spychalski został podpuszczony przez dziennikarzy na konferencji prasowej i zapytany o słowa Dworczyka, który rzekomo miał powiedzieć, że „prezydent może towarzyszyć premierowi", zamiast stwierdzić, iż nie zna tego cytatu, wypalił: „Pan Dworczyk musi się jeszcze wiele nauczyć."



Fot. Andrzej Skwarczyński

Ostatecznie obaj panowie się spotkali, porozumieli i uśmiechnięci zapozowali do wspólnego zdjęcia. Ale zaiskrzyło poważnie. Bo pomysł wyjazdu w rocznicę katastrofy do Smoleńska miał wyjść od głowy państwa, zaś szef KPRM wytworzył inne wrażenie.

Publiczna sprzeczka między „małym" a „dużym pałacem" to drobnostka, ale niestety dobrze oddająca jakość przygotowań do arcytrudnej operacji, jaką byłyby uroczystości w Smoleńsku i Katyniu za półtora miesiąca.

eprasa.pl e3907b2c07

Używam trybu przypuszczającego, bo na razie nic nie wskazuje, że plany uda się zrealizować. Błażej Spychalski 13 lutego zapowiedział, że niebawem szef MSZ Jacek Czaputowicz spotka się ze swoim rosyjskim odpowiednikiem i omówią sprawę. Panowie mieli rozmawiać 15 lutego w kuluarach Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa. Gdy jednak Rosjanie usłyszeli, że polski minister chce poruszyć temat rocznic Katynia i Smoleńska, szybko się okazało, że Siergiej Ławrow jednak nie znajdzie czasu.

Dzień wcześniej, 14 lutego, polska ambasada w Moskwie złożyła notę w rosyjskim MSZ z prośbą o wsparcie organizacji polskiej wizyty państwowej. Wszystko stanęło na głowie: najpierw powinny być ciche działania dyplomacji, a później opowiadanie w mediach o planach najważniejszych osób w Polsce.

RYZYKO PROWOKACJI

Nie trzeba specjalnej przenikliwości, by dojść do wniosku, że z ekipą PiS Kreml współpracować nie będzie. Mamy aż za dużo sygnałów o tym świadczących, by wymienić tylko niedawne kłamstwa historyczne Władimira Putina czy ostatni wywiad rosyjskiego ambasadora w Polsce Siergieja Andriejewa, który stwierdził, że od II wojny światowej nie było tak złych stosunków między naszymi krajami jak teraz, pogorszenie zaś nadeszło po 2014 r.

Co taka postawa mówi nam o rosyjskim nastawieniu do pomocy w organizacji wizyt? Że otwartości nie ma żadnej. Rosjanie będą zwodzić, grać na czas, piętrzyć problemy. A rządzący w Polsce chyba nie do końca zdają sobie sprawę, jak wiele kwestii wymaga załatwienia. Nie chodzi tylko o „możliwość przekroczenia granicy i uczestniczenia w uroczystości", jak mówił minister Czaputowicz.

Ale po kolei: którą granicę delegacja miałaby przekroczyć? Gdzie lądować – w Moskwie czy na Białorusi? Jeśli wybrano by tę drugą opcję, potrzebne byłyby nie tylko wizy, lecz i specjalne zgody dla wszystkich członków i gości delegacji. Od 2016 r. obywatele Unii Europejskiej nie mogą bowiem przekraczać granicy białorusko-rosyjskiej.

Co z funkcjonariuszami Służby Ochrony Państwa? Na jaką liczną obstawę polskich VIP-ów mogliby się zgodzić Rosjanie? Czy pozwolą funkcjonariuszom wwieźć broń?

Co z przejazdem konwoju z delegacją/delegacjami (w tym tygodniu usłyszałem o możliwym scenariuszu zorganizowania kilku samolotów i spotkania się trzech grup w Smoleńsku)? Kto będzie go zabezpieczał? Jak i kiedy przeprowadzić rekonesans miejsc, w których miałby się pojawić polski prezydent bądź premier? Kto zapewni drożność dróg? Bez trudu można wyobrazić sobie wiele „niespodziewanych trudności", jak np. zwykłą kraksę na drodze, która unieruchomi delegację w szczerym polu. Rosjanie są mistrzami prowokacji. Byłoby wręcz dziwne, gdyby przy takiej okazji nie zechcieli skorzystać ze swojego bogatego potencjału w tej dziedzinie.

Co z rodzinami katyńskimi i rodzinami ofiar tragedii smoleńskiej? Czy również dla nich znalazłyby się miejsca przy przedstawicielach władz? Jeśli tak, to dlaczego nikt jeszcze z nimi o tym nie rozmawiał? Nie wiedzą więc, czy mają się spieszyć z wymianą paszportów (bo niektórym się kończą), czy mają planować w kalendarzu ewentualny wyjazd do Rosji?

Można by tak jeszcze długo wymieniać, by dojść do rzeczy z pozoru trywialnych, jak np. zgody na filmowanie na terenie katyńskiego cmentarza – ta zależy od władz Memoriału.

Tych wszystkich pytań nie zadano sobie odpowiednio wcześnie. Ba, mam powody przypuszczać, że części z nich do tej pory nie zadał sobie nikt. Nie za bardzo wiadomo nawet, kto miałby być głównym organizatorem uroczystości. Słyszałem różne wersje – od Kancelarii Prezydenta, przez KPRM, po „kohabitację resortu kultury z MON".

> Publiczna sprzeczka między „małym" a „dużym pałacem" to drobnostka, ale dobrze oddająca jakość przygotowań do arcytrudnej operacji, jaką byłyby uroczystości w Smoleńsku i Katyniu za półtora miesiąca

Nie sposób pozbyć się wrażenia, że prowadzone są działania partyzanckie i mocno spóźnione. Oraz ryzykowne dla polskich władz – jeśli nie ze względów bezpieczeństwa, to przynajmniej wizerunkowych.

I choć należałoby oczekiwać obecności wysokich przedstawicieli RP w kwietniu w obwodzie smoleńskim, to trzeba jednak zadać pytanie zasadnicze: czy zagrożeń wynikających z planów rządu i Kancelarii Prezydenta nie jest za dużo, czy nie lepiej zrezygnować z tych uroczystości, obniżyć rangę wizyt w Katyniu i Smoleńsku, a skupić się na godnym upamiętnieniu ofiar w Polsce? Naturalnie, jeśli zapadłaby taka decyzja, obóz rządzący musiałby się z niej wytłumaczyć. Lecz to akurat nietrudne zadanie, bo strona rosyjska na pewno dostarczy dobrych argumentów.

Na portalu wPolityce.pl od kilkunastu dni pod awatarem „10/04 DEKADĘ PÓŹNIEJ" przypominam wydarzenia sprzed tragedii smoleńskiej dotyczące organizacji wizyt w Rosji Donalda Tuska i Lecha Kaczyńskiego. Dzień po dniu odtwarzam kolejne dokumenty dowodzące marginalizacji udziału głowy państwa w obchodach i usłużną wobec Rosjan postawę urzędników podległych premierowi. Doprowadziło to do stworzenia okoliczności sprzyjających tragedii z 10 kwietnia 2010 r.

Jeśli dziś rządzącym wciąż będzie brakowało wyobraźni oraz pamięci o zdarzeniach sprzed dekady, za dziesięć lat znów ktoś napisze kalendarium organizacji rosyjskich wizyt, tym razem tych z 2020 r.

eprasa.pl e3907b2c07



Bosak

kandydat samozwańczych narodowców

Kiedyś stanowili intelektualną elitę kraju, w gabinetach zachodnich mocarstw rzucali wyzwania w kilku językach z całym arsenałem faktów, argumentów i analiz. Czy dawni narodowcy i przedwojenna endecja byliby dumni z Konfederacji i jej kandydata na prezydenta RP?



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Lubi być w centrum uwagi, nieważne z jakiego powodu. Na szpalty gazet trafiał przy okazji dość banalnych wypowiedzi, wydumanych deklaracji politycznych, braku źródła utrzymania, uczestnictwa w „Tańcu z gwiazdami", a ostatnio z powodu zawarcia związku małżeńskiego. News był bardziej komentowany niż jego deklaracja startu w wyborach prezydenckich.

Bosak całkowicie panował nad przekazem medialnym związanym ze ślubem. Małżeństwo z Kariną z domu Walinowicz, prawniczką ze stowarzyszenia Ordo Iuris, zostało wcześniej zapowiedziane, później zrelacjonowane przez samego Bosaka, a potem wielokrotnie cytowane w mediach, także tabloidach. Ślub jest nie tylko nową drogą życia osobistego, lecz także próbą zamknięcia pewnego politycznego wizerunku: młodego, niezbyt poważnego, bezrobotnego polityka. Z kolei udział w kampanii prezydenckiej ma umożliwić wejście do ligi rozpoznawalnych politycznych celebrytów.

Pod tym względem sakrament wypadł zdecydowanie lepiej niż inauguracja kampanii prezydenckiej, na którą nie przybyli czołowi działacze Konfederacji. Bosak taktownie tłumaczył ich nieobecność podczas przemówienia. „Czy poseł Krzysztof Tuduj jest z nami, czy czuwa nad zbiórką podpisów?" – pytał, rozglądając się po sali. „Czuwa nad zbiórką podpisów..." – odpowiedział sobie z pewnym zakłopotaniem. Podobnie musiał tłumaczyć kilku innych czołowych działaczy Konfederacji. Brak Artura Dziambora, Sławomira Mentzena czy Konrada Berkowicza trudno jednak zastąpić pozdrowieniami na odległość i zapewnieniami, że rozumie się ich nieobecność. Ale przecież 37-letni Krzysztof Bosak prowadzi dopiero swoją pierwszą kampanię prezydencką, więc pewne niezgrabności są do przyjęcia.

Większym zgrzytem okazały się same prawybory kandydata na prezydenta w Konfederacji. Korwiniści chcieli przeforsować „wolnościowca" lub przynajmniej Grzegorza Brauna, ale nie Krzysztofa Bosaka. Podczas późniejszego wideoczatu z Januszem Korwin-Mikkem „wolnościowcy" pytali, czy aby Ruch Narodowy nie zdominuje Konfederacji, nad czym ubolewał sam lider libertarian. Potwierdziły to późniejsze przecieki dla portalu wp.pl, do którego działacze Konfederacji wysłali fragmenty nagranych rozmów obrazujące wewnętrzne intrygi – zwłaszcza przeciwko Markowi Jakubiakowi. Konfederacja trzeszczy w walkach frakcyjnych.

Jednak spośród parlamentarzystów Konfederacji to Bosak wydaje się mieć największą ogładę i swobodę wypowiedzi – nie zaskakuje aroganckimi happeningami w stylu Berkowicza, który potrafił kandydatce PiS do europarlamentu przyłożyć do głowy jarmułkę

eprasa.pl e3907b2c07



Fot. Andrzej Wiktor

jako sugestię, że „PiS służy Żydom", nie sili się na kontrowersje, jak Korwin-Mikke ze swoimi wypowiedziami o Hitlerze czy Braun mówiący co rusz o „służbach, mafiach i lożach".

STRASZENIE AMERYKĄ I ŻYDAMI

Dla mainstreamu zdecydowanie zbyt radykalny, samym radykałom wydaje się zbyt mainstreamowy. Trudno zapomnieć występ Krzysztofa Bosaka w szóstej edycji widowiska „Taniec z gwiazdami" w TVN, zwłaszcza że był w tym czasie parlamentarzystą. Konserwatyści, a już zwłaszcza pogardzający liberalizmem narodowcy, nie powinni przyklaskiwać uciechom telewizji jednego z filarów III RP – Mariusza Waltera. Ale wyborcy mają krótką pamięć, a Bosak tę wypominaną mu wpadkę stara się nadrabiać wypowiedziami prawicowego ortodoksa.

„Niestety, zachowania i działania prezydenta Dudy dowodzą, że jako głowa państwa nadskakuje środowiskom żydowskim" – stwierdził niedawno kandydat Konfederacji w rozmowie z (arcymainstreamową!) gazetą.pl. I jest to jeden z głównych nurtów retoryki narodowców. Podobnie antyamerykański rys ich światopoglądu jest wyraźny od zawsze, USA jawią się tu jako twierdza liberalnego imperializmu. Zbieżne z retoryką Kremla? Także w szczegółach. 8 stycznia o godz. 1.30 Bosak skrytykował USA na Twitterze: „No to mamy wojnę. W wyniku kretynizmu naszego sojusznika nasi żołnierze znaleźli się właśnie pod ostrzałem rakietowym". Był to komentarz do zabicia irańskiego generała Sulejmaniego. Twierdzenie Bosaka okazało się nieprawdziwe, bo polscy żołnierze byli bezpieczni, a on sam szybko skasował tego tweeta. Konfederacja jest także spiritus movens przekonywania Polaków, że Waszyngton poprzez ustawę 447 zamierza doprowadzić do wypłacenia przez Polskę ogromnych odszkodowań za II wojnę światową. To zresztą charakterystyczne, że straszenie Zachodem bardzo często polega na rozgrywaniu narodów poprzez zaszłości historyczne. W Mołdawii wmawia się ludziom, że po wejściu do Unii Europejskiej Rumuni przesiedlą do tego sąsiedniego kraju mniejszość cygańską, w Polsce zaś zbliżenie polsko-amerykańskie ma zaowocować zawłaszczeniem majątków przez Żydów. Metoda stara, ale skuteczna, choć opiera się na fałszywej narracji.

Bosak udzielił też wywiadu medialnej tubie Kremla w Polsce – portalowi Sputnik. „Uważamy, że instytucje europejskie odbierają wolność narodom europejskim, i niepotrzebnie nadmiernie ujednolicają systemy czy to prawne, czy ekonomiczne" – mówił rosyjskim propagandystom w kwietniu 2019 r. Nic dziwnego, że Sputnik entuzjastycznie cytuje także inne wypowiedzi kandydata Konfederacji, jak choćby pochwałę Moskwy w rozmowie dla Radia Wnet, że „Rosja ma obiektów politycznego zainteresowania wiele i prowadzi politykę dużo bardziej globalną niż Polska".

Antyamerykanizm to niestety domena współczesnych narodowców. Nie ma to nic wspólnego z przedwojennym ruchem narodowym, który doceniał sojuszników, zwłaszcza tych, którzy pomagali w zmaganiach z kajzerowskimi i weimarskimi Niemcami, nie wspominając o samym Romanie Dmowskim wspierającym Ignacego Paderewskiego w jego relacjach z Białym Domem.

Dla dzisiejszych narodowców to Waszyngton wydaje się największym zagrożeniem. Już jako 25-latek Bosak kwestionował z mównicy sejmowej sens zbliżenia polsko-amerykańskiego: w maju 2007 r. przekonywał, że Amerykanie nie radzą sobie w Iraku, a Polacy są tam okupantami.

Kolejne pytania dotyczące Bosaka pojawiły się przy okazji jego ubiegłorocznego powrotu do Sejmu. Okazało się, że nie mógł wykazać źródeł utrzymania od 2012 r. Jeśli faktycznie wspierał go brat, Marek Bosak, pracownik kadrowy firmy Vivus, udzielającej pożyczek chwilówek, to także znowu dalekie to od wizji narodowców, zwłaszcza że większościowym udziałowcem holdingu jest Oleg Wiktorowicz Bojko – rosyjski oligarcha.

RUCH NARODOWY. CZYŻBY?

Problem z politycznym życiorysem Bosaka nie polega na braku wykształcenia (nie ukończył studiów) czy braku doświadczenia zawodowego (działalność polityczna czy praca u europosła Macieja Giertycha nie dają jeszcze prawa powiedzieć, że „z niejednego pieca się chleb jadło"), ale na pewnym zawłaszczeniu idei narodowej.

Przypominając sobie zasługi przedwojennej endecji, ruchu narodowego czy Młodzieży Wszechpolskiej, która wykształciła twarde kadry zdolne negocjować w Paryżu kształt granic odrodzonej Polski, bez kompleksów, z bagażem faktów, danych, źródeł, ze znajomością języków i kontaktami za granicą, w dzisiejszym kierownictwie ruchu można by dostrzec jedynie parodię Dmowskich, Rybarskich, Romerów, Konopczyńskich. W politycznych wywiadach łatwo przez usta przychodzą słowa potępienia dla LGBT czy paternalistyczna krytyka wobec USA, jednak gdy przychodzi naśladować przedwojennych narodowców w dorobku intelektualnym albo pracy społecznej, pozostaje jedynie substytut idei narodowej.

Być może już nigdy nie uda się przekonać Polaków do tego, jak wielki wkład w polskość mieli przedwojenni przywódcy narodowców, skoro u dzisiejszych liderów ruchu widzimy jedynie happeningi, wzajemne przepychanki i straszenie Zachodem.

eprasa.pl e3907b2c07

Kaznodzieja i celebryta, czyli między religią i polityką



Dlaczego popularny dominikanin wsparł politycznie kandydata na prezydenta prezentującego stanowisko niezgodne z nauczaniem Kościoła?



GRZEGORZ GÓRNY

W środowiskach katolickich w Polsce zawrzało, gdy znany dominikański kaznodzieja i rekolekcjonista o. Adam Szustak w swym programie „Q&A" na internetowym kanale Langusta na Palmie włączył się w kampanię wyborczą. Zakonnik publicznie poparł jednego z kandydatów, oświadczając: „Po raz pierwszy od 23 lat pójdę na wybory. (...) Po raz pierwszy, kiedy teraz będą wybory prezydenckie, pójdę i zagłosuję na Szymona Hołownię". Dodał też: „Wielki szacun dla Szymona. Nawet jeżeli mu się nie uda wygrać, to mam nadzieję, że przez samo to, co będzie robił i co już robi w trakcie swojej kampanii, że to przyniesie dużo dobra. Takie jest moje zdanie o Szymonie Hołowni".

POPARCIE I PRZEPROSINY

Musiało być zaiste coś przełomowego w propozycji programowej kandydata, skoro dominikanin po raz pierwszy, odkąd osiągnął pełnoletność, a więc od 23 lat, zdecydował się pójść na wybory. Wiele nam to mówi o wcześniejszym zaangażowaniu zakonnika w życie społeczne, zwłaszcza w kontekście powtarzających się przed każdymi wyborami nawoływań biskupów, że udział w nich to obywatelski i moralny obowiązek każdego Polaka. Musiało być więc coś niezwykle magnetycznego w kandydaturze Hołowni, skoro o. Szustak porzucił swą żelazną zasadę, by na kanale religijnym poświęconym „rekolekcjom, biblijnym komentarzom i innym kaznodziejskim projektom wideo" zrobić wyjątek i udzielić publicznego wsparcia politykowi. Sam zastrzegł co prawda, że to jego „prywatna sprawa", mimo to uznał za stosowne podzielić się nią z wielotysięczną widownią, dla której pozostaje mistrzem duchowym i autorytetem.

Gdy rozpętała się medialna burza, dominikanin pod wpływem zmasowanej krytyki usunął nagranie z internetu i kilka razy przeprosił za upolitycznienie kanału Langusta na Palmie. Jak sam wyjaśnił: „Rzeczywiście przemyślałem to, co mi powiedzieli, i mają rację. Nie jestem żadną częścią kampanii wyborczej kogokolwiek, również Szymona Hołowni. Szymona cenię, moje zdanie na jego temat się nie zmienia. (...) Popełniłem błąd. Nie powinienem wyrażać publicznie, jako ksiądz, jako reprezentant Kościoła katolickiego, swoich preferencji politycznych, które są, jakie są".

O. Szustak przeprosił więc za to, że wplątał się w agitację przedwyborczą, a nie za to, że stanął konkretnie po stronie tego, a nie innego kandydata. Podczas przeprosin potwierdził zresztą de facto swoje prywatne poparcie dla Hołowni, mówiąc, że jego zdanie o nim się nie zmieniło.

LICYTACJA Z BIEDRONIEM

Czym Szymon Hołownia uwiódł o. Adama Szustaka? Pytanie jest tym bardziej frapujące, że sam dominikanin przyznał: „Nigdy w życiu nie spotkałem go na żywo".

Fot. Beata Zawrzel/REPORTER, Andrzej Wiktor

eprasa.pl e3907b2c07

Gdyby zakonnik obserwował uważnie kampanię przedwyborczą Hołowni, dostrzegłby w niej zapewne kpiny z katastrofy smoleńskiej zadające ból wielu osobom, które w czasie tamtej tragedii straciły bliskich. Usłyszałby również, że kandydat publicznie prezentuje stanowisko odmienne od nauczania katolickiego w tak ważkich moralnie sprawach, jak zapłodnienie in vitro czy związki partnerskie osób tej samej płci. Stoi to w pewnej sprzeczności z wcześniejszymi deklaracjami Szymona Hołowni, które wypowiadał jeszcze jako katolicki dziennikarz, zanim wszedł do polityki. Jest natomiast zgodne z jego obecnymi poglądami, że prezydent – nawet jeśli jest katolikiem – nie powinien tego okazywać. To dokładnie odwrotność tego, co głosili ojcowie założyciele zjednoczonej Europy: Schuman, de Gasperi i Adenauer.

Być może o. Szustak tego wszystkiego nie wie. Skoro nigdy w życiu nie uczestniczył w wyborach, można domniemywać, iż nie ma wystarczającej wiedzy, by wypowiadać się autorytatywnie w sprawach politycznych, zwłaszcza dotyczących bieżących rozgrywek, takich jak wyborczy wyścig do pałacu prezydenckiego. Zawsze można jednak nadrobić zaległości i poczytać analizy specjalistów, np. politologa prof. Rafała Chwedoruka, który zauważył, że Szymon Hołownia licytuje się na hasła z Robertem Biedroniem, starając się dotrzeć do tego samego „bardzo liberalnego w kwestiach kulturowych" elektoratu.

Są dwa wyjaśnienia tego fenomenu. Albo niegdysiejszy celebryta katolicki próbuje przejąć najbardziej liberalnych obyczajowo wyborców, by potem zmienić retorykę i obrać kurs bliższy Kościołowi (to jednak powinno dyskwalifikować go z moralnego punktu widzenia jako osobę z premedytacją posługującą się nieprawdą); albo wierzy w to, co mówi (to zaś tym bardziej powinno dystansować do niego katolików kierujących się nauczaniem społecznym Kościoła).

UKŁAD MEDIALNO-POLITYCZNY

Na czym więc o. Szustak opiera swoje poparcie dla Hołowni? Najprawdopodobniej na budowanym przez lata wizerunku wierzącego, sympatycznego, elokwentnego młodzieńca, piszącego książki o chrześcijaństwie i zapraszanego na rekolekcje przez księży w całym kraju. Jednym z elementów tego obrazu jest wizerunek osoby nieuwikłanej w żadne układy polityczne.

Trzeba jednak pamiętać, że swoją błyskotliwą ogólnopolską karierę telewizyjnego gwiazdora i celebryty Szymon Hołownia zawdzięcza głównie stacji TVN, która jest tyleż medialnym, ileż politycznym podmiotem w polskim życiu publicznym. Były momenty, gdy jawiła się wręcz jako najbardziej agresywna siła na scenie politycznej.

Warto w tym miejscu przypomnieć o liście, jaki do gen. Czesława Kiszczaka wysłał 22 lutego 1983 r. Jerzy Urban. W swoim piśmie ówczesny rzecznik komunistycznego rządu rekomendował szefowi bezpieki Mariusza Waltera na szefa specjalnego pionu propagandowego w MSW, którego celem miałoby być „programowanie i realizacja czarnej propagandy" oraz „prowadzenie przemyślanej, zręcznej i stałej kampanii na rzecz zmiany obrazu SB, MO i ZOMO w społeczeństwie i inicjowanie akcji tych służb dla ocieplenia ich wizerunku". Urban uważał, że jego protegowany jest w stanie uprawiać bardziej finezyjną i skuteczną propagandę niż toporna indoktrynacja w wykonaniu prezenterów w wojskowych mundurach.

Po zmianie ustroju Mariusz Walter założył TVN i rzeczywiście dał się poznać jako mistrz finezyjnego programowania i prowadzenia zręcznych kampanii. W pewnym momencie jego koncern przejął kontrolę nad „Tygodnikiem Powszechnym" i stworzył stację Religia.TV (w obu mediach pracował zresztą Szymon Hołownia). Można zapytać: po co magnatowi medialnemu niszowy kanał religijny? Na pewno nie z powodów merkantylnych, ponieważ projekt nie przynosił zysków i raczej nie było na to widoków. Na całym świecie prywatne media religijne tworzone są zazwyczaj przez gorliwych wyznawców, np. żarliwych chrześcijan pchanych do przodu pragnieniem ewangelizacji. A z drugiej strony tylko „gorący" widzowie są w stanie zapewnić oglądalność i utrzymanie takich stacji. Mariusz Walter nie dał się jednak poznać jako misjonarz. Nie był też człowiekiem wyrzucającym pieniądze w błoto. Musiała więc to być swego rodzaju inwestycja.

NIEWOLNICY WIZERUNKU

Dzięki koncernowi ogólnopolską rozpoznawalność zyskali publicyści katoliccy, którzy budowali swój wizerunek opowieściami o duchowości chrześcijańskiej, działalności dobroczynnej, zaangażowaniu społecznym czy potrzebie Kościoła ubogiego i współczującego. Kiedy jednak w grę wchodziły kluczowe kwestie współczesnej wojny kulturowej i sprawa stawała na ostrzu noża, wówczas zaczynali mówić „tak, ale", doszukiwać się niuansów, dzielić włos na czworo, unikać jednoznaczności itd. Budowany przez nich latami autorytet wśród ludzi wierzących w jednej chwili (chwili rzeczywistej próby) wykorzystywany był do relatywizowania stanowiska Kościoła. Obecnie obserwujemy kolejny etap tego procesu.

Niektórzy katolicy, np. nieinteresujący się na co dzień polityką i niechodzący na wybory, wciąż mają w pamięci dawny wizerunek Szymona Hołowni i nie zauważyli jego ostatniej przemiany. Nadal pielęgnują w swojej wyobraźni obraz „fajnokatolika" głoszącego „dobroludzizm". Być może o. Szustak należy do tej właśnie grupy.

Skoro żywiołem dominikanina pozostaje nie polityka, lecz teologia, to może warto, by zajął się on religijnymi wypowiedziami Szymona Hołowni? Jak choćby tą mówiącą, że na Sądzie Ostatecznym będą go sądzić zwierzęta, które spotkał, np. świnie, które zjadł. Albo jak ta: „Ludzie nie widzą jednej podstawowej rzeczy, że Jezus stał się człowiekiem, ale też, przecież powtarzamy to w każde święta Paschy, stał się zwierzęciem". Myślę, że analiza teologiczna tych tekstów w wykonaniu o. Szustaka byłaby o wiele pożyteczniejsza i błyskotliwsza niż jego deklaracje polityczne.

eprasa.pl e3907b2c07

Bezmięsni drapieżcy





KONRAD KOŁODZIEJSKI

„To, co jemy na talerzu, nie jest naszą prywatną sprawą" – napisała na Twitterze Sylwia Spurek. Eurodeputowana lewicy nawiązała tym samym do pojawiającego się coraz częściej pomysłu opodatkowania mięsa. Przymusowy weganizm ma być dla ludzkości ostatnią deską ratunku w obliczu nadchodzącej katastrofy klimatycznej

Jak tłumaczy Spurek w artykule opublikowanym na portalu „Krytyki Politycznej", hodowla zwierząt odpowiada za 15 proc. światowej emisji gazów cieplarnianych i jest – obok tradycyjnej energetyki – klimatycznym wrogiem numer jeden. To wszystko łączy się w rozumowaniu pani Spurek z koniecznością obrony praw zwierząt. Cytuje ona amerykańską feministkę Alice Walker, która powiedziała kiedyś, że „zwierzęta egzystują dla siebie samych – nie zostały stworzone dla człowieka w tym samym stopniu, jak kobiety nie zostały stworzone dla mężczyzn, a czarni ludzie nie zostali stworzeni dla białych. Wartością ich życia nie jest przydatność człowiekowi".

A zatem należy odrzucić religijny przesąd, w myśl którego przyroda została poddana przez Boga człowiekowi i spojrzeć na zwierzęta z innej perspektywy, jak na poddawane masowej eksterminacji istoty żywe. Nic dziwnego, że pani Spurek tak bardzo zachwycała się ostatnio grafiką, na której przedstawiono krowy przebrane w pasiaki z gwiazdą Dawida. Większość z nas, zasiadając do obiadu, bierze przecież udział w zagładzie.

Sylwia Spurek jest powszechnie znana ze swoich – delikatnie rzecz ujmując – kontrowersyjnych wypowiedzi. Nie jest przy tym jasne, na ile próbuje się wylansować, podczepiając się pod modny ostatnio nurt radykalnego ekologizmu, a na ile głęboko wierzy w to, co mówi. Obie rzeczy mogą zresztą iść ze sobą w parze. Nie oznacza to jednak, że coraz bardziej szalone postulaty jej środowiska można całkiem lekceważyć. Zdobywają one sobie wielu stronników, i to niekoniecznie wśród mentalnych gimnazjalistów.

NOWY MALTUZJANIZM

Wiele argumentów Spurek zaczerpniętych jest z opublikowanego na początku stycznia ub.r. raportu komisji EAT-Lancet poświęconego problemowi wyżywienia ludzkości. W skład komisji weszła grupa 37 badaczy reprezentujących 16 państw i różne dyscypliny naukowe. Ich zdaniem szybko rosnącej populacji ludzi nie da się wykarmić bez „dramatycznej transformacji" nawyków żywieniowych. Jak obliczają naukowcy, ok. 2050 r. liczba ludności osiągnie 10 mld i gdy wówczas dojdzie do poważnego deficytu gruntów ornych, jedyną metodą uniknięcia głodu będzie bardziej zrównoważona produkcja żywności.

eprasa.pl e3907b2c07

Przypomina to XVIII-wieczne teorie angielskiego ekonomisty Thomasa Malthusa, który przewidywał, że wraz ze wzrostem liczby ludności gwałtownie wzrośnie popyt na żywność, co doprowadzi ostatecznie do klęski głodu, a w jej następstwie do redukcji populacji. Teoria Malthusa okazała się fałszywa, nie uwzględniła bowiem poprawy wydajności w rolnictwie, dzięki której udało



się zaspokoić potrzeby żywnościowe rosnącej liczby ludzi na świecie.

Współcześni następcy Malthusa dostrzegają wprawdzie zmiany zachodzące w rolnictwie, ale upatrują w nich zagrożenie. Jak twierdzą, wskutek zaplanowanej transformacji energetycznej i przejścia na odnawialne źródła energii, to rolnictwo stanie się w przyszłości głównym źródłem emisji gazów cieplarnianych i podstawowym zagrożeniem dla klimatu. Dlatego należy już dziś zrezygnować z przemysłowej hodowli zwierząt i przestawić się na dietę wegańską, która w obliczu rezygnacji z mięsa jest jedynym ratunkiem przed powszechnym głodem. Wytyczne komisji EAT-Lancet są dość radykalne. Zgodnie z nimi codzienna porcja żywności dla dorosłego człowieka nie mogłaby przekroczyć 7 g mięsa czerwonego, 30 g drobiu, ćwierć fileta z ryby oraz 50 g ziemniaków. Ogromnej redukcji miałaby także ulec liczba zjadanych jajek, dozwolone byłoby zaledwie półtora jajka na tydzień (!). Zamiast tego mielibyśmy żywić się fasolą, soczewicą, soją i orzechami. I popijać to wszystko wodą lub mlekiem migdałowym. Sam Bloch, amerykański dziennikarz zajmujący się kwestiami związanymi z żywnością, postanowił przez tydzień żywić się zgodnie z zaleceniami komisji, a na koniec eksperymentu zadał sobie samemu pytanie, czy mógłby tak żyć. I odpowiedział, że raczej nie.

MIĘSO NA KARTKI

Moda modą, ale – jak dowodzi przykład Blocha – mało kto byłby w stanie do końca życia dobrowolnie żywić się strączkami, całkiem odstawić kawę lub zupełnie zapomnieć o jogurcie. Nawet Wielka Brytania, gdzie weganizm jest dość popularny, aby spełnić te radykalne wymagania, musiałaby ograniczyć spożycie mięsa aż o 80 proc. W Polsce byłoby to zapewne jeszcze więcej. Wygląda więc na to, że nową dietę można wprowadzić tylko przymusem.

Komisja zdaje sobie z tego sprawę, dlatego zaleca wprowadzenie podatków od „niewłaściwej" żywności, zakaz jej reklamowania i ograniczenie sprzedaży posiłków na wynos. Nie wyklucza się także racjonowania niektórych produktów, aby „ograniczyć wybór" konsumentów. Oczywiście dla ich dobra. I dobra ludzkości.

Christiana Figueres, była sekretarz wykonawcza Ramowej Konwencji Narodów Zjednoczonych w sprawie klimatu, powiedziała, że osoby jedzące mięso powinny być traktowane jak palacze i zmuszane do siedzenia poza restauracjami, ponieważ mięso „szkodzi naszej planecie i naszemu zdrowiu".

Według wyliczeń aktywistów ekologicznych dieta bogata w mięso powoduje 7,2 kg emisji dwutlenku węgla dziennie od osoby, w porównaniu z 3,8 kg dla wegetarian i 2,9 kg dla wegan. Odejście od mięsa mogłoby więc doprowadzić do zmniejszenia emisji o połowę. Stąd bierze się m.in. pomysł podatku od mięsa. Jego wysokość byłaby zależna od szkód klimatycznych wyrządzanych przez hodowlę zwierząt. Jak się oblicza, po wprowadzeniu podatku cena wołowiny musiałaby wzrosnąć o 40 proc., a mleka i innych rodzajów mięs – średnio o 20 proc.

Sceptycy zwracają z kolei uwagę, że wyliczenia dotyczące szkód wyrządzanych przez mięsożerców są bardzo wybiórcze. Powołując się na badania naukowe, twierdzą, że przejście na dietę wegańską ograniczy emisję gazów cieplarnianych zaledwie o 4,3 proc. Wskazują też na zmiany zachodzące w przemysłowej hodowli zwierząt. Według amerykańskiej agencji ds. statystyk rolniczych USDA Stany Zjednoczone produkują dziś tyle samo wołowiny ile w latach 70. XX stulecia. Wykorzystują jednak do tego o jedną trzecią mniej bydła. Dzięki temu – jak wynika z przytaczanych danych ONZ – od 1975 r. amerykańscy producenci wołowiny zmniejszyli emisję gazów dwutlenku węgla aż o 2,3 gigatony. Kwestionuje się też inne dane dotyczące emisji gazów cieplarnianych. Choć w skali globalnej emisje dwutlenku węgla wynikające z hodowli zwierząt szacowane są na 14,5 proc. (w tym z hodowli bydła na 9 proc.), to w Stanach Zjednoczonych są one znacznie niższe i z bydła wynoszą zaledwie 2 proc. (dla porównania środki transportu w USA odpowiadają za 26 proc. emisji). Wynikałoby z tego, że kluczem do rozwiązania problemów z emisją gazów nie jest całkowita likwidacja hodowli, lecz zmiany technologiczne.

NORWESCY EKOMILIONERZY

Oczywiście niewykluczone, że przeciwnicy ograniczenia przemysłowej hodowli zwierząt są subsydiowani przez potężne organizacje farmerskie, które nie chcą stracić zysków ze sprzedaży mięsa. Problem w tym, że drugiej stronie można zarzucić dokładnie to samo.

Organizacja EAT, która wspólnie z pismem medycznym „The Lancet" opublikowała raport zalecający gwałtowną zmianę diety, została założona w 2013 r. przez pochodzące z Norwegii małżeństwo Stordalenów: Pettera – samozwańczego ekologa, multimilionera i dewelopera, oraz jego żonę Gunnhild opisującą siebie jako działaczkę na rzecz praw zwierząt. Para ta należy do najbogatszych w Europie i prowadzi bardzo wystawny styl życia, pomimo promowanego wizerunku „zielonych mścicieli". Małżeństwo Stordalenów ma bardzo rozległe kontakty biznesowe w świecie i wystarczające środki, aby skutecznie promować wegańską ideologię. Np. w 2014 r. zapłacili 3,5 mld koron Billowi Clintonowi (weganinowi od 2010 r.) za wygłoszoną mowę na konferencji EAT.

Jak piszą w swoim artykule na ten temat Frédéric Leroy z Uniwersytetu

eprasa.pl e3907b2c07

w Brukseli oraz brytyjski filozof Martin Cohen, największym sojusznikiem Stordalenów jest saudyjski książę Khaled bin Alwaleed, który uważa mięso za „źródło wszelkiego zła" i ma „misję weganizacji Bliskiego Wschodu". Khaled zasiada w radzie doradczej amerykańskiego Good Food Institute promującego dietę roślinną wśród licznych naukowców, przedsiębiorców, prawników i lobbystów, którzy dążą do przekształcenia rynku żywnościowego i oparcia go na roślinnych alternatywach dla mięsa.

Dzięki arabskiemu księciu organizacja EAT zyskuje kontakt z wielkimi koncernami spożywczymi, które w promocji wegańskiej żywności upatrują źródło pokaźnych zysków. Styl życia oparty na diecie roślinnej generuje bowiem duże marże, zwiększając swoją wartość dzięki przetwarzaniu tanich materiałów (np. ekstraktów białkowych, skrobi i olejów). Nic dziwnego, że globalny gigant żywnościowy Unilever oferuje już prawie 700 produktów wegańskich w Europie.

Innym kluczowym partnerem EAT jest Światowy Instytut Zasobów (WRI), który jest finansowany przez kilka rządów, firm i fundacji (np. Ford, Shell, Rockefeller, Open Society oraz małżeństwo Billa i Melindy Gatesów). W jednym z dokumentów roboczych przyjętych przez WRI i EAT jest mowa o uczynieniu mięsa produktem „społecznie nie do przyjęcia". Sugeruje się etykietowanie wyrobów mięsnych, opodatkowanie mięsa, a także usuwanie dań mięsnych z restauracji.

ZNIKAJĄCE AWOKADO

Pomimo wzrostu globalnego spożycia mięsa, w tym w USA i krajach rozwijających się, weganizm rośnie i ma się coraz lepiej. Według niektórych sondaży 31 proc. Amerykanów określiło siebie mianem „flexitarian" – ludzi, którzy regularnie zastępują mięso produktami roślinnymi. Z kolei jedna trzecia Brytyjczyków zmniejszyła lub w ogóle zrezygnowała z zakupów mięsa. Nic dziwnego, że branża alternatyw dla produktów pochodzenia zwierzęcego warta jest już miliardy dolarów. Obejmuje mleko i ser bez mleka, imitację wołowiny, kurczaka i ryby oraz skórę wykonaną z liści ananasa lub skórki jabłkowej. Istnieje Beyond Burger i Impossible Burger, wegański parmezan oraz alternatywne mleko wytwarzane z orzechów, owsa, ryżu i soi. Akcje Beyond Meat – pierwszego producenta bezmięsnych burgerów – wzrosły o 600 proc. w ciągu trzech miesięcy po debiucie giełdowym w maju 2019 r.

> Wysokość podatku od mięsa byłaby zależna od szkód klimatycznych wyrządzanych przez hodowlę zwierząt. Cena wołowiny mogłaby wzrosnąć o 40 proc.

Specjaliści od żywienia kwestionują właściwości zdrowotne wielu alternatywnych produktów, które podlegają wielokrotnemu przetworzeniu. Zwraca się uwagę, że znaczna część innowacji w tej branży pochodzi od start-upów z Doliny Krzemowej, dążących do jak najszybszych i największych zysków nawet kosztem bezpieczeństwa konsumentów. Dietetycy zauważają za to przytomnie, że nie da się stworzyć jednej diety dla całej ludzkości, bo jest ona kwestią indywidualnych potrzeb każdego organizmu: dla jednego stek jest szkodliwy, dla innego – wręcz przeciwnie.

Jak się wylicza, przejście na nowy model diety może spowodować podwojenie konsumpcji orzechów, owoców, warzyw i roślin strączkowych. Pierwsze skutki tego procesu można odczuć już dzisiaj. Ceny awokado i komosy ryżowej stosowanych w diecie wegańskiej wzrosły z powodu popytu tak bardzo, że w krajach, które je produkują, takich jak Kenia i Meksyk, stały się niedostępne dla miejscowej ludności. Rząd Kenii – będącej szóstym eksporterem awokado na świecie – zakazał w zeszłym roku ich sprzedaży za granicę. Z kolei Meksyk, dla którego produkcja awokado jest bardziej dochodowa niż sprzedaż ropy naftowej, rozważał import owoców, aby zaspokoić wewnętrzny popyt w kraju. Jednocześnie w Meksyku karczuje się pod uprawy awokado wielkie połacie lasu, podobnie jak w Brazylii, która uprawia na przemysłową skalę niezbędną w diecie wegańskiej soję. O tym aspekcie „transformacji żywieniowej" zwolennicy roślinnej diety zwykle nie wspominają, a często nawet o nim nie wiedzą.

ROZSĄDEK PILNIE POSZUKIWANY

To wszystko nie oznacza, że weganizm jest sam w sobie zły, a osoby rezygnujące z mięsa należy krytykować. Chodzi jedynie o to, aby wszystko pozostało kwestią indywidualnego wyboru. Również zmiany związane z produkcją żywności powinny być rozpatrywane nie według ideologicznych kryteriów, a zgodnie z lokalnymi potrzebami i możliwościami. Nie wszędzie da się uprawiać soję i awokado. Gdzieniegdzie nie da się uprawiać nic poza trawą, która stanowi pożywienie dla zwierząt hodowlanych. Racjonalne odżywianie ma sens, ograniczanie wyboru i racjonowanie żywności to ślepy kierunek.

Nic dziwnego, że Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) wycofała swój patronat nad raportem EAT-Lancet. Przedstawiciel Włoch w WHO Gian Lorenzo Cornado zakwestionował naukowe podstawy zalecanej przez Norwegów diety. Cornado ostrzegł ponadto, że przyjęcie zaleceń komisji EAT może doprowadzić do utraty milionów miejsc pracy związanych z hodowlą zwierząt i produkcją „niezdrowej" żywności oraz zniszczyć tradycyjne diety, które są częścią światowego i kulturowego dziedzictwa. Dodał również, że pod względem żywieniowym „reżim dietetyczny" może wywołać niedobór żywieniowy dla zdrowia ludzkiego.

Czy jednak ten głos rozsądku wygra w starciu z ogromnym kapitałem pompowanym dziś w promocję diety wegańskiej?

eprasa.pl e3907b2c07

Opozycja może się uczyć od Kaczyńskiego

Kandydat w wyborach, zwłaszcza prezydenckich, to saper, który chodzi po polu minowym: co chwilę może mu pod nogą wybuchnąć bomba – mówi Grzegorz Napieralski, poseł Koalicji Obywatelskiej, przez lata szef Sojuszu Lewicy Demokratycznej, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

10 lat temu z wynikiem niemal 14 proc. zaskoczył pan w wyborach prezydenckich. Nie żal panu, że dziś nie jest pan w pierwszej linii?

Grzegorz Napieralski: Szczerze mówiąc, mam mieszane uczucia. Z jednej strony chyba nie chciałbym tego przeżywać jeszcze raz, startować, szarpać się – wiem, jak trudna jest kampania prezydencka, która opiera się tylko na jednym człowieku, na kandydacie. Z drugiej strony każdy polityk ma w sobie coś, co szepcze mu, by spróbować. Na dziś rozsądek podpowiada, że lepiej być w kampanii z boku, jako pomagający, a nie główny gracz.

Zaczynał pan w kampanii 2010 r. bez większych szans na dobry wynik. Jak się łapie ten kampanijny wiatr w żagle? Da się go jakoś wywołać, sprowokować?

Ciężka praca i szczęście.



Zwykły fart?

Może nie tyle fart, ile splot pozytywnych okoliczności. Nasza kampania była w specyficznym momencie, w cieniu katastrofy smoleńskiej. Ale oczekiwania wyborców są zawsze podobne, a odwiedzenie jak największej liczby powiatów, miast, miasteczek – by pokazać się jako pracowity – zawsze daje punkty politykom.

Naprawdę ma to znaczenie, ile gmin odwiedzi polityk? I ile rąk uściśnie, tyle głosów więcej dostanie?

Coś w tym jest. Gdy obserwowałem kampanię Andrzeja Dudy z roku 2015, to widziałem sporo podobieństw do mojej kampanii. Duda startował z podobnej pozycji co ja: nawet niemała część polityków PiS nie wierzyła w jego sukces, bez nadziei, że pokona Bronisława Komorowskiego. Ale pracą i energią Andrzej Duda zaskarbił sobie więcej sympatii, niż wynikałoby to z normalnej kampanii.

Wszyscy jeżdżą po bazarkach, rynkach i targach, a nie każdy umie przekuć te spotkania w dobry wynik.

I tutaj dochodzimy do kwestii zaplecza partyjnego, które stoi za kandydatem. Struktury, pieniądze, ludzie – ten cały organizm ludzki, jaki stoi za danym politykiem. To naprawdę ułatwia korzystanie z tego politycznego wiatru. Ale bez indywidualnej, dobrze pojmowanej zaciętości oraz sympatycznego kontaktu z ludźmi niczego się nie osiągnie.

Na czym polega ta zaciętość? Na pojawieniu się, jak pan, o piątej rano przed zakładami pracy?

Z racji tego, że byłem bardzo młodym kandydatem, który ledwo przekroczył wiek pozwalający na start w wyborach, postanowiliśmy postawić na aktywność. Szukaliśmy przy tym spotkań i miejsc, których do tej pory nie było na politycznej mapie, których politycy nie wykorzystywali. Miejsca pracy zagrożone zamknięciem czy ograniczeniem produkcji były tutaj czymś oczywistym: stawałem przed tymi firmami o czwartej, piątej rano i czekałem na pracowników.

Rozdając jabłka, które za pana sprawą na stałe weszły do codzienności kampanijnej.

Z tymi jabłkami wyszło całkiem przypadkowo. Staliśmy w porannej ulewie, obok pani straganiarka rozpaczliwie i bezskutecznie próbowała sprzedawać jabłka pędzącym do pracy robotnikom. Postanowiłem, że kupię kilka sztuk, by nie było jej smutno. Ona na mnie spojrzała, poprosiła, bym po dobrej cenie wziął cały worek. Nie miałem serca

eprasa.pl e3907b2c07

odmówić. Jabłka rozdaliśmy i tak to się zaczęło. Polityka to w dużej mierze emocje: jeśli ktoś ma umiejętność poruszania się wśród ludzi, lubi ich, to ma też zdolność do szybkiej reakcji. A to procentuje.

Z całym szacunkiem, ale o czwartej rano to się spodziewam, że robotnik powie politykowi: „Spieprzaj pan", a nie porozmawia o wyborach.

Nie zawsze tak jest. Pracownicy często byli w szoku, że ktoś mógł się pojawić przed piątą rano i powiedzieć do nich: „Jestem z wami". Nawet w miejscu, gdzie rozdawaliśmy jabłka, mieliśmy sytuację, w której rano wychodził z zakładu facet, mówiąc mi wprost: „Nie będę na pana głosował, lewica to nie moja bajka, ale szacunek, że pan tu jest". Ludzie, wbrew pozorom, lubią polityków, którzy wchodzą między ludzi. No i tutaj urzędujący prezydent ma łatwiej.

Dlaczego?

Zawsze zbiera punkty za popularność i autorytet urzędu. Ludzi motywuje do kontaktu ciekawość. Nawet, jak nie są twardymi sympatykami, to chcą spotkać się z kimś ważnym. Prezydent tę ważność symbolizuje. Im mniejsza miejscowość, tym większe zainteresowanie, że przyjeżdża głowa państwa. Niezależnie, kto sprawuje urząd.

Jak gwiazda rocka albo sportu?

Trochę tak. To wszystko budzi ciekawość. Żeby było jasne – ciekawość naturalną, normalną, nie potępiam tego.

Pan tę ciekawość budził też przez słynny teledysk z bliźniaczkami. Poppolityka?

I tak, i nie. Byłem na początku przeciwko temu pomysłowi. Atmosfera po dramacie 10/04 była dla mnie czymś, co powinno zostać uszanowane. Moje koleżanki i koledzy ze sztabu przekonywali jednak, że po oddaniu czci zmarłym, trzeba iść dalej – z szacunkiem, wyczuciem, dobrym smakiem, ale dalej. Że i wyborcy, i rodziny ofiar, chcą, by życie publiczne w Polsce toczyło się bez ciągłego trwania w żałobie. Proszę pamiętać sytuację, w której startowałem: i Bronisław Komorowski, i Jarosław Kaczyński to doświadczeni politycy, ciężkiej wagi. Trudno było mi konkurować na ich polach, więc trzeba było szukać swojego boiska, na którym mogliśmy być liderami. Ten teledysk i energia były takim boiskiem.

W takich klimatach łatwo przegrzać „swojskość". Polityk się nie obejrzy, a staje się śmieszny.

Zgadzam się. Ludzie Aleksandra Kwaśniewskiego też bali się, czy disco polo i „Ole, Olek" pomogą w kampanii. Pomogły.

Małgorzata Kidawa-Błońska powinna zatańczyć do disco polo?

Nie wiem, to zależy przede wszystkim od osobistych preferencji polityków [śmiech]. Kandydatka czy kandydat musi się dobrze czuć ze swoim przekazem. Mogę powiedzieć jedną rzecz z pełnym przekonaniem i szczerością: byłem przy Małgorzacie w trakcie wydarzeń, które wspólnie organizowaliśmy w kampanii w roku 2019. Towarzyszyłem przy objeździe Polski powiatowej przed wyborami do Parlamentu Europejskiego czy Sejmu. Wychodziliśmy z samochodu i ona szła pierwsza do ludzi. Ma, podobnie zresztą jak Andrzej Duda, naturalną umiejętność kontaktu z ludźmi, ciepło.



Fot. Stanisław Kowalczuk/East News

Nie widać tego, panie pośle. Jest w niej jakaś sztuczność, gen elitarnej Unii Wolności. Sama mówiła w formie zarzutu, że poparcie Dudy to efekt tego, że zachowuje się jak zwykły człowiek.

eprasa.pl e3907b2c07

Słowo daję, że tego genu w niej nie dostrzegłem. Wręcz przeciwnie.

Zostawmy to. Dużo się w polityce zmieniło przez tę dekadę od pana startu w wyborach prezydenckich?

Zmieniło się to, że polityka przeniosła się w dużej mierze do internetu, do mediów społecznościowych. Urosły telewizje informacyjne, pojawiły się portale internetowe. Kiedyś, jak coś się w polityce wydarzyło rano, to przez cały dzień mieliśmy możliwość wypracowania odpowiedzi, reakcji, by wybrzmiało to w serwisach wieczornych. Dziś, gdy coś dzieje się o 16.00, to o 16.01 już żyje własnym życiem i trzeba gasić pożar, reagować. Ale to techniczne kwestie wymagające profesjonalizacji. Na niekorzyść zmienił się język. Jeszcze się w polskim Sejmie nie pobiliśmy, ale brutalne ataki ad personam stały się czymś powszednim.

Powie ktoś: zawsze tak było. Ani lata 90., ani wybory po roku 2000 nie były wolne od ataków czy chwytów poniżej pasa.

Mimo wszystko były to incydenty, a nie reguła. Można było ponad podziałami rozmawiać na rzecz lokalnych spraw: zgłaszać wspólne poprawki do budżetu, dyskutować. Dziś nikt nie podpisze się pod jednym wnioskiem z rywalem z innej partii. Mało tego, wspólne zdjęcie z kolegą z konkurencji odbierane jest jako zdrada przez sporą część wyborców. Wytworzył się straszny klimat, dyskusjofobii. Jakbyśmy się bali merytorycznej rozmowy. Zamieniliśmy to na licytację wzajemnych oskarżeń.

Nie wymagam, by Władysław Kosiniak-Kamysz czy Szymon Hołownia chwalili kandydatkę KO. Ale gdy słyszę, że Włodzimierz Czarzasty mówi o stęchliźnie... Po co takie słowa? One wcale nie są skuteczne

Emocje.

Są ważne, ale nie zwalniają nas z myślenia. Oczywiście dobre rozpoznanie emocji wśród wyborców to chyba najtrudniejsze zadanie w każdej kampanii. Trzeba je czuć i rozumieć. Kandydat musi wiedzieć, co się tak naprawdę dzieje i mówi w Polsce, i żywo na to reagować. To musi być mądry miks powagi, szczerych uczuć i dystansu do samego siebie. Jak jesteśmy na dożynkach w małej miejscowości, to można być w samej koszuli, z kuflem piwa i prowadzić luźne rozmowy nieskomplikowanym językiem, ale podczas debaty telewizyjnej fraternizacja i język potoczny nie są dobrze widziane.

Gorzej gdy opowiada się żarty, które uszły na sucho na dożynkach, a wycięte stamtąd wybrzmiewają w telewizji.

To może się okazać tak żenujące, że przekreśli cały wysiłek sztabowców. Zamieni się w viral, mem, będzie krążyć w sieci. Kandydat w wyborach – zwłaszcza prezydenckich – to saper, który chodzi po polu minowym: co chwilę może mu pod nogą wybuchnąć bomba. Nie można ani szarżować, ani dać się podpuścić. Trzeba trochę mieć szczęścia, by nie nadepnąć na minę, a jeśli już się to przytrafi, to przynajmniej reagować tak, by szkody były minimalne.

Wracając do dzisiejszej kampanii, pan też apeluje o pakt o nieagresji wśród kandydatów opozycyjnych?

Nie wymagam, by Władysław Kosiniak-Kamysz czy Szymon Hołownia chwalili kandydatkę KO. Muszą się czymś różnić, ale niech to będzie spór o jedną czy drugą ustawę, o podatki, o rolę Polski w UE czy sojusze militarne. I to jest jasne, ale gdy słyszę, że Włodzimierz Czarzasty mówi o stęchliźnie... Po czymś takim trudno będzie w drugiej turze mówić...

...żeby na tę stęchliznę głosować.

Właśnie. [śmiech] Po co takie słowa? One wcale nie są skuteczne.

Ale ten zarzut jest realny: że wy na opozycji sztucznie się różnicie, a tak naprawdę chcecie tylko odsunąć PiS od władzy i nic więcej.

Każdy podręcznik do politologii powie panu, że celem opozycji jest zdobycie władzy. Tak, chcemy władzy jako skutecznego narzędzia zmiany polskiej rzeczywistości na lepsze i jesteśmy przeciwnikami wizji PiS – tak jak kiedyś obóz Jarosława Kaczyńskiego był przeciwnikiem SLD, później PO i Donalda Tuska. Gdybyśmy spojrzeli na Ziobrę i Gowina, to ich różni wiele, ale w ramach wspólnoty programowej udało się zbudować obóz. Jarosław Kaczyński jakoś potrafił to skleić i tego możemy się od niego na opozycji uczyć. Przed rokiem 2015 prezes PiS dobrze wyczuł nastroje w tej części wyborców, do których mógł się odwołać, i uznał, że nie ma sensu się kłócić, że trzeba się przesunąć. Kaczyński po tych wszystkich wydarzeniach, oskarżeniach o zdradę, kolejnych przegranych wyborach, uznał, że są racje wyższe. Podobne oczekiwanie jest dziś po stronie opozycyjnej. To naprawdę żaden zarzut.

Jest jeszcze jedna teza: że te wszystkie rozważania, które snujemy, to pisanie palcem po wodzie. A wystarczy zrobić dobre badania opinii publicznej i wiemy, czego chcą wyborcy, jakiego języka, jakich propozycji. Kandydat z fokusów.

Badania są ważne, nie przez przypadek Jarosław Kaczyński po wyborach do PE w swoim wystąpieniu dziękował socjologom. Nie wolno nie doceniać badań, natomiast jestem przeciwnikiem tezy, że wszystko w polityce wychodzi w sondażach. Doświadczenie i wyczucie potrafią zdziałać więcej niż tabelki z Excela i wykresy socjologiczne. Mocny polityk, mocny obóz polityczny potrafią wpływać swoją charyzmą na opinię publiczną. A bez nosa politycznego żadnych wyborów wygrać się nie da. Sondaże go nie zastąpią.

eprasa.pl e3907b2c07

W jak wyborcze wióry



Hanna Karp

Rozkręca się kampania prezydencka. O tym, że kluczowe są w niej środki komunikowania, mogliśmy się przekonać niedawno, śledząc burzliwy ciąg wydarzeń wokół pewnego gestu wykonanego w Sejmie po głosowaniu. Ale wróćmy do początku.

CO MOŻE PALEC?

Czy palec może przykryć dom? Czy może zasłonić wielką willę zbudowaną w Kazimierzu nad Wisłą? Czy może posłużyć za temat 24-godzinnych komentarzy? Otóż może to wszystko, a nawet jeszcze więcej, gdy zechcą do tego medialne korporacje. Może jeszcze zamazać wiele rzeczy: na przykład z niewygodnych profesorskich, rektorskich i politycznych biografii. Można zagłuszyć nim obelgi wznoszone pod adresem prezydenta RP podczas oficjalnych uroczystości państwowych i zakryć obelżywe transparenty w rodzaju: „Duda jesteś wstydem narodu", „Duda = 4 litery", oraz tłumić wrzaski w rodzaju: „Będziesz siedział", „Marionetka".

Można by rzec, mały obiekt, a wystarczył na kilka dni rabanu medialnym imperiom. Ciekawe, że do chwili nadzwyczajnego wydarzenia z rzekomym gestem jego autorka, pomimo że pracowita i aktywna w Sejmie, wciąż dla szerokiej opinii publicznej, a dla komercyjnych stacji w szczególności, niemal całkowicie nie istniała. Choć współrealizowała kilka ważnych filmów o katastrofie smoleńskiej, w tym takich jak: „Mgła" (2011), „Pogarda" (2011), „Przebudzenie" (2011), „Prezydent" (2013). Napisała wiele artykułów i kilka książek, a jako polityk udzieliła interesujących wywiadów. Jednak medialne kolosy nie uznały za słuszne poświęcić jej choćby minuty antenowego czasu. Uważając ją – w najlepszym wypadku – za powietrze. A przecież było z czego cytować, co analizować, co krytykować lub chwalić. Jednak choćby nie wiem, co robiła i mówiła, to medialna bania wokół niej wybuchła dopiero, gdy uznano, że pokazała otoczeniu środkowy palec. Żeby rejwach przedłużyć, „Gazeta Wyborcza" w sobotnim wydaniu na całą kolumnę, zamiast reklamy, zamieściła jej fotografię, jak zasiada w ławie sejmowej z uniesionym w górę domniemanym obiektem zgorszenia. Wielka okładka zostanie – cieszyli się złośliwcy. Ale paradoksalnie – zgodnie z logiką nowych mediów – nie zaszkodzi. Przeciwnie.

KOMENTARZE: MIAŁA ŚWIĘTĄ RACJĘ!

W sieci już tworzą się fankluby niegrzecznej Joanny, a gest wycierania policzka à la Lichocka staje się gestem kultowym. Amunicja na kolejną kampanię wyborczą jak znalazł. Gdy komentowano wydarzenie na żywo, dominowały wpisy w rodzaju tych, który umieścił „Czarek": „Nawet pod tym artykułem, tylko na tej stronie, trzech imbecyli czepia się Lichockiej, a miała świętą rację. Na jej miejscu pokazałbym tej wyjącej tłuszczy w Sejmie gest Kozakiewicza, palec to mało". Liczni mieli za złe, że poseł następnego dnia przepraszała. „Mirro" pisał: „Pani Lichocka niepotrzebnie się tłumaczyła. Hołota wrzeszczała »hańba«. Kiedy zeszła z mównicy, więc im pokazała. Dostali to, na co zasługują. To PO i SLD wprowadza chamskie zwyczaje w Sejmie i poza nim".

Następnego dnia rano Jarosław Olechowski, dyrektor Telewizyjnej Agencji Informacyjnej z TVP, zestawiając na Twitterze zdjęcia poseł ze stop klatki, umieścił jeszcze

eprasa.pl e3907b2c07

wizerunki Roberta Biedronia z Lewicy i Borysa Budki z Platformy Obywatelskiej z rękami w geście kojarzącym się z salutem rzymskim oraz księcia Williama wykonującego gest palcami, informując: „Każde z tych ujęć (pozbawionych perspektywy i wyjętych z kontekstu sytuacyjnego) można wykorzystać do politycznego ataku". I dalej pytał: „Ciekawe, czemu zdecydowali się na to tylko politycy opozycji w przypadku Joanny Lichockiej?". Z kolei Dawid Wildstein, komentując powstałe zamieszanie, zauważył na swoim profilu mediów społecznościowych: „[...] ja widziałem na żywo zachowanie posłów PO w Sejmie. Takiego bydła i chamstwa nie ma na najgorszych melinach".

Następnego dnia po feralnym wydarzeniu poseł złożyła oświadczenie podczas krótkiej konferencji prasowej w Sejmie. „Chciałam wyrazić ubolewanie, jeżeli ktoś poczuł się tym urażony czy rozczarowany" – stwierdziła między innymi.

> Czy palec może przykryć dom? Czy może zasłonić wielką willę zbudowaną w Kazimierzu nad Wisłą? Czy może posłużyć za temat 24-godzinnych komentarzy? Otóż może to wszystko, a nawet jeszcze więcej, gdy zechcą tego medialne korporacje

GDYBY CHCIAŁA, TOBY POKAZAŁA

Do mnie jednak trafiły jej pierwsze słowa, gdy reagując na gorąco, mówiła: „Gdybym chciała pokazać gest środkowego palca posłom PO, którzy po chamsku zachowywali się na sali plenarnej, tobym to zrobiła". I na tym oświadczeniu mogło się zakończyć. Można analizować, czy słusznie zrobiła, ustępując presji wrogich partii, stacji i redakcji. Materiał filmowy wyraźnie wskazuje, że pocierała sobie – dosyć nerwowo, ale jednak policzek. Równie dobrze mogłaby się podrapać za uchem. Późniejsze tłumaczenia spowodowały tylko kolejne, jeszcze większe ataki. Wydaje się, że niepotrzebnie uległa naciskom, przede wszystkim własnej partii obawiającej się presji mediów. A tej nie należy jednak demonizować i niepotrzebnie stale ulegać.

Jeden z prawicowych publicystów, znany lider opinii i gwiazda You Tube'a, pytany o „Gazetę Wyborczą", która aspiruje stale do roli superpartii rozgrywającej wszystkie rządy, zwykle tłumaczy, że kiedy ma jakieś wątpliwości, najpierw przegląda papierowe wydanie gazety. I wtedy z definicji, co do komentarzy, a nawet i faktów, przyjmuje tezy odwrotne do tego, co pismo lansuje. Okazuje się, że według tej metody – często nieświadomie – gazetę czyta także wielu Polaków. Tak więc paradoksalnie w sensie wizerunkowym byłoby znacznie gorzej dla naszej bohaterki, gdyby redakcja z Czerskiej zamiast codziennego ostrego ostrzału zaproponowała jej wielki wywiad do „Dużego Formatu". Albo gdyby telewizyjna stacja, która niezmiennie mówi całą prawdę całą dobę, zaoferowała z dobrym skutkiem występ w „Tańcu z gwiazdami". Mam nadzieję, że rozumie to także sprawczyni całego zamieszania. Dobrze jest pamiętać, że wielkie media ślepo uderzają, często nieświadomie zmieniając ofiarę w zwycięzcę. Choć wcześniej dramatycznie spychały ją w polityczny mulisty grunt. Jedno jest jasne. Gdyby zbliżały się wybory nie prezydenckie, ale parlamentarne, poseł miałaby z powodu powstałego nagle zawirowania jedno z najbardziej rozpoznawalnych nazwisk na wyborczej liście, a tym samym gwarantowane miejsce w ławie sejmowej.

POST SCRIPTUM

Logika Lisa

Wywód redaktora z felietonu „Tak, tak; nie, nie": Joanna Lichocka przeprosiła za swój obrazoburczy gest, kandydatka Małgorzata Kidawa-Błońska za uściski „z ludźmi, którzy postanowili okazać brak sympatii dla kandydata Dudy" – nie wyraziła żalu. Kto więc sieje „prostactwo" „nienawiść" i „zło"? Jaki jest wniosek redaktora? Poseł Lichocka i jej PiS. Po raz kolejny widzimy, że pismo Lisa redagowane jest dla ludzi z innej cywilizacji niż zachodnia, choć tytuł swojego tekstu autor opatrzył cytatem z... Pisma Świętego.

MYŚL MIESIĄCA

Reżyser Mariusz Pilis: Pewne jest, że „Gazeta Wyborcza" przez wiele lat w sposób niezagrożony, bezkonkurencyjny, dysponując olbrzymimi finansami, była w stanie ulokować w różnych miejscach w Europie mnóstwo ludzi jako korespondentów, współpracowników, których – teraz to widzę, bo dotknęło mnie to wielokrotnie osobiście przy okazji realizacji filmów za granicą – śmiało można nazwać jednostkami wpływu. To są ludzie, którzy kształtują opinię o Polsce, a będąc poza krajem wiele lat, byli w stanie stworzyć wokół siebie grono tych, którzy się z nimi kontaktują – dziennikarzy, ludzi kultury itp.

Ruszyła zbiórka publiczna na film pod roboczym tytułem „Gra w gazetę". Rzecz będzie o Agorze i „Gazecie Wyborczej". Jego reżyserem będzie Mariusz Pilis. Artysta zachęca do wsparcia nowego projektu na swoim Facebooku – POPIERAM NA STO PROCENT!

SZATNIARZ Z MARRIOTTA

Ostatnio ze zdumieniem zobaczyłam, że szatniarz z Marriotta schował mi kapelusz do rękawa płaszcza. Myślałam, że jeszcze na odchodne zawoła: Nie mam kapelusza i co mi pani zrobi?

A przed wyjściem, kwadrans wcześniej, było jeszcze tak miło na gali Człowieka Wolności.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

eprasa.pl e3907b2c07



Toczy się wojna informacyjna

Każdy kraj może albo prowadzić politykę historyczną, albo pozwolić, aby prowadzili ją inni. Polska polityka historyczna musi być bardziej ofensywna

*Jacek Karnowski rozmawia z **Maciejem Świrskim**, prezesem Reduty Dobrego Imienia*

Reduta Dobrego Imienia działa już osiem lat. Powstała w czasach rządów PO-PSL, w pewnej mierze jako krzyk rozpaczy, w sytuacji gdy państwo polskie nie tylko nie broniło prawdy historycznej i dobrego imienia Polaków, ale także wspierało niektóre antypolskie przedsięwzięcia. Czy dziś, gdy mamy inne rządy, poważnie traktujące tę sferę, Reduta wciąż jest potrzebna?

Maciej Świrski: Jest potrzebna. Państwo nie może – ani nie powinno – wszystkiego robić. Wolność polega również na tym, że wiele rzeczy jest pozostawionych obywatelom. Są działania, które należą do organizacji społecznych, takich jak Reduta. Np. państwo nie może pozywać dziennikarzy za kłamstwa, bo każde takie działanie spotka się natychmiast z ostrą reakcją tych, którzy są wrodzy polskiej polityce historycznej.

eprasa.pl e3907b2c07



Fot. Andrzej Skwarczyński

Będą krzyczeli, że to opresja i zamordyzm?

Tak, że to cenzura. A chodzi o zwalczanie stalinowskiej dezinformacji w stosunku do Polski. To stało się jasne w czasie ataków Putina na Polskę przed rocznicą Auschwitz. Ciekawe, że autorzy antypolskiej narracji historycznej zamilkli w czasie ataków Putina. Chyba zrozumieli, że mówią dokładnie to samo co on. Nagle ze strony obozu oskarżającego Polskę o genetyczny antysemityzm i współodpowiedzialność za zbrodnie niemieckie nie było ani słowa. A potem pojawiły się nieśmiałe zaprzeczenia. Wyraźnie nie wypadało brzmieć jak rzecznik prasowy Putina. Przy okazji nowelizacji ustawy o IPN było inaczej. Twierdzono, że to wprowadzenie cenzury. A przecież – co rozumieli wszyscy Polacy – chodziło o walkę z określeniem „polskie obozy koncentracyjne". Nie było mowy o ograniczaniu badań historycznych ani wydarzeń artystycznych. Przeciwnikom chodziło o przeniesienie dyskusji poza Polskę, o narrację pokazującą, tak jak wcześniej robił to Stalin, że opcja niepodległościowa w Polsce jest niebezpieczna, że „skrajna prawica" przejęła władzę i rzekomo zaprzecza prawdzie na temat Holokaustu. Absurd, ale świat w to wierzył. Na marginesie, to dobry moment, by wyjaśnić, że nie byłem autorem tej ustawy o IPN.

Rzeczywiście, szukano autora.

Na mnie wskazał Piotr Trudnowski z Klubu Jagiellońskiego, co potem rozlało się absurdalnie szeroko. A było tak, że do Reduty nie dotarł list wysłany przez RCL w ramach konsultacji społecznych. Nie trafił na czas i po prostu na niego nie odpowiedziałem. Można było sprawdzić na stronach RCL lub skontaktować się ze mną przed napisaniem tekstu.

Czy uważa pan, że ta nowelizacja była błędem?

Nie, błędem było wpisanie kar pozbawienia wolności za używanie pewnych pojęć. Organizacje społeczne, takie jak Reduta, od dawna apelowały o uchwalenie prawa, które dawałoby im tzw. legitymację czynną do walki o dobre imię Polski. Wcześniej było tak, że np. przeciwko twórcom filmu „Nasze matki, nasi ojcowie" mógł wystąpić jedynie poszkodowany, a więc żołnierz Armii Krajowej. Wiemy przecież, że takich osób jest coraz mniej.

Czyli nowelizacja ustawy o IPN tę sprawę załatwiła?

Tak. Choć już wcześniej udało się m.in. Reducie wypracować taką linię orzeczniczą, która poszerza krąg osób mogących występować w obronie dobrego imienia Polski. Wygraliśmy dwie sprawy, w których sąd uznał, że ja, Maciej Świrski, mam prawo występować w obronie prawdy historycznej. Była to m.in. głośna sprawa przeciwko „Newsweekowi". Reduta wspiera wiele procesów: wygraliśmy dziewięć, w tym cztery prawomocnie, a kilka zainicjowaliśmy. Wspierając Krystiana Brodackiego, syna bohaterki Marii Brodackiej, zabitej w Palmirach, któremu wygraliśmy przeprosiny na głównej stronie portalu aż przez siedem dni i rekordową kwotę 100 tys. zł od Onetu. Tekst Onetu, zilustrowany zdjęciem kobiet prowadzonych na rozstrzelanie w Palmirach, dotyczył romansów Polek z Niemcami i „prostytucji bytowej" podczas wojny. W sprawie Niemca znieważającego polskich pracowników w I instancji wywalczyliśmy dla Natalii Nitek-Płażyńskiej przeprosiny m.in. w ogólnopolskiej telewizji oraz 50 tys. zł zadośćuczynienia dla muzeum w Piaśnicy, a w sprawie karnej – niemiecki pracodawca został uznany za winnego. W sprawie Janusza Fatygi wywalczyliśmy m.in. przeprosiny w Fakt.pl i zadośćuczynienie. Z powodzeniem monitorowaliśmy też proces kpt. Z. Radłowskiego. Przypomnę, że Reduta nie jest instytucją państwową. Opłacamy wszystkie koszty sądowe, administracyjne itd. Korzystamy też z wiedzy wybitnych specjalistów od dóbr osobistych, m.in. dr Moniki Brzozowskiej-Pasieki i radcy prawnego Jerzego Pasieki.

Czy atak na Polskę w związku z przyjęciem nowelizacji ustawy o IPN był wcześniej zaplanowany, czy wynikał z mylnego odczytania intencji rządu w Warszawie?

Myślę, że nikt w Polsce nie doceniał w pełni uaktywnienia po wyborach 2015 r. antypolskiej narracji stalinowskiej: Polska niepodległa pod rządami prawicy to Polska, która niby zagraża mniejszościom narodowym. Ta sama narracja, której używano do zwalczania żołnierzy wyklętych po tzw. wyzwoleniu, jest teraz ponownie używana do zwalczania Polski, która śmie być suwerenna. Jest stały nacisk na Polskę w celu porzucenia polityki historycznej, prowadzonej od przełomu 2015 r. Dziś, także po Światowym Forum Holokaustu w Yad Vashem, widzimy, dlaczego przypuszczono atak na znowelizowaną ustawę o IPN. Chodziło o to, żeby można było przedstawiać Polskę jako sprawcę Holokaustu, przy jednoczesnej rozbudowie sowieckiej narracji historycznej. W tym sensie atak Putina na Polskę

eprasa.pl e3907b2c07

to nie jest sprawa dotycząca wyłącznie historii. Jest to element polityki zagranicznej Rosji, która od dziesięcioleci tak przedstawia sprawę relacji polsko-żydowskich, aby w oczach międzynarodowej opinii Polska była skompromitowana, aby uniemożliwić zbliżenie Polski ze Stanami Zjednoczonymi i współpracę z Izraelem. Automat Kałasznikowa został zamieniony na komputer i media społecznościowe, ale cele są podobne. To próba zmiany świadomości społeczeństw Zachodu. Dziś atakowana jest prawda historyczna, ale skutki mają być podobne do tych, jakie Rosja Sowiecka próbowała osiągnąć w latach 70. i 80., gdy wspierała RAF czy Czerwone Brygady.



Jak można ocenić polską odpowiedź na konferencję w Yad Vashem i poprzedzający ją ostrzał propagandowy? Czy rzeczywiście po raz pierwszy od lat udało nam się skutecznie odpowiedzieć na tego typu atak? Putin jednak się cofnął.

List premiera Morawieckiego rzeczywiście odbił się szerokim echem. Uzgodniono także reakcję sojuszniczą. Zarówno Amerykanie, jak i Niemcy niemal równocześnie udzielili nam wsparcia, i to z pewnością był sukces Polski. Udało się pokazać światu, że toczy się wojna informacyjna. Prasa całego świata pisała o tym, że Putin przesadził. Prezydent Izraela, witając gości w Jerozolimie, poprosił o zostawienie historii historykom. Na świecie było to komentowane jako reprymenda dla Putina. Moim zdaniem to nie koniec ataków rosyjskich, co zresztą widać.

Prof. Andrzej Zybertowicz twierdzi, że choć nie udało się zbudować Maszyny Bezpieczeństwa Narracyjnego, słynnej „MaBeNy", to jednak Polska poprawiła koordynację swoich instytucji.

To prawda. Nie wolno jednak zapomnieć o sprawie podstawowej: długofalowym celem Putina jest zmiana świadomości Zachodu, tak by powielał narrację rosyjską, przede wszystkim kosztem Polski. Dalekosiężne plany rosyjskie zawsze zakładały likwidację Polski i Putin jest temu wierny: jego celem jest albo zniszczenie państwa polskiego, albo co najmniej podporządkowanie, jak to było w czasach PRL lub wcześniej, pod zaborami. Nie ma potęgi Rosji bez zniewolonej Polski. Gramy więc o życie.

Jak ważnym polem gry jest w tym kontekście polityka historyczna?

Bardzo ważnym. Każdy kraj może albo prowadzić politykę historyczną, albo pozwolić, by prowadzili ją inni. Dziś chce to robić Rosja Putina, wykorzystując, jak zawsze, całą gamę „active measures", środków aktywnych. Opór Polski przeciwko dezinformacji powoduje agresję informacyjną. Nie możemy jednak się zniechęcać. Wręcz przeciwnie. Polska polityka historyczna musi być bardziej ofensywna. Trzeba też mówić prawdę o sowieckiej propagandzie przeciwko Polsce i o tym, czemu ta propaganda ma służyć.

Czy nie jest tak, że naszym głównym problemem jest przede wszystkim niemal całkowite wyrugowanie z globalnej pamięci polskich ofiar II wojny światowej?

Tak, przez całe lata na świecie nikt o tych ofiarach nie mówił. Do 1989 r. Polską rządzili ludzie Moskwy, byliśmy zresztą odcięci żelazną kurtyną i przekaz o polskich ofiarach nie docierał na Zachód. W III RP głównym wyznacznikiem narracji była pedagogika wstydu. Na szczęście po 2015 r. nastąpiła zmiana. Lecz ze względu na wrażliwość żydowską pokazanie polskiego cierpienia i polskich ofiar wymaga dużej delikatności, takiej, jaką widać w działaniach ambasadora RP w Izraelu Marka Magierowskiego. Działania ambasadora Jakuba Kumocha w sprawie Grupy Berneńskiej także są nie do przecenienia. Trzeba eksponować nasze ofiary i bohaterstwo, a jednocześnie ścigać sądowo tych, którzy przypisują nam sprawstwo Holokaustu. To robi Reduta. Komentatorzy zachodni i izraelscy już widzą, że cierpienie Polaków pod okupacją niemiecką i później sowiecką nie jest w pełni dostrzegane. To jest ogromna zmiana jakościowa i trzeba na niej dalej budować. Musimy działać mądrze i subtelnie, ze świadomością, że to nie jest konkurs na cierpienia, lecz proces odkrywania prawdy – i walczenia o nią w sądach, gdy to konieczne. Prawda o ofiarach – polskich, żydowskich, wszystkich – to nie jest kwestia polityki tego czy innego państwa, lecz moralności w polityce międzynarodowej. Szczególnie ważna i dla Izraela, i dla Polski.

Reduta Dobrego Imienia walczy w sądach, pozywa, ale jest też pozywana. Głośny proces wytoczył wam prof. Jan Grabowski, współautor i redaktor bardzo kontrowersyjnej książki „Dalej jest noc".

Proces nie dotyczy tej książki, ale naszego listu, pod którym podpisało się w czerwcu 2017 r. 135 polskich naukowców. Napisano w nim o wątpliwych metodach badawczych prof. Grabowskiego. Ponad rok później J. Grabowski złożył w sądzie obszerny pozew, w którym żąda przeprosin za „naruszenie jego dobrego imienia".

Fot. Andrzej Skwarczyński

Autopromocja

eprasa.pl e3907b2c07

Zamierzacie się poddać?

Wręcz przeciwnie. Złożyliśmy prawie tysiącstronicową odpowiedź, przedstawiliśmy sądowi liczne dowody, wskazaliśmy świadków – wybitnych naukowców. Pierwsza rozprawa planowana jest na kwiecień. Cały czas analizujemy twórczość J. Grabowskiego, w tym książkę pod jego redakcją „Dalej jest noc". W rozdziale napisanym przez Barbarę Engelking (profesor socjologii), poświęconym powiatowi bielskiemu, od razu natrafiliśmy na historię sołtysa Edwarda Malinowskiego ze wsi Malinowo. W mojej ocenie ten fragment pokazuje wadliwość metod badawczych, o czym mówił list otwarty, za który zostaliśmy pozwani. W konsekwencji złożony został pozew przeciwko Engelking i Grabowskiemu.

Co konkretnie jest w tym fragmencie?

W książce opisano losy pewnej Żydówki o nazwiskach Drogicka/Siemiatycka, która uciekając z getta w Drohiczynie, trafiła do Malinowa, do sołtysa Malinowskiego, który jej pomógł. Engelking napisała, że sołtys Drogicką „przy okazji ograbił", a ona po wojnie świadczyła na jego korzyść na procesie karnym, mimo iż wiedziała, że wydał on Niemcom ukrywających się w lesie Żydów.

A tak nie było?

Autorka odesłała w przypisie do materiału źródłowego z procesu Edwarda Malinowskiego. Faktycznie Malinowski po wojnie był oskarżony – na podstawie donosu do UB – o współudział w zabiciu Żydów, zamordowanych przez Niemców. Czytaliśmy te akta – wynika z nich, że Malinowski nie tylko pomógł tej Żydówce, ale ukrywał jeszcze innych Żydów, którzy potem zeznawali w jego obronie. Jako wyznaczony przez Niemców sołtys był de facto zakładnikiem, a mimo to ryzykował. Sąd go uniewinnił. Autorka w odpowiedzi na pozew przedstawiła relację nagraną w 1996 r. – 50 lat po wojnie. Jest to jedna z trzech relacji Drogickiej, dwie inne powstały bezpośrednio po wojnie. Ale nawet w tej ustnej relacji z 1996 r. według nas brakuje potwierdzenia tez zawartych w książce. W Malinowie żyło wielu Malinowskich i w tym nagraniu kobieta mówi o kilku Malinowskich (w tym dwóch Edwardach, Adolfie, Edmundzie). Wszystko wskazuje na to, że autorka i redaktor pomylili osoby, co w mojej ocenie jest kompromitujące dla badacza.

Czyli człowieka uczciwego, nawet ofiarnego, pokazuje się zupełnie inaczej?

Edward Malinowski był bohaterem, a w mojej ocenie Engelking, cytując materiał źródłowy (akta procesu), opuściła istotny fragment. W oryginalnym protokole rozprawy Drogicka zeznała, że Malinowski żywił ją za darmo – ten fragment autorka usunęła. Dlaczego? Bo nie pasuje do narracji? Autorka pominęła też zeznania dwóch Żydów świadczących na rzecz sołtysa, mimo że są zaprotokołowane bezpośrednio pod zeznaniami Drogickiej i nie mogła ich nie zauważyć.

Czy takie działania nie są kompromitujące dla historyka?

To w mojej ocenie niedbalstwo i brak należytej staranności autorki tej części i redaktora książki. Sprawdziliśmy tę sprawę także w terenie. Odnaleźliśmy 80-letnią bratanicę Malinowskiego. Odwiedziliśmy gospodarstwo, w którym ukrywano Drogicką. Dowiedzieliśmy się, że Malinowski ukrywał także żołnierzy wyklętych, w tym aż do 1954 r. por. Kazimierza Krasowskiego ps. Głuszec.

Jak rodzina Malinowskich zareagowała na waszą wizytę?

Wyraźnie odżyli. Zobaczyli, że nie są sami w zderzeniu z książką, która tak mocno niszczy reputację całej rodziny. Pani Filomena Leszczyńska, bratanica bohaterskiego sołtysa, poprosiła nas o wsparcie i je otrzymała. Jej zdaniem intencjonalnie opuszczono pewne fragmenty źródeł po to, by przedstawić Malinowskiego nie jako bohatera, a jako współwinnego śmierci Żydów. Faktyczny donosiciel winny śmierci Żydów ukrywających się w lesie w pobliżu Malinowa został zabity za współpracę z Niemcami przez partyzantów. Stąd też żądanie przeprosin oraz zadośćuczynienia w wysokości 100 tys. zł.

Jak traktują Redutę i podnoszone przez nią sprawy polskie sądy?

Mamy dobre doświadczenia, sędziowie w naszych sprawach są bezstronni i dokładają należytej staranności. Sprawy prowadzimy od 2013 r. i nie wyczuwam jakiejś niechęci do polskiej racji stanu.

Wracając do sprawy Malinowskiego: druga strona powiedziałaby zapewne, że wyciągacie pojedyncze błędy, a im chodzi o sprawę generalną, o skalę zjawiska, o uznanie

Patriotyczne książki z tygodnikiem SIECI



Część 1 w sprzedaży TYLKO do 1 marca



Część 2 w sprzedaży od 2 do 15 marca

PARTNER DODATKU

ORLEN

przez Polaków, że mają za co przepraszać, że „muszą się zmierzyć z przeszłością”. Co pan odpowie na takie ujęcie sprawy?

Jeżeli szczegóły okazują się nieprawdziwe, to całość może też być nieprawdziwa. Mówienie o tym, że najpierw trzeba zaakceptować winę, ma wszystkim zamknąć usta. A to nie jest przecież kwestia „skali”, tu chodzi o prawdę. A prawda jest taka, że Polacy nie zaplanowali, nie przeprowadzili ani nie byli motorem sprawczym Holokaustu. To, że były jednostki, które zachowywały się haniebnie w sytuacjach skrajnych, nie znaczy, że winien jest naród. Ofiary niemieckiego bestialstwa domagają się prawdy i tylko prawdy, inaczej odbiera się godność nie tylko całemu fałszywie oskarżonemu narodowi, ale również ofiarom. Kłamstwa nie służą nikomu – oprócz Putina i jego aparatu dezinformacji. Prawda o Holokauście jest jedna i fundamentalna: gdyby nie rozbicie Polski przez Niemców w spisku z Rosją Sowiecką, to Holokaustu by nie było. Polacy, obok Żydów, byli przez Niemców przeznaczeni do likwidacji. Tej prawdy nie zasłonią wysiłki w uczynieniu z nas sprawców. Po wystąpieniu Putina z 19 grudnia 2019 r. dużo się wyklarowało w obrazie antypolskiej narracji historycznej.

Mówimy o Polakach, narodzie przemielonym przez dwa zbrodnicze systemy. Ks. Henryk Zieliński zadał ważne pytanie: dlaczego, zanim zbudowano Auschwitz, mordowano w Palmirach, Piaśnicy i w setkach innych miejsc?

To jest niezwykle ważne pytanie. Najpierw zamordowano elity, żeby Polacy pozostali bez przywódców. Na szczęście było Polskie Państwo Podziemne, były olbrzymy moralne, takie jak o. Kolbe, Witold Pilecki, „Inka”, i naprawdę wyjątkowo wielu bohaterów, którzy jeszcze za życia stawali się legendami. W ocenie wybitnych historyków twórczość prof. Grabowskiego, prof. Engelking pomija w analizach sytuację prawną stworzoną przez Niemców w okupowanej Polsce. A mówi o tym książka znakomitego historyka prof. Bogdana Musiała „Kto dopomoże Żydowi...”. Jej część dotycząca systemu prawnego w okupowanej przez Niemców Polsce została z mojej inicjatywy zamówiona przez Polską Fundację Narodową, gdy byłem w jej zarządzie. To fundamentalna pozycja. Wynika z niej, że w Polsce podczas okupacji Niemcy wprowadzili podobne prawa, jak w III Rzeszy – zakaz kontaktowania się z Żydami. W III Rzeszy Niemcy w latach 30. natychmiast się podporządkowali temu zakazowi, a okupowani Polacy go ignorowali. Wobec tego Niemcy stopniowo zaostrzali kary, aż wreszcie wprowadzili karę śmierci za udzielanie pomocy Żydom, coś, co nie było konieczne w III Rzeszy. Gdyby Polacy nie pomagali Żydom wręcz odruchowo, Niemcy nie wprowadziliby kary śmierci. Ten system prawny spowodował, że wieś polska była praktycznie sterroryzowana i pomaganie Żydom wymagało heroizmu. Zdaniem historyków – ekspertów od II wojny światowej – Grabowski w swojej twórczości na temat okupacji Polski przez Niemców w ogóle tego aspektu nie uwzględnia, pomija kwestię systemu prawnego, całego systemu zakładników i robi z Polaków „ochotników Holokaustu”.

> Atak Putina na Polskę to nie jest sprawa dotycząca wyłącznie historii. To element polityki zagranicznej Rosji. Moim zdaniem to nie koniec ataków rosyjskich, co zresztą widać

Za nami wybory parlamentarne. Na co rządząca większość powinna zwracać szczególną uwagę w kontekście polityki historycznej?

Po ataku rosyjskim musimy głośno mówić o zbrodniach sowieckich, o komunizmie, który przecież wciąż na świecie żyje. Komunizm jest równie ludobójczy jak nazizm, jest także antysemicki. Propaganda sowiecka, a później rosyjska, zamazała tę symetrię. Musi wyraźnie być słyszany głos Polski mówiącej prawdę i o komunizmie, i o prawdziwej roli Rosji w historii świata, Europy i Polski. W tej chwili, po atakach Putina, to jest niezbędne. Program polski w ramach Fundacji Ofiar Komunizmu w Waszyngtonie, dzięki któremu nasi naukowcy prowadzą badania, publikują i uczestniczą w konferencjach w USA, jest znakomitym i bezprecedensowym forum temu służącym i mam nadzieję, że będzie kontynuowany. Trzeba też mówić o celach politycznych antypolskiej propagandy rosyjskiej: w tym szaleństwie dezinformacyjnym Putina, tak jak wcześniej Stalina, jest metoda!

A w odniesieniu do Niemiec?

Nie możemy oddawać pola Berlinowi, tym bardziej że dziś instytucjonalnie trudniej przeciwstawiać się Niemcom niż Rosji, bo europejscy urzędnicy i politycy nie robią karier w Rosji, tyko w UE, a przecież najsilniejszym państwem w Unii są Niemcy. Żeby prawda o Polsce przebiła się do świadomości, potrzebne są tłumaczenia polskich archiwaliów, co już się dzieje, potrzebujemy dużego programu stypendialnego dla młodych naukowców z Zachodu, którzy u nas mogliby pisać swoje książki, liczące się w ich dorobku i oparte na faktach, a nie na wyobrażeniach. Ludzie ci mogliby później zajmować katedry na tamtejszych uniwersytetach. To niezwykle ważne także dlatego, że na Zachodzie nie ma placówek, które uwzględniałyby polską narrację. No i oczywiście nie może nam zabraknąć odwagi, zarówno polskim decydentom, politykom, jak i naukowcom i ochotnikom. Lęk paraliżuje, a nie możemy sobie pozwolić na chowanie głowy w piasek lub przymilanie się do wrogów Polski.

eprasa.pl e3907b2c07

POLACY

Odc. 2

NA IGRZYSKACH OLIMPIJSKICH SIECI



PIERWSZE ZŁOTO

PARTNER DODATKU

ORLEN

Pierwsze polskie złoto



Halina Konopacka zapisała się w annałach jako pierwsza lekkoatletyczna mistrzyni olimpijska w historii

Fot. NAC



Parada sportowców podczas otwarcia igrzysk olimpijskich w 1928 r. w Amsterdamie

eprasa.pl e3907b2c07

Międzynarodowy Komitet Olimpijski wszedł w nową erę – legendarnego barona Pierre'a de Coubertina na stanowisku przewodniczącego zastąpił Belg Henri de Baillet-Latour, a twórca nowożytnego ruchu olimpijskiego udał się na zasłużoną emeryturę. Na Stadionie Olimpijskim w Amsterdamie (który później przez dekady był areną międzynarodowych spotkań piłkarskiego Ajaxu) po raz pierwszy zapłonął znicz olimpijski, co stało się tradycją po dziś dzień. Kolejnymi nowinkami, które na stałe zagościły w olimpijskim programie, był pochód reprezentacji rozpoczynający się od Greków, a kończący na kadrze gospodarzy, czy rozgrywanie biegów na torze o długości 400 metrów. Ale tym najistotniejszym novum z 1928 r. pozostaje czas trwania igrzysk – dokładnie 16 dni, co wydaje się idealnie wycyrklowanym okresem: kibice nie są znużeni rozwlekłością programu sportowego, ale też po zakończeniu zawodów nie odczuwają niedosytu. Jedną z olimpijskich ciekawostek jest to, że to właśnie z Amsterdamu pochodzi międzynarodowy znak parkingu (białe „P" na niebieskim tle) – w mieście było zbyt mało miejsc parkingowych dla wszystkich zainteresowanych kibiców, więc tworzono specjalne obszary przeznaczone tylko do celów postojowych.



Fot. Mary Evans Picture Library/Mary Evans Picture Library/East News

W idei igrzysk olimpijskich istotny jest jeden fakt: starożytni Grecy byli wielkimi orędownikami zasady, wedle której „w zdrowym ciele zdrowy duch". Dość wspomnieć, że w igrzyskach brali udział tak znamienici myśliciele jak Platon. Tężyzna fizyczna miała, po pierwsze, wymiar zdrowotny, po drugie, estetyczny (w starożytności estetyka i etyka były z sobą nierozerwalnie połączone), a po trzecie, dawała szansę na zostanie bohaterem całej Grecji. Gimnazjony, ówczesne centra treningowe położone w każdym polis, bynajmniej nie świeciły pustkami. Co dzień trenowały tam setki młodych i starych, których marzeniem było przywdzianie kiedyś korony z dzikiej oliwki i zapisanie się złotymi zgłoskami w historii. O znaczeniu igrzysk świadczy też pojęcie „olimpiady", która stała się jednostką czasu i do dziś oznacza czteroletni okres pomiędzy igrzyskami. Starożytne zawody miały swoich Boltów i Phelpsów, którzy w myśl słów Horacego (nomen omen Rzymianina) budowali sobie „pomnik trwalszy niż ze spiżu". Choć zwykły pomnik również wchodził w grę, bo olimpionicy byli honorowani przez rzeźbiarzy i mogli podziwiać swoje popiersia w rodzinnych miastach. Co ważne, liczyło się tylko zwycięstwo – nazwisk sportowców, którzy zajęli drugie czy trzecie miejsca, nigdzie nie odnotowywano. Już wtedy istniała zasada sportowej rywalizacji zwana „ethikos". Jeśli któryś z zawodników ją łamał poprzez różne formy oszustwa, okrywany był infamią i wykluczany z rozgrywek. Z czasem, gdy wzrastały finansowe nagrody dla mistrzów, olimpijska idea ulegała wykrzywieniu, co obok jawnie niechrześcijańskiego charakteru igrzysk było kolejnym powodem zaprzestania ich organizowania w 393 r. n.e.

Igrzyska w Amsterdamie znakomicie wspominają Niemcy, dla których był to pierwszy występ po I wojnie światowej (wcześniej jako agresorzy nie zostali zaproszeni). Zajęli drugie miejsce w klasyfikacji medalowej, którą po raz czwarty z rzędu bezapelacyjnie wygrali Amerykanie.

Megagwiazda

Jeśli któryś z polskich sportowców pierwszy wywalczył sobie status megagwiazdy i bohatera masowej wyobraźni, to była to **Halina Konopacka**. Po powrocie z igrzysk witano ją jak bohatera narodowego. Stała się też wyznacznikiem trendów dla piękniejszej części polskiego społeczeństwa. Nic dziwnego, wszak została okrzyknięta miss igrzysk, a nieodłączne czerwony sweterek i beret ukuły dla niej przydomek „czerwona kobieta". Złota medalistka z Amsterdamu była najlepszą reprezentantką nowego pokolenia kobiet wyzwolonych. Wszechstronnie uzdolniona sportowo (kilkadziesiąt tytułów Mistrzyni Polski w kilku różnych dyscyplinach) była jednocześnie poliglotką, malarką, poetką i pasjonatką automobilów, z czego skwapliwie skorzystano podczas II wojny światowej. Mężem Konopackiej był Ignacy Matuszewski, w latach 1929–1931 minister skarbu, któremu powierzono misję wywiezienia we wrześniu 1939 r. rezerw złota Banku Polskiego. Mistrzyni olimpijska usiadła za kierownicą jednej z ciężarówek i przez Rumunię przejechała do Francji, gdzie złoto trafiło do dyspozycji polskiego rządu. Do końca życia mieszkała w Stanach Zjednoczonych.

eprasa.pl e3907b2c07

Po raz pierwszy kobiety mogły brać udział w rozgrywkach lekkoatletycznych, i to właśnie Halina Konopacka zapisała się w annałach jako pierwsza lekkoatletyczna mistrzyni olimpijska w historii. Pozycje największych olimpijskich herosów potwierdzili mistrzowie z poprzednich igrzysk: fińscy długodystansowcy Paavo Nurmi (dziewiąty złoty medal w karierze!) i Ville Ritola czy amerykański pływak Johnny Weissmuller. Na pierwszorzędną gwiazdę wyrósł szwajcarski gimnastyk Georges Miez (trzy złote medale) i kanadyjski sprinter Percy Williams, który okazał się najszybszy zarówno na 100, jak i 200 m. Piękną historię zaczął pisać młociarz Pat O'Callaghan, który zdobył premierowy medal dla niepodległej Irlandii. Natomiast w jednej z konkurencji żeglarskich złoto w drużynie wygrał książę Olaf, który trzy dekady później zostanie królem Norwegii. Światowy prymat w dziedzinie futbolu potwierdzili Urusi, z kolei wspaniałą passę w hokeju na trawie rozpoczęli Hindusi, którzy będą mistrzami olimpijskimi przez kolejne dwie dekady.

Polskę reprezentowało 76 sportowców, co zaowocowało zdobyciem pięciu medali. Taki wynik przyjęto w kraju z niekłamaną radością. Oczywiście największym echem odbiło się historyczne złoto Haliny Konopackiej, która w konkursie rzutu dyskiem pobiła rekord świata (39,62 m) i nie dała rywalkom najmniejszych szans. Po brązie Adama Królikiewicza, zdobytym cztery lata wcześniej w Paryżu, świetną passę kontynuowali jeźdźcy, przywożąc z Holandii drużynowe srebro i brąz, po trzecie miejsca sięgnęli również szabliści i wioślarze (poza tym zajmując jeszcze piątą lokatę w rywalizacji ósemek). Warto wspomnieć, że rezerwowym w polskim zespole jeździeckim był Henryk Dobrzański, który szerzej znany jest oczywiście jako major Hubal, ostatni partyzant kampanii wrześniowej nieugięcie walczący z Niemcami. Pomimo treningów pod czujnym okiem legendarnego ojca polskich zapasów Władysława Pytlasińskiego ze słabej strony pokazali się polscy zapaśnicy. Podobnie było w przypadku bokserów – na ich triumfy, odnoszone dzięki staraniom Feliksa Stamma, trzeba było czekać jeszcze 20 lat. Lepiej poszło Polakom w Olimpijskim Konkursie Sztuki i Literatury (zawody organizowano w latach 1912–1948), skąd Kazimierz Wierzyński przywiózł złoto w dziedzinie poezji, a Władysław Skoczylas brąz w konkursie malarskim.

Złoty skamandryta



Fot. NAC

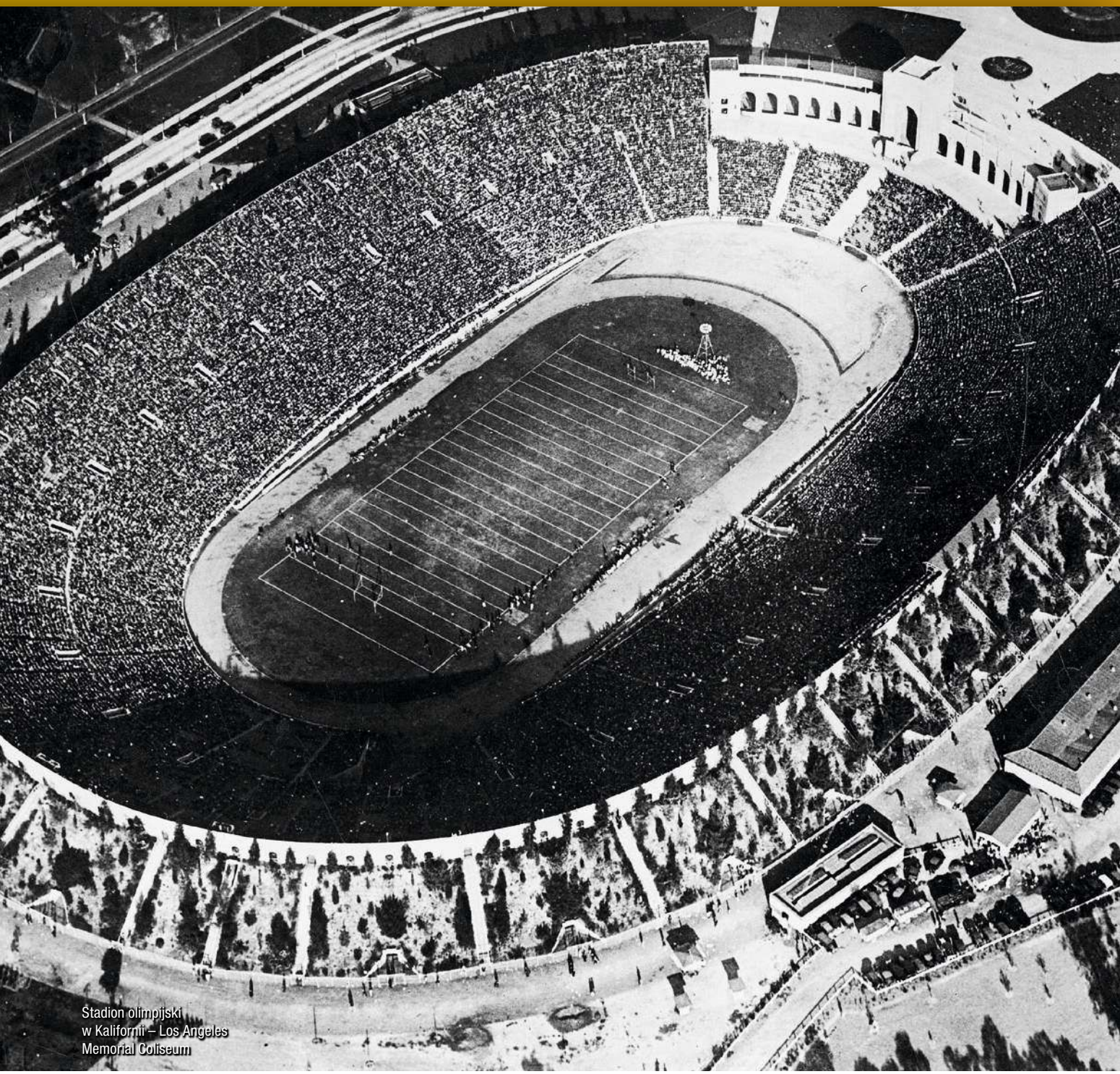
Kazimierz Wierzyński znany jest głównie jako jeden z założycieli poetyckiej grupy Skamander (wraz z Jarosławem Iwaszkiewiczem, Janem Lechoniem, Antonim Słonimskim i Julianem Tuwimem), ale nie sposób nie docenić jego sukcesu, jakim bez wątpienia był złoty medal zdobyty w olimpijskim konkursie literackim za tom „Laur olimpijski". Poza tym wielkim osiągnięciem Wierzyński przez całe życie pozostawał niekłamanym patriotą. Podczas I wojny światowej walczył w Legionach Polskich i był członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej, po wybuchu II wojny światowej trafił do Francji, a później do Stanów Zjednoczonych. Nigdy nie pogodził się z oddaniem Polski we władanie komunistów, a do kanonu przeszedł jego bezbrzeżnie smutny i wstrząsający wiersz „Na rozwiązanie Armii Krajowej".

Na długim i krótkim dystansie

Igrzyska olimpijskie 1932 zorganizowano w dalekim Los Angeles. Odległość i związane z nią koszty transportu polskiej reprezentacji sprawiły, że do Stanów Zjednoczonych popłynęli jedynie zawodnicy, którzy według Polskiego Komitetu Olimpijskiego mogli liczyć na miejsce w pierwszej szóstce w swojej konkurencji. Mówimy o czasach wielkiego kryzysu – niektórych państw w ogóle nie było stać na wysłanie swojej reprezentacji

Pomimo skromnej, liczącej zaledwie 20 zawodników, kadry Polacy wrócili z Ameryki z tarczą. Przede wszystkim odpalili biegacze. Pamiętny triumf na dystansie 10 000 m odniósł Janusz Kusociński, który tym samym zdetronizował panujących przez długie lata na długich dystansach Finów. Zresztą Volmari Iso-Hollo i Lauri Virtanen finiszowali za Polakiem, a sam Kusociński rezultatem 3:11,4 pobił rekord olimpijski. Polak miał duże szanse również na dwukrotnie krótszym dystansie, ale nie mógł wziąć udziału w biegu z powodu pokaleczonych w zwycięskim wyścigu stóp – olimpijski mistrz miał... źle dobrane buty! Wielkim zaskoczeniem był sprinterski triumf Stanisławy Walasiewiczówny na dystansie 100 m. Polka

eprasa.pl e3907b2c07



Stadion olimpijski
w Kalifornii – Los Angeles
Memorial Coliseum

Fot. NAC

na starcie biegu zameldowała się wprost z konkursu rzutu dyskiem, ale pomimo słabej pierwszej części wyścigu zdołała odrobić straty i z wynikiem 11,9 s wyrównała rekord świata. Bardzo szybko wyrosła następczyni Haliny Konopackiej, która w 1931 r. zakończyła karierę sportową. Brązowy medal w rzucie dyskiem zdobyła Jadwiga Wajsówna, która na krótko przed igrzyskami pobiła rekord świata, jako pierwsza kobieta przekraczając odległość 40 m. Niewypałem zakończył się występ kulomiota Zygmunta Heljasza, który chwilę przed wyjazdem do Los Angeles pobił rekord świata. Niestety, 13-dniowa podróż na pokładzie SS „Pułaski" dała się Heljaszowi we znaki i się nie liczył w zawodach. Brąz z Amsterdamu obroniła drużyna szermiercza w szabli, natomiast po aż trzy medale

eprasa.pl e3907b2c07

Stella z Ohio



O mały włos **Stanisława Walasiewiczówna** nie reprezentowałaby Polski, ale Stany Zjednoczone. Gdy dziewczynka miała trzy miesiące, jej rodzice wyemigrowali do Cleveland. Zdolna sprinterka miała jechać do Amsterdamu jako Amerykanka, ale w ostatniej chwili władze odmówiły jej możliwości startu z powodu miejsca urodzenia. Tym samym przed igrzyskami w Los Angeles Walasiewiczówna nie wahała się i zdecydowała o starcie pod biało-czerwoną flagą. Zdobyła dla Polski złoto, a cztery lata później w Berlinie sięgnęła po srebro. Przez długie lata była topową sprinterką, wielokrotnie bijąc rekordy świata na krótkich dystansach. O skali jej popularności świadczy to, że w okresie międzywojennym aż czterokrotnie wygrywała plebiscyt „Przeglądu Sportowego" na najpopularniejszego polskiego sportowca – do tego wyniku nikt inny nawet się nie zbliżył (wyrówna go dopiero Irena Szewińska w latach 70.). Walasiewiczówna zginęła podczas napadu na sklep w 1980 r. zastrzelona przez agresora. Sekcja zwłok wykazała, że Polka była osobą interseksualną, czyli posiadała żeńskie i męskie narządy płciowe.

sięgnęli polscy wioślarze, którzy w swojej dziedzinie należeli do światowej czołówki. W konkursie sztuki złoty medal wywalczył rzeźbiarz Józef Klukowski.

W Los Angeles po raz pierwszy wprowadzono trzystopniowe podium, wreszcie też wybudowano zupełnie oddzielną wioskę olimpijską z prawdziwego zdarzenia. Kryzysem w stosunkach szwedzko-fińskich zakończyło się wykluczenie z zawodów Paavo Nurmiego na wniosek oficjeli ze Szwecji za rzekome naruszenie statusu amatora. Kto wie, czy Kusociński cieszyłby się ze złota, gdyby najlepszy z latających Finów mógł wystąpić na igrzyskach? Wspaniałe osiągnięcia były udziałem Amerykanki Babe Didrikson, która zdobyła złoto w biegu przez płotki i rzucie oszczepem oraz srebro w skoku wzwyż. Didrikson jest uważana za jedną z najważniejszych postaci amerykańskiego sportu w historii, bo poza dokonaniami lekkoatletycznymi w wyraźny sposób przyczyniła się do rozwoju baseballu czy koszykówki, a w Stanach Zjednoczonych znana jest przede wszystkim jako genialna golfistka. Po dwa złote medale sięgnął sprinter Eddie Tolan, a trzy krążki z najcenniejszego kruszcu stały się udziałem pływaczki Helene Madison i gimnastyka Romea Neriego. Z kronikarskiego obowiązku wspomnieć należy, że gospodarze po raz kolejny zwyciężyli w klasyfikacji medalowej, tym razem zdobywając trzykrotnie więcej medali od kolejnych w rankingu Włochów.



Fot. NAC x2

Wielki biegacz, wielki Polak

Kariera **Janusza Kusocińskiego** to niemal modelowa pochwała ciężkiej pracy. Dzięki pomocy estońskiego trenera Aleksandra Klumberga Polak wypracował metodę forsownego treningu interwałowego, która szybko zaprocentowała świetnymi wynikami. „Kusy" przełamał fiński monopol na długich dystansach i nazywany był nawet następcą Paavo Nurmiego. Niestety, po triumfie w Los Angeles polskiego mistrza zaczęły prześladować kontuzje kolan i do Berlina pojechał tylko w charakterze dziennikarza. Kusociński szybko się odbudował i przed wybuchem wojny wrócił do wielkiej formy. Do wysiłku dopingowała go krajowa konkurencja z Józefem Nojim na czele – pojedynki obu biegaczy przeszły do kanonu polskiej lekkoatletyki. Po najeździe Niemców bronił stolicy, a później zaangażował się w działalność konspiracyjną pod pseudonimem „Prawdzic" i pracował w słynnej gospodzie Pod Kogutem. W końcu wpadł w ręce gestapo i stał się ofiarą ludobójczej akcji AB. Podczas tortur nikogo nie wsypał. Zginął, podobnie jak inni wielcy polskiego narodu, zastrzelony podczas masowej egzekucji w Palmirach.

eprasa.pl e3907b2c07



Sport w cieniu hakenkreuza

Fot. East News

eprasa.pl e3907b2c07



Fot. East News

Decyzja o przyznaniu organizacji igrzysk olimpijskich Niemcom zapadła w 1931 r., a więc jeszcze zanim władzę w państwie objął Adolf Hitler i jego Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników. Nie zmienia to faktu, że same igrzyska odbywały się już w momencie pełnego rozkwitu nazistowskiej władzy, która traktowała imprezę jako pretekst do pokazania własnej siły i promowania swojej zbrodniczej ideologii. Pomimo to MKOl wystarczała deklaracja niemieckich oficjeli, wedle której żydowscy i czarnoskórzy zawodnicy będą mogli bez problemów startować w zawodach, a z miasta znikną antysemickie napisy

Organizacja igrzysk odbywała się pod czujnym okiem szefa propagandy Josepha Goebbelsa, którego celem było zapewnienie imprezie monumentalnej oprawy. To właśnie w Berlinie mieliśmy po raz pierwszy do czynienia ze sztafetą znicza olimpijskiego, której uczestnicy biegli do stolicy Niemiec aż z Grecji. Berlińskie igrzyska były przełomowe pod względem obsługi medialnej: w telewizji nadawano relacje na żywo, a zdolna twórczyni propagandowych filmów nazistowskich Leni Riefenstahl przez cały czas trwania imprezy kręciła materiał do swojego wielkiego dzieła „Olympia". W zachodnim Berlinie stworzono gigantyczny kompleks sportowy, którego centralnym punktem był 100-tysięczny Stadion Olimpijski, dziś arena używana przez grającą w Bundeslidze Herthę. W ramach oczyszczania pejzażu miejskiego wszystkich Romów aresztowano i osadzono w podberlińskim obozie koncentracyjnym. Od samego początku Hitler spotykał się z niemal boskim uwielbieniem ze strony niemieckich sportowców i kibiców, a pozdrowienie „Heil Hitler" było czymś absolutnie normalnym. Oczywiście w wielu krajach trwała debata na temat bojkotu igrzysk, ale ostatecznie decydowali się na taki krok jedynie pojedynczy zawodnicy, głównie pochodzenia żydowskiego. Wyjątkiem był Związek Radziecki (wciąż czekający na olimpijski debiut) i Hiszpania – lewicowy rząd Drugiej Republiki postanowił zorganizować konkurencyjną imprezę, Olimpiadę Ludową, ale na dwa dni przed jej rozpoczęciem doszło do wybuchu hiszpańskiej wojny domowej.

Tym razem bezkonkurencyjni w klasyfikacji medalowej okazali się Niemcy, co oczywiście było najlepszym paliwem dla rozbuchanych nazistowskich ambicji. Największą

eprasa.pl e3907b2c07

gwiazdą igrzysk został jednak Amerykanin Jesse Owens. Zdobywca czterech złotych medali w lekkiej atletyce był czarnoskóry, więc mocno podał w wątpliwość niemieckie przekonanie o supremacji aryjskiej rasy. Owens przeszedł do historii już rok wcześniej, gdy podczas zawodów w ciągu 45 min w czterech różnych konkurencjach pobił trzy rekordy świata i wyrównał czwarty. Innymi multimedalistami z Berlina byli niemieccy gimnastycy Konrad Frey i Alfred Schwarzmann, holenderska pływaczka Rie Mastenbroek czy francuscy kolarze Robert Charpentier i Guy Lapebie. Genialny występ zaliczył egipski ciężarowiec Khadr El-Touni, który przez kolejne 60 lat zajmował pierwsze miejsce w rankingu najlepszych ciężarowców w historii. Wspaniałą historię napisała amerykańska sprinterka Betty Robinson, złota medalistka na 100 m z Amsterdamu. W 1931 r. zawodniczka zapadła w śpiączkę po katastrofie lotniczej i była przez kolejne lata sparaliżowana, ale w Berlinie zdobyła złoto jako zawodniczka sprinterskiej sztafety. Inna Amerykanka, Marjorie Gestring, wygrała konkurs skoków do wody w wieku niecałych 14 lat, co uczyniło ją najmłodszą mistrzynią olimpijską w historii. W konkursie piłkarskim w kontrowersyjnych okolicznościach triumfowali Włosi, mistrzowie świata z 1934 i 1938 r.

Jak się spisali Polacy? Tym razem poniżej oczekiwań. Ponadstuosobowa reprezentacja wróciła nad Wisłę z sześcioma medalami, ale żaden nie był złoty. Do pięknych tradycji jeździeckich nawiązali srebrni medaliści we wszechstronnym konkursie konia wierzchowego, kolejne medale olimpijskie do swoich kolekcji dodały Stanisława Walasiewiczówna na 100 m (zawodniczka była bardzo niezadowolona z rezultatu, który uzyskała z kontuzjowanym udem) i Jadwiga Wajsówna w rzucie dyskiem, oba srebrne. Na najniższym stopniu podium stanął w dyscyplinie strzeleckiej kapitan Wojska Polskiego Władysław Karaś. Weteran Legionów Polskich w trakcie II wojny światowej działał w Związku Walki Zbrojnej i został przez Niemców zamordowany podczas egzekucji w Magdalence w 1942 r. Brązowe medale zdobyli także Maria Kwaśniewska w rzucie oszczepem i wioślarska dwójka podwójna Jerzy Ustupski i Roger Verey. Blisko podium byli polscy biegacze – Kazimierz Kucharski na 800 i Józef Noji na 5000 m. Noji został później zastrzelony przez Niemców w Oświęcimiu. Z niemieckich rąk zginął również oszczepnik Eugeniusz Lokajski, olimpijski faworyt, który blado wypadł z powodu kontuzji. Szerzej znany jest jako fotograf powstania warszawskiego, w którym sam poległ. Spośród bokserów najlepiej zaprezentował się Henryk Chmielewski w wadze średniej, o kolejny medal olimpijski otarła się szermiercza drużyna szablistów. Polacy wreszcie z dobrej strony pokazali się w sportach drużynowych: piłkarze prowadzeni przez legendarnego Józefa Kałużę zajęli czwarte miejsce (dwa lata później zadebiutują na mistrzostwach świata w pamiętnym boju z Brazylią), podobnie jak koszykarze pod wodzą Walentego Kłyszejki – ci trzy lata później sięgnęli po brąz na mistrzostwach Europy.

Godna następczyni



Jadwiga Wajsówna przez całe życie związana była łódzką, gdzie po wojnie zaangażowała się w pomoc trzebującym dzieciom. Co charakterystyczne dla czasów początków lekkiej atletyki, Polka startowała w kilku dyscyplinach, a najlepiej szło jej w rzucie dyskiem, pchnięciu kulą i skoku wzwyż. To właśnie dysk stał się jej domeną, a Wajsówna zdobyła brąz w Los Angeles i srebro w Berlinie. Polka w naturalny sposób stała się następczynią Haliny Konopackiej. Podczas amerykańskich igrzysk była faworytką, ale organizatorzy zaskoczyli zawodniczki zastosowaniem w konkursie dysków o zwiększonej grubości i Polka miała techniczny problem z właściwym złapaniem tarczy. W Berlinie uległa jedynie fenomenalnej Niemce Giseli Mauermayer. Wyśrubowany podczas berlińskich igrzysk rekord Polski utrzymał się przez dwie dekady, a na pierwszych powojennych IO w Londynie w 1948 r. Wajsówna otarła się jeszcze o podium. Podczas wojny zawodniczka wraz z mężem przetrzymywana była przez gestapo w alei Szucha.

Mała wielka Polka



Maria Kwaśniewska to bez wątpienia najlepsza oszczepniczka w historii polskiego sportu. Jej brąz zdobyty w Berlinie to rzecz, która jeszcze nie została powtórzona. Kwaśniewska była też wielką patriotką – brała udział w obronie Warszawy, później pracowała w gospodzie Pod Kogutem, a jej mieszkanie w Podkowie Leśnej było miejscem schronienia dla prześladowanych Polaków i Żydów z obozu w Pruszkowie. Po ceremonii medalowej w Berlinie Kwaśniewską do loży honorowej zaprosił sam Adolf Hitler, który gratulował występu „małej Polce". Rezolutna zawodniczka odpowiedziała, że wcale się od führera mniejsza nie czuje, czym wprawiła niemieckiego wodza w srogą konsternację.

Fot. NAC x2

eprasa.pl e3907b2c07



Grób Janusza Kusocińskiego na cmentarzu w Palmirach

Oko w

Całe pokolenie wspaniałych polskich sportowców we wrześniu 1939 r. stanęło w obliczu nowych wyzwań, które musiały na dalszy plan zepchnąć ich plany i ambicje. Wielu nie miało już okazji, aby do nich powrócić

W 1936 r. postanowiono, że igrzyska olimpijskie 1940 zostaną zorganizowane w Tokio. Poczynania militarystycznego reżimu, a w szczególności wybuch wojny chińsko-japońskiej w 1937 r., wymogły rewizję planów. Organizację imprezy przyznano Helsinkom, co oczywiście też nie skończyło się powodzeniem. Wybuch II wojny światowej sam w sobie był co najmniej dużą przeszkodą, ale rosyjska inwazja na Finlandię i wyczerpująca wojna zimowa całkowicie przekreśliły możliwość rozegrania igrzysk. Rzecz jasna kolejna impreza, zaplanowana na 1944 r. w Londynie, również nie doszła do skutku.

Pomimo okrucieństw wojny olimpijska idea nie została pogrzebana. Wielki wpływ na to mieli polscy jeńcy osadzeni w stalagach i oflagach. Jedną z najważniejszych inicjatyw była organizacja jenieckich igrzysk latem 1940 r. w stalagu w Langwasser nieopodal Norymbergi. Inicjatorem imprezy był plutonowy Jerzy Słomczyński, a inny Polak, Wacław Gąsiorowski, napisał nawet specjalnie na tę okazję

Fot. Andrzej Skwarczyński, NAC, MPW

eprasa.pl e3907b2c07

oko ze śmiercią

słowa nowego hymnu olimpijskiego. Jako że w stalagu nie było możliwości oficjalnej rywalizacji sportowej, zawodnicy z krajów alianckich rywalizowali przede wszystkim w ukryciu lub w konkurencjach będących... karami nakładanymi na nich przez niemieckich strażników. Największym zainteresowaniem cieszył się bieg na 50 m karną żabką, którą Niemcy uwielbiali karać swoich więźniów. O tych wydarzeniach opowiada film Andrzeja Kotkowskiego z 1980 r. „Olimpiada 40".

W 1944 r. sytuacja się powtórzyła, tym razem na terenie dwóch oflagów. Co istotne, w obozach oficerskich zawody sportowe były legalne i odbywały się za zgodą komendantów placówek. W Woldenbergu, dzisiejszym Dobiegniewie, komitet pod wodzą Antoniego Grzesika dzięki dostawie sprzętu sportowego ze Szwajcarii zorganizował zawody z udziałem niemal pół tysiąca zawodników. Wśród Polaków nie brakowało przedwojennych olimpijczyków, między innymi dwukrotnego medalisty w konkurencjach wioślarskich Janusza Ślązaka. Podobne igrzyska odbyły się w Grossborn nieopodal dzisiejszego Kłomina. Za sprawy organizacyjne odpowiadał Zygmunt Weiss, uczestnik igrzysk w Paryżu i Amsterdamie. W tym przypadku zadbano o najdrobniejsze detale i starano się zachować w szczegółach cały olimpijski ceremoniał. Jenieckie igrzyska w obydwu obozach zbiegły się w czasie z wybuchem powstania warszawskiego, jednak zawodów nie przerwano.

II wojna światowa zebrała krwawe żniwo również pośród sportowców, spośród których wielu wykazało się głęboko patriotyczną postawą. Kultowym miejscem konspiracyjnych spotkań była warszawska gospoda Pod Kogutem, w której pracowali tacy mistrzowie jak Janusz Kusociński, Maria Kwaśniewska, Władysław Szczepaniak (wspaniały piłkarz Polonii Warszawa i uczestnik berlińskich igrzysk) czy najlepsza polska tenisistka w historii Jadwiga Jędrzejowska, której nie dane było zagrać na igrzyskach olimpijskich, bo od 1928 r. tenis nie był dyscypliną olimpijską. Pomimo wielu propozycji ze strony Niemców, żeby trenować w ich kraju, Jędrzejowska nie opuściła Polski. Sportowcy walczyli na różnych frontach wojny, a wielu z nich przypłaciło nieugiętą postawę życiem. Zginęli olimpijscy medaliści: Janusz Kusociński (złoto na IO 1932), Tomasz Stankiewicz (srebro na IO 1924), Leszek Lubicz-Nycz (brąz na IO 1932), Stanisław Urban (srebro na IO 1932), Kazimierz Szosland (srebro na IO 1928), Władysław Karaś (brąz na IO 1936), Aleksander Małecki (brąz na IO 1928), Edmund Jankowski (brąz na IO 1928) i Zdzisław Kawecki (srebro na IO 1936). Łącznie Niemcy i Rosjanie zamordowali kilkudziesięciu polskich olimpijczyków. Panorama polskiego sportu zmieniła się na zawsze. ○

Autorem wszystkich tekstów jest Michał Muzyczuk



Eugeniusz Lokajski na Igrzyskach olimpijskich w Berlinie w 1936 r. zajął 7. miejsce w rzucie oszczepem…



…a w 1944 r., pod pseudonimem Brok, walczył w powstaniu warszawskim. Zginął 25 września pod gruzami zbombardowanej przez Niemców kamienicy

Reklama | 50/0120/F

eprasa.pl e3907b2c07

#Dobry Kierowca

jeździ na suwak

ORLEN





Jazda „na suwak” polega na wjeżdżaniu w zwężenie jezdni na przemian, po jednym pojeździe.

Bądź dobrym kierowcą i stosuj się do tej zasady. Przekonasz się, jak bardzo zwiększa się płynność ruchu drogowego.

www.dobrykierowca.orlen.pl

eprasa.pl e3



Maski i kreacje

Jim Carrey znów robi grymasy. Możliwości „gumowej twarzy" przypomina w filmie „Sonic. Szybki jak błyskawica", który do naszych kin trafi w piątek. Tydzień później Tom Hanks zabierze nas w sentymentalną podróż w przeszłość i zarazem swoistą sesję terapeutyczną, która w burzliwych czasach „otula pozytywnymi emocjami, niczym ciepły koc". A to za sprawą filmu „Cóż za piękny dzień"

Fot. UIP

eprasa.pl e3907b2c07





JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Dwóch przesympatycznych aktorów, docenianych za milowe, niestarzejące się role – choćby w „Truman Show" czy „Masce"; „Forreście Gumpie", „Szeregowcu Ryanie" czy „Cast Away. Poza światem" – za sprawą ich najnowszych filmów spotkamy wkrótce w kinach nad Wisłą.

EKRANOWE POWROTY

Jim Carrey – w powszechnym odbiorze – radosny i przekomiczny, odbudowuje właśnie swoją zawodową pozycję po wyjściu z depresji. Jako aktor grający czarny charakter w adaptacji popularnej komputerowej gry, w rozmowach o „Sonic. Szybki jak błyskawica" chętnie wraca do grymasów innego mrocznego (choć zielonego) bohatera. Filmik, w którym w jednej chwili odtwarza minę Grincha, to hit internetu.

Tom Hanks, postrzegany jako człowiek superpozytywny, z jakiegoś powodu w wywiadach przekonuje, że wcale ideałem nie jest. Jednocześnie swoją najnowszą rolą potrafił tak „otulić" Amerykanów, że ochoczo przyklasnęli jego nominacjom (za rolę drugoplanową) do Oscara i Złotego Globu.

W filmie Marielle Heller „Cóż za piękny dzień" Hanks przypomniał rodakom ikonę amerykańskiej telewizji – Freda Rogersa, twórcę programu dla dzieci „Mister Rogers' Neighborhood" (emitowanego w rekordowo długim czasie, bo od 1968 do 2001 r.). Gospodarz serii wnosił na mały ekran niespotykaną dziś narrację, spokój, ciepło, akceptację, zrozumienie i trącący myszką dydaktyzm, czyli – jak się okazało po odbiorze filmu w Stanach – coś, za czym w rozgorączkowanych, stale konfrontujących różne stanowiska czasach tęskni wielu Amerykanów.

PLASTYCZNY PAN Z EKRANU

Ciekawe, że również postać popularnego prezentera programu dla najmłodszych – stworzona w serialu HBO „Kidding" (2018) – przywróciła do życia (i zawodowego, i prywatnego) Jima Carreya. To dzięki niej dostał w ubiegłym roku nominację do Złotego Globu dla najlepszego aktora serialu komediowego, choć „Kidding" to raczej przewrotny dramat, niepozbawiony czarnego humoru, surrealistyczny. Pokazujący, co może się wydarzyć, gdy przemiłemu „panu z telewizji" – po mistrzowsku operującemu na wizji kukiełkami i dobrym słowem – rozpada się rodzina i zaczynają puszczać hamulce. Gdy konfrontując się z realnymi problemami, przestaje kontrolować napady gniewu.

Serial „Kidding" przypomniał widzom Jima Carreya – aktora, a nie tylko kuglarsko sprawnego komika. Film „Sonic. Szybki jak błyskawica" przywołał wspomnienia ról, dzięki którym Kanadyjczyk bez matury stał się kasową hollywoodzką gwiazdą. Warto przy tym przypomnieć, że nominowany w przełomowym dla niego czasie do Złotego Globu za „Maskę" w tym samym 1995 r. dostał zbiorową nominację do Złotej Maliny za „najgorszy aktorski debiut" w filmach... „Maska", „Ace Ventura: Psi detektyw" oraz „Głupi i głupszy".

Ówczesna krytyka nie była przygotowana na komediową nadekspresję

eprasa.pl e3907b2c07

Carreya ani jego nieprawdopodobnie plastyczną twarz, czyli to wszystko, co stało się znakiem rozpoznawczym aktora. Co sprawiało, że projekty z jego udziałem miały zagwarantowaną oglądalność („Bruce Wszechmogący" z 2003 r. zyskał tytuł najbardziej kasowej komedii wszech czasów; „Batman Forever" w 1995 r. trafił do pierwszej piątki sezonu), ale też coraz lepszą prasę. Zwłaszcza po kreacjach stworzonych na planach: „Truman Show" Petera Weira (1998), „Człowieka z księżyca" Miloša Formana (1999) czy „Zakochanego bez pamięci" (2004). Dwie pierwsze role przyniosły mu Złote Globy. Rola w „Zakochanym...", podobnie jak te stworzone w „Masce" (1994), „Kłamcy, kłamcy" (1997) oraz „Grinch: Świąt nie będzie" (2000), zaowocowały nominacją do tej nagrody.

CO SKRYWA POSTAĆ

Amerykańska Akademia Filmowa nie doceniła żadnego z filmowych bohaterów Carreya. Co innego widzowie, i to pochodzący z różnych pokoleń. Ci najmłodsi doskonale znają m.in. Grincha (choć niekoniecznie kojarzą jego postać z 58-letnim dziś aktorem) i właśnie Grinch przywoływany jest często przy okazji filmu „Sonic. Szybki jak błyskawica". W tym przypadku tytułowym bohaterem jest antropomorficzny niebieski jeż, a Carrey gra jego antagonistę.

Aktor tak mówi o swojej postaci: – Główną inspiracją przy tego typu rolach jest zawsze idea, która stoi za postacią czarnego charakteru. Pamiętam, że w przypadku Grincha ważne było to, żeby pokazać dzieciakom uśmiech, który nosiłem w sercu – młodsi widzowie widzą takie rzeczy. Tymczasem Doktor Eggman to pozbawiony wszelkich wartości, bezużyteczny człowiek, który stara się ukryć ten fakt, nakładając przysłowiową maskę geniusza zła.

Wcielając się w komiksowo zbudowanego Doktora, wraca na duży ekran, na którym wcześniej dał się poznać w innych przestylizowanych wizerunkach m.in. Ace'a Ventury, Człowieka Zagadki walczącego z Batmanem czy hrabiego Olafa z „Lemony Snicket. Serii niefortunnych zdarzeń". Dla roli Doktora Eggmana vel Ivo Robotnika zapuścił wąsy. Dwa lata wcześniej, m.in. na potrzeby serialu „Kidding", zgolił imponującą brodę, która towarzyszyła mu w bardzo trudnym czasie – nasilonej depresji.

Aktor zmagał się z tą przypadłością od początku kariery. Bohater spektakularnego sukcesu, uczucie lęku, napady paniki, kłopoty ze snem łagodził silnymi lekami. Niestety, to po jego leki sięgnęła w 2015 r. była partnerka Cathriony White, by popełnić samobójstwo. Rodzina kobiety oskarżyła o tragedię aktora, depresja powróciła ze zdwojoną siłą.

W sierpniu 2017 r. Carrey opublikował dokumentalny film „Potrzebowałem koloru". Opowiedział w nim o terapii, która mu pomogła, czyli malowaniu obrazów i lepieniu z gliny. Kilka miesięcy później oficjalnie zapewniał: – Nie mam depresji. Zmagałem się z nią od lat, ale teraz, kiedy pada deszcz, nie zalewa mnie, nie zanurzam się w nim, nie topi mnie". I dodawał: „Czasem jestem szczęśliwy".

POZYTYWNIE OTULENI

Jim Carrey, który 17 stycznia skończył 58 lat, powoli wraca do świata filmu. 63-letni Tom Hanks nigdy z niego nie wyszedł. Ten rok rozpoczął od odebrania, podczas gali Złotych Globów, specjalnej Nagrody im. Cecila B. DeMille'a za całokształt twórczości. Był też nominowany do Złotego Globu (podobnie jak do Oscara i Bafty) za najlepszą rolę drugoplanową w „Cóż za piękny dzień".

Film odwołuje się do prawdziwego spotkania Freda Rogersa z dziennikarzem Lloydem Vogelem. Zadanie przeprowadzenia rozmowy z pełną ciepła i dobroci ikoną telewizji dla sceptycznego dziennikarza stało się przełomem i początkiem niespodziewanej przyjaźni. Amerykańscy widzowie odebrali film Marielle Heller jako szansę na sentymentalną podróż w przeszłość i zarazem swoistą sesję terapeutyczną, która w burzliwych czasach „otula pozytywnymi emocjami, niczym ciepły koc".

Hanks znakomicie wpisał się w portret superpozytywnego bohatera, także za sprawą swoich wcześniejszych ról, dzięki którym postrzegany jest jako symbol płynącego z ekranu dobra i życzliwości.

PIĘKNE DNI

Już „Duży" (z 1988 r.) przyniósł mu pierwszą nominację i wprowadził na galę Oscarów (wcześniej odebrał Złoty Glob). Najważniejsze aktorskie statuetki, rok po roku, trafiły do niego dzięki filmom: „Filadelfia" (1993) Jonathana Demme'a i „Forrest Gump" (1994) Roberta Zemeckisa. Za obie role odebrał też Złote Globy (wygrał pięć razy, poza tym sześciokrotnie był nominowany, m.in. za „Kapitana Philipsa" [2013], „Czwartą władzę" [2017] i najnowszy „Cóż za piękny dzień" [2019]).

Kolejne nominacje do Oscara przyniosły aktorowi: „Szeregowiec Ryan" (1999) Stevena Spielberga, „Cast Away. Poza światem" Roberta Zemeckisa (Złoty Glob). Dwukrotnie wystąpił obok Meg Ryan w hitowych komediach romantycznych: „Bezsenność w Seattle" (nominacja do Złotego Globu 1993) oraz „Masz wiadomość" (1998).

Nie sposób wymienić wszystkich znaczących ról i popularnych filmów, w których wystąpił. Są wśród nich „Apollo 13" (1995) Rona Howarda, „Zielona mila" (1999), „Złap mnie, jeśli potrafisz" (2002), „Terminal" (2004) Stevena Spielberga, „Droga do zatracenia" (2003) Sama Mendesa i adaptacje powieści Dana Browna.

Ale Tom Hanks to także reżyser i scenarzysta. W tej roli zadebiutował w 1996 r. filmem „Szaleństwa młodości", który wypromował aktorkę Charlize Theron. Od 1998 r. jest też producentem. Ma na koncie m.in. takie filmy jak „Cast Away. Poza światem" (2000), „Moje wielkie greckie wesele" (2002), „Ekspres polarny" (2004), „Po rozum do mrówek" (2006) czy „Mamma Mia!" (2008).

Podczas tegorocznej gali oscarowej nie odebrał statuetki za rolę „Cóż za piękny dzień", ale pojawił się na scenie jako członek zarządu Academy Museum of Motion Pictures. Ogłosił, że poświęcone filmowi muzeum, od ośmiu lat powstające w Los Angeles, zostanie otwarte 14 grudnia tego roku.

Fot. UIP

eprasa.pl e3907b2c07

POŻEGNANIE

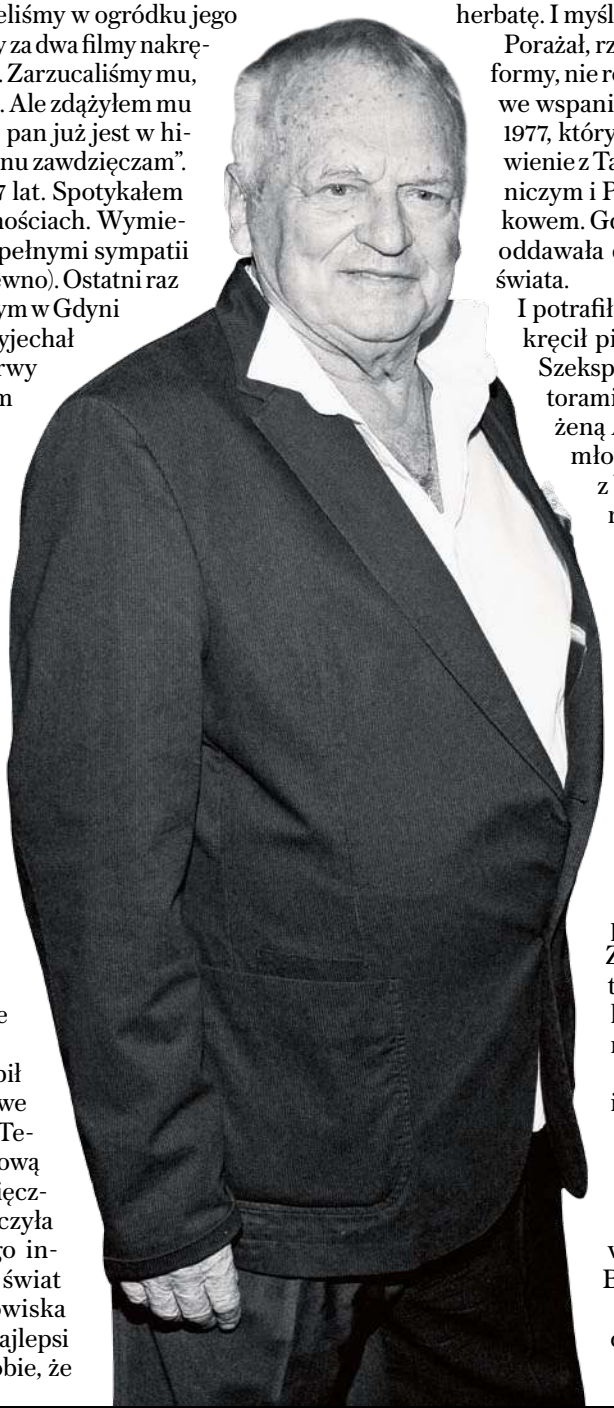
Jestem dłużnikiem Jerzego Gruzy

Poznałem Jerzego Gruzę w roku 2002. Robiłem z nim wtedy – razem z Robertem Mazurkiem – wywiad dla magazynu „Film". Siedzieliśmy w ogródku jego willi na Mokotowie i atakowaliśmy za dwa filmy nakręcone z bohaterami „Big Brothera". Zarzucaliśmy mu, że sięgnął po rozrywkę zbyt tanią. Ale zdążyłem mu wtedy powiedzieć: „Panie Jerzy, pan już jest w historii polskiej kultury. A ja tyle panu zawdzięczam".

Jerzy Gruza zmarł w wieku 87 lat. Spotykałem go zawsze w zabawnych okolicznościach. Wymienialiśmy się uszczypliwościami pełnymi sympatii (o sobie mogę to powiedzieć na pewno). Ostatni raz widziałem go na festiwalu filmowym w Gdyni we wrześniu ubiegłego roku. Przyjechał tam z nakręconym po latach przerwy filmem „Dariusz". Nie obejrzałem go tam, a pan Jerzy w hallu sławnego hotelu Gdynia pytał mnie, na jaki adres wysłać mi zaproszenie na prywatny pokaz. Wydawało mi się, że jest wieczny.

Nakręcił kilka długometrażowych komedii. „Dzięcioł" na przykład zawsze kojarzył mi się ze Stanisławem Bareją. Nie poszedł jednak tą drogą konsekwentnie. Był za to mistrzem telewizyjnego serialu. „Wojna domowa" z lat 60. i „Czterdziestolatek" z lat 70. to arcydzieła. Klejnoty w podpatrywaniu rzeczywistości, ale i w kreowaniu ciepłych, nawet jeśli pokazywanych złośliwie bohaterów. Tak, przy wszystkich cenzuralnych ograniczeniach, on stworzył dla nas Polaków zbiorowe zwierciadło.

Umiał dosłownie wszystko. Robił malownicze programy rozrywkowe w telewizji, a w latach 80. zmienił Teatr Muzyczny w Gdyni w musicalową scenę pierwszej klasy. Moja wdzięczność, którą mu wyraziłem, dotyczyła jednak przede wszystkim czego innego. On mnie wprowadził w świat teatru, kręcąc wspaniałe widowiska telewizyjne. Wielki repertuar, najlepsi aktorzy. Emocje. Powiedział o sobie, że robi te przedstawienia tak, aby statystyczna pani Hela nie wychodziła podczas nich do kuchni zrobić mężowi herbatę. I myślę, że wychodziła rzadko.



Porażał, rzucał nas na kolana nowatorstwem formy, nie roniąc nic z autorskich intencji. Jak we wspaniałym „Rewizorze" Gogola z roku 1977, który obejrzałem wiele razy. Przedstawienie z Tadeuszem Łomnickim jako Horodniczym i Piotrem Fronczewskim – Chlestakowem. Gdzie nieustannie ruchoma kamera oddawała drgawki drapieżnego, szalonego świata.

I potrafił wzruszać. Kilka lat wcześniej nakręcił pięknie „Romeo i Julię" Williama Szekspira – z bardzo młodymi wtedy aktorami – Krzysztofem Kolbergerem i Bożeną Adamek. Zrobił to tak, aby każdy młody człowiek mógł się utożsamić z bohaterami, choć ich nie przebierał we współczesne stroje.

Sam pokazał odbiór tego spektaklu w jednym z odcinków „Czterdziestolatka". Mało ukulturalniona rodzina Karwowskich siada przy telewizorze i jednak myśli o miłości. Ten odcinek chwytał zarazem naturę ówczesnego Teatru Telewizji, bardzo masowego. Dzięki niemu świat teatralnych opowieści i postaci trafiał pod strzechy. Do naszych M2, M3, M4 (przypominam, tak określano w PRL liczbę pomieszczeń w mieszkaniach). Z pewnością Gruza, jako człowiek tamtej telewizji, szedł na niejeden kompromis. Ale to dzięki niemu m.in. ja kocham dziś teatr.

TVP Kultura przypomniała inny jego spektakl: „Mieszczanin szlachcicem" Moliera z 1969 r. Też widziałem go wiele razy w powtórkach. Dzięki niemu pan Jourdain odkrywający, że mówi prozą, zawsze będzie miał dla mnie twarz Bogumiła Kobieli.

Panie Jerzy, jestem Pańskim dłużnikiem.

Piotr Zaremba

Fot. Piętka Mieszko/AKPA

Reklama | 45/0120/F

SPEŁNILI SWÓJ OBOWIĄZEK.
NASZYM OBOWIĄZKIEM JEST PAMIĘĆ O NICH.

1 MARCA

NARODOWY DZIEŃ PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH



ORLEN

eprasa.pl e3907b2c07

Paryski flipper



Wojciech Stanisławski

Nad siecią inspiracji, wpływów, pasji twórczych zaczęło dominować przeczucie nadchodzącego kataklizmu. Tak było w roku 1938. A dziś?

Istnieje całkiem sporo gatunków literackich, od anakreontyków po walterskotyzm, których nazwa pochodzi od nazwiska twórcy. Nie dziwiłbym się, gdyby przedstawienia kaskady postaci, spotkań i wydarzeń zamkniętych w szklanej kuli jednego miasta i roku zaczęto w przyszłości określać mianem „szarotek".

Piszę to po lekturze trzeciego, zamykającego cykl, tomu „portretów lat i miast" pióra Piotra Szaroty. „Paryż 1938" przychodzi po „Wiedniu 1913" oraz „Londynie 1967" i jest, w moim przekonaniu, ukoronowaniem tej trylogii: chociaż może odbieram to tak ze względu na powszechne poczucie, że żyjemy w czasie rozsypki porządku międzynarodowego i społecznego?

To, jak „Paryż 1938" zapada w pamięć, jest tym bardziej uderzające, że w ubiegłym, rocznicowym, roku w Polsce ukazało się kilkanaście tytułów prezentujących ostatni rok pokoju, ostatnie lato lub bodaj sierpień 1939. Większość z nich była zrobiona bardzo rzetelnie, zarazem wykorzystując niepokojący kontrast między pozornym spokojem „normalnego życia" a koszmarem, który, jak wie czytelnik, rozpocznie się już za chwilę. To połączenie bezradności, lęku i rozpaczliwego smakowania chwili działa za każdym razem: na plaży w Zaleszczykach nigdy nie było tak upalnie, zboże nigdy nie kłosiło się tak gęsto, Warszawa nigdy nie wyglądała tak urzekająco. „I zaporowe balony-owoce/ Stoją srebrnawe w świtającym niebie". Jasne, nigdy nie będzie takiego lata. Ten mechanizm smakowania kruchości świata, która nas osobiście nie dotknie, trochę podobny jest śledzeniu sztormów i trzęsień ziemi z głębin fotela. „Paryż 1938" oferuje jednak znacznie więcej. Jego czytelnik może się poczuć jak kulka flippera, która – wystrzeliwszy na bilardową płaszczyznę – zaczyna się w błyskawicznym tempie odbijać od kolejnych tarcz, plansz, ramp, niknąć w tunelach, przemykać przez rampy, wszystko to w kakofonii brzęczyków i dzwonków, w ostrych błyskach świateł. Proszę, otwieram książkę Piotra Szaroty na przypadkowej stronie: Ödö von Horváth i jego tragiczna, przypadkowa śmierć na Polach Elizejskich. Na pogrzebie: Franz Werfel, Jacques Maritain, Joseph Roth, Piscator, Alma Mahler. W tym samym czasie do miasta (gasnących) świateł przybywa, cudem ewakuowany z Wiednia, Zygmunt Freud. Francuscy entuzjaści i psychoanalitycy: Marie Bonaparte, René Laforgue, Anaïs Nin, ale i – Jacques Lacan! No tak, kulka pędzi w stronę Lacana i jego przyjaciół, w tym Bretona i Soupaulta, ale także i Leona Daudeta. Seminaria u Charcota, fascynacja zaburzeniami urojeniowymi i – brzdęk! – mało znany esej Salvadora Dalego o paranoi. Dali na audiencji u Freuda, przy łaskawym pośrednictwie innego uchodźcy, Stefana Zweiga, ale, uwaga, wracamy do Lacana i – seminarium Kojève'a! Odnowienie heglizmu, wśród słuchaczy – Raymond Aron, Merleau-Ponty, Roger Caillois, Raymond Quenau oraz... Georges Bataille! Pomarańczowy błysk, szaleństwa Bataille'a, od „Historii oka" po kwartalnik „Acéphale", a skoro tak, to Pierre Klossowski i Denis de Rougemont, Drieu la Rochelle, no i oczywiście, jak mogłoby się bez niego obyć – słychać pojedynczy, przenikliwy dźwięk – Walter Benjamin...

Mam nadzieję, że dostrzegają już państwo, jak skonstruowana jest ta książka, jak nie sposób oderwać się od tej lektury-gry: uderzająca gęstość tropów, skojarzeń, wielkich nazwisk kultury XX w., która w pracy czysto akademickiej zmuszałaby do żmudnej lektury cytatów i przypisów, śledzenia tropów w tekście z ołówkiem w ręku niczym z flintą na śniegu, tutaj podana jest w postaci kaskady tropów, podań, impulsów. Powyższy akapit brzmiał trochę jak relacja z meczu, ale żadna piłka nie toczy się w tym tempie, co skojarzenia suflowane przez Szarotę. „Paryż 1938" to raczej rafting na Dunajcu w porze roztopów, rowerowy downhill, którego nagranie z kamerki umieszczonej na kasku kolarza oglądamy, odchylając się w krześle do tyłu.

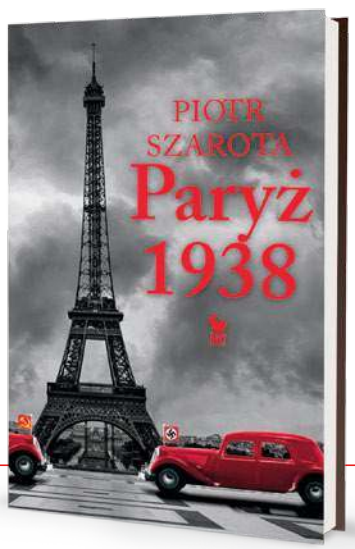
Dodajmy – nie mogą to być wody ani stoki całkiem nieznane: autor, profesor psychologii kulturowej z równą swobodą i tempem opisuje środowiska paryskich malarzy i poetów, komunistów, trockistów, faszystów i agentów Berlina, projektantów mody i architektów. Komu te nazwiska – Schiaparelli, Zborowski, Beckett, Kiki de Montparnasse, Man Ray, Leon Blum, Misia Godebska – nic wcześniej nie mówiły, najpóźniej na 20. stronie poczuje się znużony jak przy kartkowaniu książki telefonicznej: ciągle ten jakiś Breton i Breton! Kto kojarzy je, dozna poczucia naelektryzowania, swoistego zawrotu głowy, podobnego do tego, jaki pojawia się przy zgłębianiu początków kombinatoryki i odkrycia, jaką

eprasa.pl e3907b2c07

potęgą jest silnia: kto by pomyślał, że 10! równa się aż 3 628 800? Podobnie przy lekturze „Paryża 1938": jak niezwykła okazuje się liczba kontaktów, inspiracji, spotkań między ludźmi, których dotąd umieszczaliśmy w całkiem odmiennych szufladkach pamięci, w osobnych rejestrach „pisarzy" i „polityków". Kto by pomyślał, jakie wymiany się dokonywały między Bataillem a Lacanem, jakie plany snuł Gerschom Scholem względem młodego Benjamina, o co Marcel Proust wypytywał Helenę Rubinstein?

Oczywiście: w czasie tych spotkań (sesji, seminariów, wernisaży, kuracji, terapii) parzy się nie tylko herbata: w opowieści o setkach ludzi sportu, mody i filozofii nie może zabraknąć wzmianek o ich romansach, zdradach i eksperymentach, podanych zresztą w równie iskrowym tempie, co cała reszta: Papa Hemingway między pierwszą a drugą żoną, rozterki Remarque'a i Marlena Dietrich, puste pasje Drieu la Rochelle'a, który „zaciągał się życiem jak papierosem, zaciągał się ideą po kobiecie i kobietą po idei". Piszę to, żeby uprzedzić wątpliwości czy zastrzeżenia, które mogą się pojawić pod wpływem powyższych słów: jak to, więc może „Paryż 1938" to jakiś Pudelek dla intelektualistów, „Wszystko, czego nie wiedzieliście o Bertrandzie de Jouvenel", tysiąc ciekawostek, po których zostaje znużenie i biały szum?

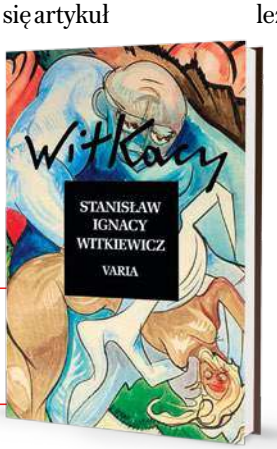
Nic podobnego. Ten tor slalomu, ten paryski flipper został skonstruowany z ogromną konsekwencją. Pomyślano o chwili oddechu, o dygresyjnych plateau sięgających początku wieku, rodowodu jednej z opisywanych postaci, Europy widzianej z lotu ptaka czy areny tak odległej od Paryża jak Chiny 1938 (choć związanej z Paryżem, za sprawą korespondentów, dyplomatów i pisarzy, którzy śledzą rzeź Nankinu). O zamyśle autorskim świadczy jednak przede wszystkim to, że skonstruowana z tysięcy migawek narracja została podporządkowana jednemu celowi: ukazuje, jak nad siecią inspiracji, wpływów, pasji twórczych zaczyna dominować przeczucie nadchodzącej wojny totalnej, jak polityka zaczyna determinować życie intelektualne i społeczne, które wcześniej toczyło się po dziesiątkach orbit, grawitowało ku różnym gigantom. „Nad potem życia i potem agonii/ Nad łzami wściekłych i łzami bezbronnych/ Nad krwią kochanków i nad krwią zranionych/ Zapada noc". Tak i tu, jak w wierszu Barańczaka: noc zapada nad Mandelsztamem i Erenburgiem, nad Panufnikiem i nad Freudem – a my wstajemy znad lektury „Paryża 1938" zdrętwiali, z zimną kulą w brzuchu, zastanawiając się, czy podobny tom szarotek, napisany za dwa pokolenia, nosić będzie na okładce rok 2020, 2021 czy 2022, i jaka metropolia będzie jego bohaterem: Pekin? Madryt? Moskwa?



Piotr Szarota, „Paryż 1938", Iskry, 2019

Tę książkę czytać – obowiązek

Nie znam zbyt dobrze arkanów sztuki księgarskiej, mam jednak nadzieję, że PIW przewidział sytuację, w której nakład poszczególnych tomów „Dzieł zebranych" powinien być zróżnicowany. Przypuszczam bowiem, że wielu czytelników, którzy nie zdecydowali się na zakup np. XIII tomu pism Witkacego („»Pojęcia i twierdzenia implikowane przeze pojęcie istnienia« i inne pisma filozoficzne") nie oprze się pokusie posiadania na własność „Małych pism", w ramach których opublikowano jedyne może reportaże, jakie wyszły spod jego pióra, szkic o „dandyzmie zakopiańskim", pełen tekst „Papierka lakmusowego" (jednodniówki z 1921 r., parodiującej dokonania futurystów) i kilkanaście rozproszonych not, wierszy, jednorazowych fajerwerków nonsensu. I trudno im się dziwić, bo radość, jaka płynie z tych imion („Rozkisław, książę o bladych dłoniach. – Cynga, kotleciarz. – Róża van der Blast, kobieta pięknawa. – Dr Plasmodeusz Blödestank"), rymów, konceptów (Tu szczególnie wyróżnia się artykuł „Polepszenie na rynku dykt i fornierów", opublikowany przez Witkiewicza ze śmiertelną powagą na łamach „Codziennej Gazety Handlowej" z 22.11.1934) jest dla witkacofila nie do przecenienia. Oczywiście „Varia" to najlżejsze rzeczy autora, przez wiele lat redukowanego, szczególnie w anegdotycznych wspomnieniach publikowanych w PRL, do roli ekscentryka. Ale dla tych, którzy latami dociekają prawdy o tym umyśle drapieżnym, najbardziej może niezależnym w II RP, cenne będzie wszystko: reportaż „Z podróży do tropików", przywołujący początki słynnej wyprawy z Bronisławem Malinowskim, przedsięwziętej w lecie 1914 r., dwa tygodnie przed wybuchem Wielkiej Wojny, naśladowanie z Duchampa oraz, bagatelka, polemika z Kołem Wiedeńskim. Wielkie i pyszne były trucizny w Witkacym.



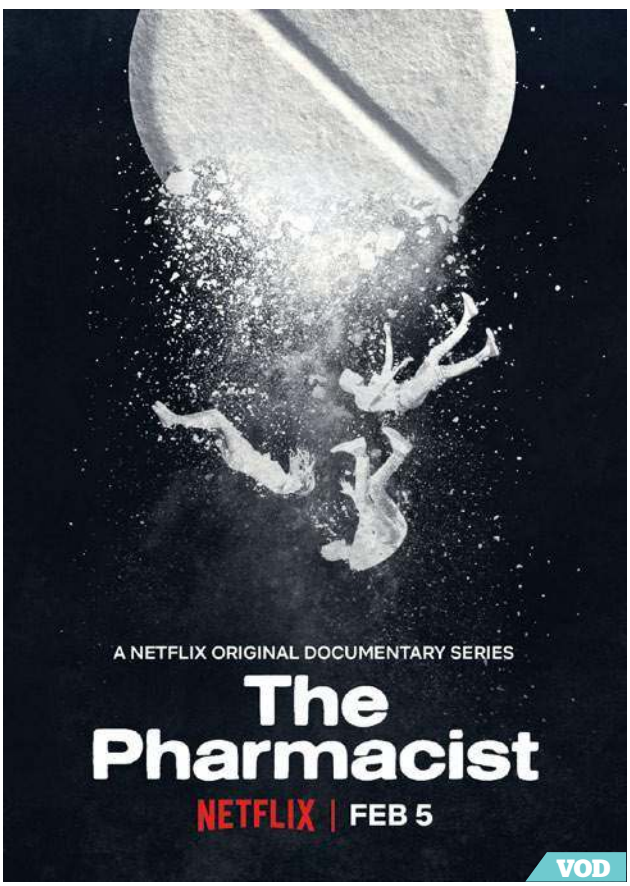
Stanisław Ignacy Witkiewicz, „Varia" [tom XXIII „Dzieł zebranych"], opr. Janusz Degler, PIW, 2019

eprasa.pl e3907b2c07

Adamski



W imię Boga i syna



Jest to bardzo hollywoodzka i amerykańska opowieść. Można powiedzieć, że to typowy western. Dostajemy bowiem historię samozwańczego szeryfa, który w imię dobra lokalnej społeczności wymierza sprawiedliwość łajdakom.

Jest to też historia walki Dawida z Goliatem. Dawid jest farmaceutą w lokalnej aptece. Goliatem jest system kontrolowany przez wszechpotężną firmę farmaceutyczną. Michael Moore taką historię przerobiłby na antykapitalistyczną agitkę i zwalił wszystko na Trumpa, choć historia rozgrywa się na początku XXI w. Netflix zrobił natomiast wybitny serial dokumentalny o superbohaterze z sąsiedztwa. Prawdziwym Kapitanie Ameryce, przepojonym amerykańskimi wartościami. Obroną rodziny, przywiązaniem do wiary i odwagą pójścia pod prąd.

Zaczyna się od trzęsienia ziemi. A potem napięcie rośnie. Syn Dana Schneidera zostaje zastrzelony podczas kupowania cracku. Tata farmaceuta nie zdawał sobie sprawy z uzależnienia ukochanego dziecka. FBI i policja traktuje morderstwo jak kolejne porachunki gangów. Dan nie odpuszcza i mimo kłód rzucanych przez policję, traktującą go jak zdesperowanego natręta, doprowadza do znalezienia mordercy syna.

Schneider przetrwał najgorszą rzecz, jaka może spotkać rodzica, tylko dzięki swojej głębokiej wierze. To Bogu obiecał, że znajdzie mordercę syna. To wiara spowodowała, że prowadząc śledztwo na własną rękę, nie skorzystał z oferty gangsterów, by rozwiązać problem na ulicy. Pokusa była wielka. Policja zaczęła go traktować jak wariata. W Nowym Orleanie problem narkomanii był tak wielki, że kolejny zastrzelony ćpun nie stanowił specjalnego wydarzenia. Ten ćpun był jednak jego synem. Pogubionym i zamkniętym w sobie dzieciakiem z tzw. dobrego domu. „Nie nosiłem broni. Nie zleciłem zabójstwa. Zrobiłem to jak trzeba" – mówi, płacząc. Morderca jego syna również przed kamera się wypowiada.

Tak kończy się pierwsza, gęsta emocjonalnie część dokumentu. A to tylko preludium tej niezwykłej historii. Dan pracując w aptece zauważył, że coraz więcej młodych ludzi realizuje recepty na popularny i reklamowany wszędzie lek OxyContin. Jest to jeden z najsilniejszych opioidów. Silnie uzależniający i niewiele różniący się właściwościami od heroiny środek przeciwbólowy. Farmaceuta rozpoczyna własne śledztwo. Wpada na trop lekarki, która masowo przepisywała recepty ludziom nawet spoza Luizjany. Zawiadamia FBI i DEA. Znów trafia na ścianę obojętności. Tym razem jest to spowodowane własnym śledztwem organów ściągania, które nasz kowboj mógł, w percepcji policjantów, zepsuć. Dana to jednak nie zniechęciło. Od czasu śledztwa w sprawie śmierci syna nagrywał większość rozmów. Miał na taśmach prokuratorów, agentów FBI, policjantów.

Czteroodcinkowy dokument „Farmaceuta" jest niezwykłą opowieścią zarówno o narastającym problemie uzależnienia Amerykanów od leków (przedawkowanie opioidów zabiło 400 tys. Amerykanów), jak i o machlojkach wielkich korporacji czy legalnej korupcji lekarzy przez przedstawicieli medycznych. Gdy produkująca morderczy lek, warta 13 mld dol., Purdue Pharma dostrzegła nadciągający problem, chciała wypuścić na rynek lek... leczący z uzależniania od opioidów.

Opowieść o krucjacie (używam tego słowa w dosłownym znaczeniu) Dana rozgrywa się w okolicach Nowego Orleanu, więc ważną częścią jest huragan Katrina, który w 2005 r. zmasakrował cały rejon. Również rodzinny dom Dana. Zniszczył wszystko. Poza taśmami z obu śledztw ukrytymi na strychu. Znak? Palec Boży? Nie przez przypadek cała opowieść jest naznaczona przez Dana głęboką wiarą jego rodziny. Jestem przekonany, że ktoś nakręci o Danie film fabularny. To temat idealny dla Clinta Eastwooda, który kocha takich bohaterów. Samotnych mścicieli z Bogiem w sercu, którzy powalają na kolana giganta, mimo że system jest skorumpowany. Obejrzyjcie koniecznie.

SERIAL „FARMACEUTA" DOSTĘPNY NA NETFLIKSIE

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl e3907b2c07

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca



Kino

Maestro wraca!

Tęskniłem za takim Guyem Ritchiem. Nie tylko ja, lecz każdy fan twórcy „Porachunków" czekał, aż błyskotliwy Brytol wyleczy się z Hollywood (udane Sherlocki czy U.N.C.L.E, ale też koszmarny „Alladyn") i wróci do korzeni.

Wszyscy pewnie czekaliśmy, że podjedzie pod nas jak karoca po Owena w „O północy w Paryżu" i zaprosi na jeszcze jedną szaloną jazdę po swojej popieprzonej krainie. Zabierze nas na kumplowską przechadzkę po dawno niewidzianych londyńskich spelunach i ciemnych ulicach, podczas której posłuchamy fucków wypowiadanych z zabójczym, brytyjskim akcentem i dostaniemy między oczy pełnymi ironii dialogami.

Taki właśnie jest „The Gentleman". To sto procent Guya w Ritchiem. To dzieło godne stanąć obok „Porachunków" i „Przekrętu". Chcecie streszczenia akcji? Jeżeli znacie brytyjskie kino Ritchiego, to wiecie, że nie ma to najmniejszego sensu. I tak co kilka minut stolik zostaje wywrócony, pojawiają się nowe ekscentryczne postaci, a czarny humor stawia do pionu lepiej niż najczarniejsze espresso. Pozostańmy przy tym, że Ritchiemu zachciało się po prostu opowiedzieć o kolejnym przekręcie w świecie londyńskich gangusów.

Przekręcić chcą wszyscy wszystkich. A najbardziej króla londyńskiej narkotykowej dżungli o twarzy Matthew McConaugheya, który chce sprzedać swoje imperium. Na jego drodze pojawią się chińskie gangusy, izraelski Mosad z żydowską mafią, naczelny tabloidu i obślizgły dziennikarz szantażysta (genialny Hugh Grant na poziomie Brada Pitta w „Przekręcie") i nawet rosyjscy oligarchowie. Wszystko podlane jest ciętymi dialogami, absurdalną przemocą i energetycznie nielinearną narracją, pełną bezczelnych dygresji. Jak zawsze u Ritchiego błyszczą aktorzy. Poza kradnącym show Hugh Grantem, przezabawny epizod tworzy Colin Farrell dowodzący, dlaczego tak lubi go inny mistrz czarnej komedii z wysp, który przeniósł się do Hollywood, Martin McDonagh.

Ritchie ma też w głębokim poważaniu poprawność polityczną. Żartuje sobie z przewrażliwienia antyrasistowskiego, buduje postać przegiętego, wiecznie napalonego geja łajdaka, szydzi z zubożałej przez lewicowe podatki leniwej arystokracji i wbija szpile w brytyjską prasę brukową. Do tego libertariańskim okiem patrzy na niemożliwą do wygrania walkę z narkotykami.

Dobrze, że Guy Ritchie po swoich przygodach w związku z Madonną, z którego narodził się jego najbardziej obciachowy film pt. „Rejs w nieznane", fascynacją kabałą (pamiętacie kuriozalny „Revolver"?) i zaprzedaniu duszy Hollywood, na moment wrócił do tego, co umie robić najlepiej. Bawiłem się na „Dżentelmenach" doskonale. A że jest to powtórka z rozrywki i kolejna odsłona tej samej gangsterskiej opowieści? I co z tego? Już inżynier Mamoń coś mówił o piosenkach, które znamy. Chociaż odkrycia na miarę Vinniego Jonesa i Jasona Stathama tutaj nie ma. Ale może jakiś sequel będzie? A, nie. Nawet to Ritche wykpił na ekranie.

„DŻENTELMENI", REŻ. GUY RITCHE, DYSTR. MONOLITH

„Gomorra" spotyka „Narcos"

VOD

Roberto Saviano w „Gomorze" mistrzowsko opisał mechanizmy rządzące światem neapolitańskiej kamory. Na podstawie jego książki powstał genialny serial i film Matteo Garrone. „Zero Zero Zero" jest ekranizacją książki Saviano, wychodzącej poza rządzoną przez neapolitańską, kalabryjską i sycylijską mafię Italię. Tym razem widzimy, jak wygląda handel narkotykami i współpraca mafii z Włoch z kartelami z Meksyku oraz Amerykanami.



Po dwóch odcinkach widać, że jest to produkcja intrygująca, ale trudno nie mieć wrażenia zderzenia wątków znanych z „Gomorry" czy „Subbury" z „Narcos". To nie zarzut, skoro twórcami „Zero..." są ludzie od tego pierwszego serialu. Dlatego tak świetnie czują klimat tego świata. Znajdziecie tutaj sporo smakowitych wątków dobrze umocowanych w zaskakującej rzeczywistości. Widzimy m.in., jak ukrywający się w górskich jaskiniach (naszpikowanych elektroniką), wyglądający jak pastuchy kalabryjscy gangsterzy z 'Ndrànghety kontrolują światowy handel narkotykami. Nie ma tu nic z mitologii „Ojca chrzestnego".

„ZERO ZERO ZERO" DOSTĘPNY NA HBO GO

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl e3907b2c07

Polish lama na Evereście

Kapłan urodzony w Gdyni, z uprawnieniami ratownika GOPR, uczestnik kilku wypraw pod biało-czerwoną flagą. W 1980 r. – dość niespodziewanie dla siebie – dołączył do ekipy zamierzającej dokonać prekursorskiego wejścia zimowego na „dach świata". Nikt przedtem nie słyszał o ekspedycji wysokogórskiej mającej własnego kapelana



Fot. Fundacja Andrzeja Zawady

Nie byłem aż tak dobrym alpinistą, żeby iść na Everest. Zdecydowały, jak sądzę, poniekąd pozamerytoryczne okoliczności. Otóż środowisko alpinistów to ludzie wierzący, ochrzczeni, ale praktykujący, powiedzmy, wstrzemięźliwie. Nie zabobonni – broń Boże! – ale nieraz słyszałem, że „jak ksiądz z nami będzie, to nic złego się nie stanie"...

Ks. Stanisław Kardasz, proboszcz parafii Matki Boskiej Zwycięskiej w Toruniu, skromnie przedstawia swoją rolę. – Obiecałem kolegom idącym na Czomolungmę perłowy różaniec od Jana Pawła II, jaki otrzymałem wraz z błogosławieństwem dla zimowej ekspedycji na audiencji w Castel Gandolfo.

Wysokość ponad 8 tys. m n.p.m. w środowisku wspinaczy określa się strefą śmierci. Latem człowiek może tam przeżyć kilka dni. A zimą? Alpiniści wówczas poruszali temat raczej po dużej wódce, to były marzenia. Ale marzenia trzeba realizować.

Andrzej Zawada, który 11 maja 1977 r. dostał nominację na kierownika narodowej wyprawy na Mount Everest, ponawiał prośby o zgodę na wyprawę do władz Nepalu, lecz urzędnicy je zbywali. Nikt przedtem nie wszedł tam w porze zimowej. Po co, skoro Himalaje dla zdobywców są bardziej przyjazne w innych porach roku... Aż jesienią 1979 r. nadeszła zgoda. Samo rychtowanie wyprawy odbyło się na chybcika. Ale wsparcie różnych osób sprawiło, że w Wigilię 1979 r. forpoczta grupy dzieliła się opłatkiem u podnóża Everestu.

Termin wyprawy niezbyt odpowiadał księdzu, bo to czas kolęd. Ale cóż, sytuacja rozwijała się dynamicznie. Zasada i Szafirski załatwili bilety lotnicze, a przedtem urzędowe zezwolenia, prócz jednego.

– Zgodę mojego biskupa wyjednałem sam. Do Delhi docieraliśmy grupkami. Ja w ostatniej. Zaimprowizowany nocleg u pracowników polskiej ambasady, lot do Katmandu i dalej czteroosobową cessną do Lukli. Stamtąd do punktu startowego mieliśmy już tylko żabi skok. Jakieś 135 km. Dysponowaliśmy instrukcją ustną, stylową w środowisku wspinaczy. „Dwa dni idziecie prosto i skręcacie w prawo. Potem dwa dni prosto i znowu w prawo"... Poważnie mówiąc, mieliśmy jakieś mapy, ale niezbyt precyzyjne.

POLACY W CENTRUM UWAGI

Zimowa ekspedycja narodowa na Everest wywołała wielkie zainteresowanie i emocje. Siedmio-, ośmiotysięczników jest

eprasa.pl e3907b2c07

wiele, ale TA góra jest tylko jedna. Ekspedycja licząca 20 Polaków, pięciu szerpów i nepalskiego oficera łącznikowego miała przed sobą kilka dni marszu. W noc sylwestrową na wysokości 5400 m stanęły pierwsze namioty. Na początku stycznia pokonali lodospad Ice Fall (ok. 6000 m) i postawili pierwszy obóz. Potem drugi w głębi Kotła Zachodniego (6500 m). A trzeci stanął 15 stycznia w ścianie Lhotse (ponad 7000 m).

– Droga z Lukli do bazy zajęła sześć dni. Już na lodowcu, gdy do namiotów miałem jakieś sto metrów, nagle w okamgnieniu straciłem siły. Choroba wysokościowa, z wszystkimi przykrymi konsekwencjami, jakie ludzie gór znają. Koledzy, dosłownie, dowlekli mnie do namiotu. Andrzej Zawada zarządził tonem bezdyskusyjnym: „Natychmiast schodzisz niżej! Wrócisz do bazy za dwa dni!". Indywidualny odwrót był doświadczeniem przykrym i pouczającym. Napędzał mnie ciąg na górę, owszem, ale szedłem za szybko, lekceważąc konieczność stopniowej aklimatyzacji.

CO MY POWIEMY PAPIEŻOWI?

Nie wiedzieli, jak wygląda zima w rejonie Czomolungmy. Zakładali dwumetrową warstwę śniegu, a zastali go ledwo, ledwo. Szokował jet stream, wiatr, rodzaj prądu wiejącego wąskim strumieniem. Żywioł niszczył obozy, osłabiał motywację śmiałków. Ale podjęli trwającą kilkanaście dni walkę o Przełęcz Południową i założenie obozu czwartego (prawie 8000 m).

Wiadomości z Nepalu docierające do kraju drogą radiową niepokoiły. Stan napięcia podnosiły tytuły doniesień prasowych w stylu: „Huragan pod szczytem! Załamał się kolejny atak". A potem informacja przekreślająca wysiłek Polaków. Minął termin zezwolenia na atak zakreślony do 15 lutego, czyli według władz nepalskich – z końcem zimy. Decyzja niweczyła dotychczasowy wysiłek i – jak się zdawało – wszelkie szanse.

Ksiądz Stanisław trzymał pion i odprawiał msze. – Społem się modlili, żeby się znaleźć wśród szczytowców. W obozie czwartym było tylko sześciu ludzi. O tym, kto wejdzie, decyduje szef.

Andrzejowi Zawadzie sił nie starczyło. Kto miał ich najwięcej? 8 lutego Leszek Cichy, Walenty Fiut i Krzysztof Wielicki weszli na przełęcz. Mieli niewielki namiot. Cichy od razu zszedł niżej, a pozostali wrócili rano. Na widok Fiuta i Wielickiego wszyscy poczuli ulgę. Ale morale zespołu spadło.

Wtedy „dziadkowie", jak ich w zespole nazywano, wyszli na przełęcz. Szafirski i Zawada wiedzieli, że nie będą szturmować szczytu. Zagrali psychologicznie, żeby polepszyć nastroje. Ale warunki pogodowe uległy ekstremalnemu pogorszeniu.

Kardasz: – Na uboczu, nieco konfidencjonalnie, przekomarzałem się z Leszkiem i Krzysiem. „Chłopcy – rzuciłem niby mimochodem – wiecie, mamy ten różaniec... Trochę głupio będzie, bo co my potem powiemy papieżowi?". „No tak" – odparli niemal równocześnie. Popatrzyli na mnie może niezbyt entuzjastycznie, ale za jakiś czas – jak wiadomo – poszli. Nie przypisuję sobie jakiegoś nadzwyczajnego wpływu na moich wybitnych kolegów, ale...

Zawada miał kontakt z Andrzejem Wawrzyniakiem, szefem ambasady polskiej w Nepalu, u którego notabene w drodze na Everest nocował ks. Kardasz. Dyplomatyczne zabiegi zaowocowały prolongatą terminu do 17 lutego. Wieść o przedłużeniu zezwolenia skłoniła Wielickiego i Cichego do atakowania szczytu z obozu drugiego. Mieli dzień zapasu, ale go stracili. Zawada, schodząc z przełęczy do obozu trzeciego, nie trafił na właściwą linę poręczową i nocą zabłądził. Koledzy go sprowadzili, ale wyczerpani nie byli już w stanie ruszyć w górę.

NA SZCZYCIE! ZIMĄ! POLACY!

Zbudzili się w ciemnościach, około szóstej rano. Wiatr dął, jak od kilku dni. Trapieni obawą przed odmrożeniami czekali na wschód słońca. W momencie rozpoczęcia ataku ostatniej szansy termometr wskazywał minus 42 stopnie. Dopiero 16 lutego wyszli na przełęcz, a 17 ruszyli w kierunku szczytu. Zakładali, że jak pogoda nie będzie bardzo zła, to wejdą. Określenie „bardzo zła" brzmi enigmatycznie. Chodziło o drobiazg. Żeby huragan nie zdmuchnął ich z grani.

Na szczyt doszli około czternastej. Uruchomili radiotelefony.

„Halo, baza. Halo, dwójka. Czy nas słyszycie? Odbiór". „Nie słyszę. Powtórz. Gdzie jesteście? Odbiór!". „Na szczycie Everestu! Na szczycie! Zimą! Polacy!".

W metalowej rurce masztu geodezyjnego umieścili kartkę z napisem „Polish Winter Expedition 80", termometr do pomiaru minimalnych temperatur, różaniec od Jana Pawła II i mały krzyżyk od matki Stanisława Latałły. Filmowca, który zginął w wyprawie na Lhotse (1974).

Na szczycie spędzili ok. 40 minut. Z tyłu głowy kołatało: Szczyt jest niczym, powrót wszystkim.

TRAUMATYCZNY POWRÓT

Ryszard Szafirski próbował donieść im dwie butle tlenu, ale nie dał rady. Zamiast czterech litrów tlenu na minutę mieli tylko dwa. Starczyło do wierzchołka głównego i na powrót do południowego. Także herosów nie omija natrętna myśl, że z miejsca, do którego doszli, mogą po prostu nie zejść. Ostatnie 80 metrów schodzili pół godziny dłużej, niż wchodzili. Zaległa mgła i mieli kłopot z trafieniem na drogę powrotną. Okulary zdjęli, bo zaparowały. Oczy obrastały lodem, mieli ślepotę śnieżną. Wiatr się wzmagał. Zziębnięci, tracili siły.

Wielicki pół godziny przesiedział w śniegu. Liczył na łaskawszą pogodę. Nie czuł nóg. Nawiązali łączność z bazą: „Gdzie jesteście?!", „A zgadnij".

Żartu nie rozwinęli, bo połączenie się urwało. Może wysiadły baterie, może nie było zasięgu. To możliwe w huraganie, na 8 tys. metrów...

Wchodzili siedem i pół godziny, schodzili ponad sześć, ale w męce niepewności. Czy na Przełęczy Południowej stoi jeszcze namiot, bo gdyby huragan go zdmuchnął, to koniec.

Odezwali się wieczorem. Leszek w namiocie czekał na Krzyśka. Ale znowu się wyłączyli, na 12 godzin.

Kardasz: – Nikt z nas nie spał. Nikt głośno nie zapytał, czy Krzysiek już doszedł, ale wszyscy byli z nim myślami, a ja się modliłem.

eprasa.pl e3907b2c07

Wielicki miał odmrożone nogi. Schodził bokiem, tyłem... Cichy zszedł pierwszy i przygotował nocleg. Partner połowę nocy masował stopy nad kuchenką butanową.

Kardasz: – Weszli na szczyt, ale musieli do nas zejść. Ludzie nizinni, bez urazy, nie pojmują, że akcja się kończy, gdy się wróci do bazy.

Zawada: – Nocą dotarli do ostatniej bazy. Leszek szedł szybciej, bo Krzysiek miał odmrożone stopy. Na przełęczy szok. Rozległy teren, ślady zawiane, widoczność minimalna. Namiot znaleźli niemalże cudem.

Droga powrotna nie poskąpiła traumatycznych momentów. Natrafili na zamarznięte ciało Amerykanina. Zmarł niedawno podczas schodzenia ze szczytu. Nieopodal zwłoki niemieckiej himalaistki. Próbowała go ratować, a kiedy umarł, nastał zmrok i wszystko zatarła ciemność.

Kardasz: – Leszek i Krzysiek mieli przed sobą ostatni etap. Czekaliśmy w napięciu, podekscytowani do maksimum, dogłębnie poruszeni. Wyszliśmy im naprzeciw. Wielicki miał odmrożone palce u nóg i w ostatniej fazie prowadziłem go za rękę. Mszę odprawiałem codziennie. Radiotelegrafista Bogdan Jankowski nadawał transmisję do kolegów będących wyżej. Szerpowie się dziwili i praktykowali swoje obrzędy. Zawada zagadnął ich w konwencji, powiedzmy sobie, ekumenicznej. Z pomocą naszego Boga i waszego Buddy na pewno wejdziemy na Mount Everest.

* * *

17 lutego 1980 r. Wielicki i Cichy pierwsi zimą stanęli na szczycie najwyższej góry świata. Wydarzenie przeszło do historii światowego himalaizmu. Ks. Stanisław zwraca uwagę na mniej eksponowane aspekty ekspedycji, do której przygotowania trwały trzy lata. Pierwsze zimowe wejście na Everest nastąpiło kilka miesięcy po pierwszej pielgrzymce Jana Pawła II do Polski. U podnóża Czomolungmy stanęli obozem indywidualiści, ale odłożyli osobiste ambicje i naturalną rywalizację, kto wejdzie na szczyt. Wszystkim chodziło o to, żeby w ogóle ktoś z nas tam stanął.

Nieraz celebrans stał pod namiotem trzymanym przez kolegów. – Msze naturalnie krótkie, homilia jedno-, dwuzdaniowa, ale modlitwa powszechna aktualizowana. Na koniec, Środa Popielcowa i msza dziękczynna. Popiół wziąłem z „ołtarza" buddystów, palących ofiary posypywane ryżem. Szerpowie stali „na baczność" i starali się wykonywać wszystko co my – wspomina.

Polacy przekroczyli granicę, której nikt przedtem nie przekroczył. Wyczyn niemalże dosłownie – niebosiężny. Upadł mit, jakoby Himalaje zimą były niedostępne dla wspinaczy! Kierownik wyprawy wysłał telegramy do Jana Pawła II i do Edwarda Gierka.

Papież o świcie przesłał depeszę. *„Cieszę się i gratuluję sukcesu moim Rodakom, pierwszym zdobywcom najwyższego szczytu świata w historii zimowego himalaizmu. Życzę Panu Andrzejowi Zawadzie i wszystkim Uczestnikom wyprawy dalszych sukcesów w tym wspaniałym sporcie, który tak bardzo ujawnia »królewskość« człowieka, jego zdolność poznawczą i wolę panowania nad światem stworzonym. Niech ten sport, wymagający tak wielkiej siły ducha, stanie się wspaniałą szkołą życia, rozwijającą w Was wszystkie wartości ludzkie i otwierającą pełne horyzonty powołania człowieka. Na każdą wspinaczkę, także tę codzienną, z serca Wam błogosławię.*

Jan Paweł II. Papież. Watykan, dnia 17 lutego 1980 roku".

Przywódcę PZPR ospałe służby powiadomiły dopiero rano. Informacja o telegramie z Watykanu wywołała konfuzję. Gierek poczuł urazę i zdobywcom „dachu świata" nie złożył gratulacji (sic!).

Małostkowe dąsy genseka nie wpłynęły na bieg historii. Polacy dali początek nowej epoce w dziejach himalaizmu. Na 13 ośmiotysięczników zdobytych zimą aż 10 pierwszych wejść dokonali polscy himalaiści!

Oprócz Zawady, Cichego i Wielickiego w pionierskiej wyprawie udział wzięli: Józef Bakalarski, Krzysztof Cielecki, Ryszard Dmoch, Walenty Fiut, Ryszard Gajewski, Andrzej Zygmunt Heinrich, Jan Holnicki-Szulc, Robert Janik, Bogdan Jankowski, Stanisław Jaworski, Aleksander Lwow, Janusz Mączka, Kazimierz Olech, Maciej Pawlikowski, Marian Piekutowski, Ryszard Szafirski, Krzysztof Wiśniewski, Mirosław Wiśniewski, Krzysztof Żurek i Stanisław Kardasz, nieoficjalny kapelan.

W środowisku ukuto termin: „ice warriors" – lodowi wojownicy.

– Niewątpliwej osobliwości doznaliśmy na przystanku noclegowym w buddyjskim klasztorze. Gdy szliśmy do góry, gospodarze traktowali nas pobłażliwie, inaczej mówiąc, jak ludzi niespełna rozumu, crazy, w każdym razie chorych. Wiedzieli, że nikt zimą nie wszedł na „dach świata".

Zdobywcy Czomolungmy schodzili grupkami. Tubylcy wszystkim okazywali radość niewyobrażalną. Ale ze specjalną atencją potraktowali księdza. Zanim się obejrzał, nałożyli mu na barki wieniec ze sztucznych kwiatów i uroczyście wprowadzili do kaplicy.

– Co jest, głowiłem się. Ale nic, zdjąłem buty, siadłem na dywaniku i usiłowałem nadążyć za rytuałem. Mnisi zawodzili modły, natomiast jeden dyskretnie krążył z kubkami herbaty. Rozgrzewała, ale z czasem odczułem, że posiada też walor, powiedzmy, rozweselający. Mimo to dalej nic nie rozumiałem z przebiegu rytuału ani nie znałem powodu doznanej atencji.

Tajemnica wyjaśniła się nieco później. Szerpowie, którzy przybyli do klasztoru przed nami, uprzedzili pobożnych ziomków, że nadejdzie wkrótce sprawca „niezwykłego" wydarzenia na Czomolungmie. „Polish lama" odprawił modły i ustał wiatr, a Polacy weszli na szczyt i zeszli...

A co z różańcem papieskim? Prawem zdobywców jest zabranie ze szczytu tego, co zostawili poprzednicy. Zawada miał zagwozdkę, bo wiosną planowali wejście na szczyt kolejni rodacy. Chciał uprzedzić ewentualne spekulacje, że „Polacy wnoszą i zabierają różaniec".

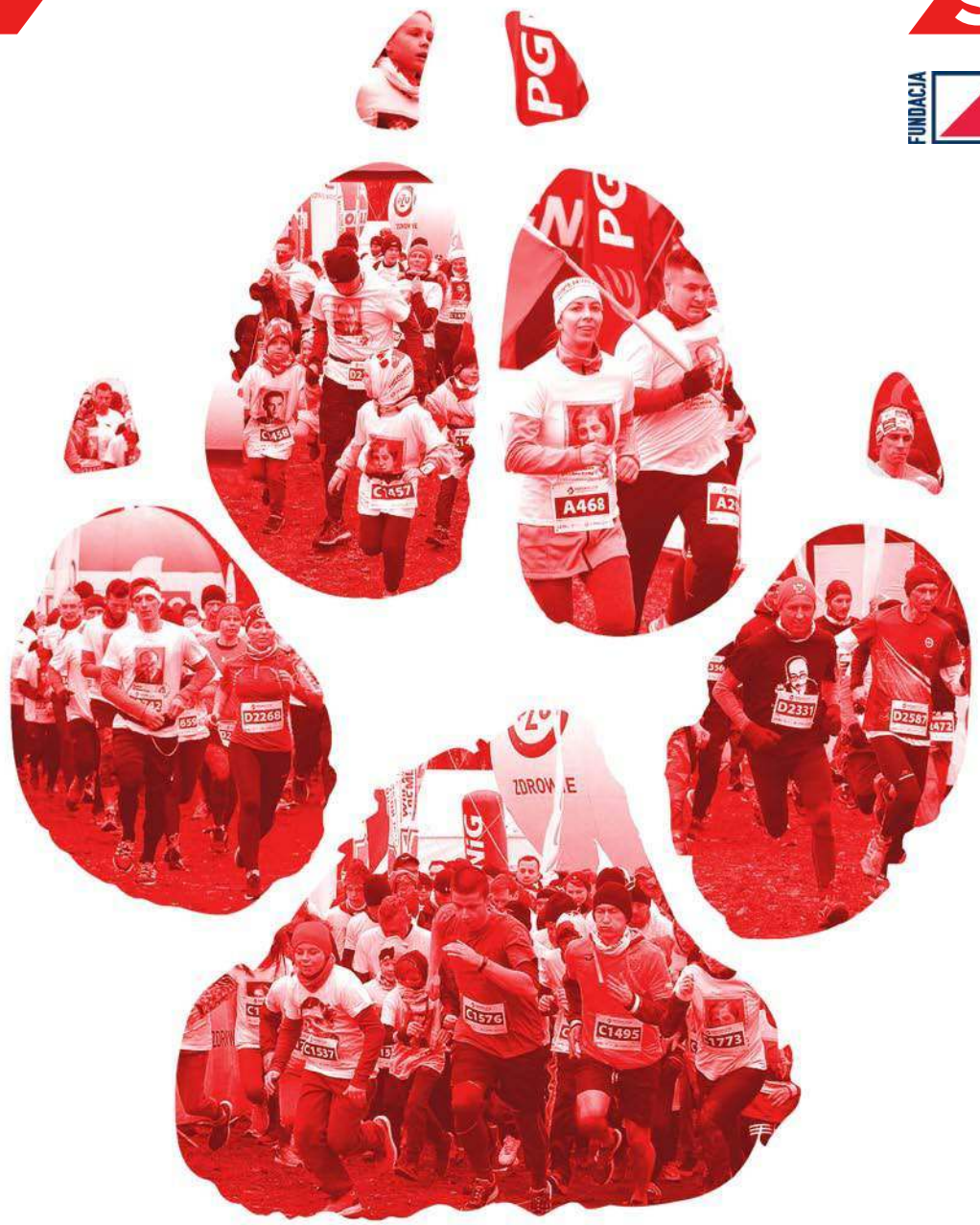
W środowisku alpinistów wiedziano, że mniej więcej w tym samym czasie wspinała się ekipa hiszpańska. Zawada celowo opóźniał polską wyprawę i Baskowie weszli pierwsi. Różaniec zabrał Martin Zabaleta i podarował swojej mamie, która następnie oddała go do muzeum.

Ks. Kardasz, honorowy prałat papieski, swoją misję wysokogórską określa z właściwą mu ironią. – Everest? No cóż, za młodu dobry Bóg pozwolił mi odprawiać msze na najwyższym poziomie.

Zbigniew Branach

eprasa.pl e3907b2c07

FUNDACJA WOLNOŚĆ I DEMOKRACJA



VIII BIEG „TROPEM WILCZYM”

1 MARCA 2020

PARTNERZY DODATKU

BGK BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

Bank Pekao

Energa

KGHM POLSKA MIEDŹ

LOTTO

PZU

eprasa.pl e3907b2c07

Patriotyczne przebudzenie

Wszystko ruszyło tuż po katastrofie smoleńskiej, kiedy zaczęły powstawać oddolnie liczne stowarzyszenia i akcje świadczące o nadchodzącej erze patriotycznego przebudzenia. Na początku 2011 r. parlament podjął złożony przez prezydenta Bronisława Komorowskiego, ale przygotowany jeszcze przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego, w porozumieniu z byłym prezesem IPN Januszem Kurtyką, projekt ustawy o ustanowieniu 1 marca Narodowym Dniem Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Większość sejmowa była zdominowana przez koalicję PO-PSL, jednak niewielu parlamentarzystów odważyło się ujawnić swoje prawdziwe – negatywne – poglądy wobec tej inicjatywy. 3 lutego 2011 r. Sejm uchwalił ustawę zdecydowaną większością głosów (406), choć znaleźli się i tacy – w liczbie ośmiu – którzy głosowali przeciw, a trzech wstrzymało się od głosu (do dziś w parlamencie, wówczas w Sejmie, a potem w Senacie zasiada jeden z tych „odważnych" – Jerzy Fedorowicz).

Dziś już nikt nie śmie wymazać z podręczników rtm. Witolda Pileckiego czy płk. Stanisława Kasznicy, mjr. Hieronima Dekutowskiego i wielu, wielu innych. Oby tak zostało na zawsze

Podobnie jak wielu innych działaczy społecznych, dotkniętych traumą katastrofy smoleńskiej, włączyłem się w proces przeżywania ówczesnego ożywienia patriotycznego. Żołnierze Wyklęci, którymi zawodowo – jako historyk i publicysta – zajmowałem się co najmniej od lat 90. jako redaktor naczelny pisma kombatantów NSZ „Szaniec Chrobrego", a potem długoletni pracownik pionu naukowego IPN, stali się dobrem wspólnym, tożsamościowym. Jak do tego doszło? Każdy z nas, także czytelników, ma swoją pamięć i swoją perspektywę. Oto moja...

Ustanowienie święta 1 marca, w rocznicę mordu na członkach IV Komendy Zrzeszenia WiN z płk. Łukaszem Cieplińskim na czele, stało się iskrą, która rozpaliła początkowo niewielką grupkę działaczy warszawskich, spotykających się w kawiarni Telimena. 1 marca 2011 r. siedmiu późniejszych członków Społecznego Komitetu Obchodów Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych, a wówczas związanych towarzysko z tworzącym się Stowarzyszeniem Polska Jest Najważniejsza, zapaliło znicze i położyło kwiaty w miejscach kaźni i upamiętnienia podziemia niepodległościowego. Były to m.in. areszt mokotowski na Rakowieckiej, gmach Informacji Wojskowej na Oczki oraz gmach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na Koszykowej. Zauważyliśmy wówczas, że miasto nie przygotowało się do obchodów, mimo naszych próśb; nie oflagowano stolicy, ba, nawet w miejscach, do których organizatorzy dotarli (poza Rakowiecką, gdzie prezydent Komorowski złożył kwiaty), zamiast zniczy były od dawna leżące tam śmiecie. Wielkie obchody, dziś znane w całej Polsce, w 2011 r. miały zatem wymiar niemal groteskowy! Władze ówczesne, nie tylko miasta – spały.

Poczuliśmy się zatem odpowiedzialni. Gdy zbliżał się kolejny 1 marca, jeszcze na początku listopada 2011 r., członkowie wspomnianego SPJN rzucili hasło zorganizowania przez podmioty społeczne zlotu gwiaździstego pod Grób Nieznanego Żołnierza. Wytypowaliśmy 15 miejsc w stolicy, potem jeszcze doszły kolejne z podstołecznych powiatów, za które każda z organizacji zgłaszających się do nas miała być tego dnia – głównie 1 marca 2012 r. – odpowiedzialna za obchody lokalne. Wieczorem mieliśmy się spotkać na najważniejszym placu Warszawy. I tak się stało! Jeszcze w styczniu 2012 r. powołaliśmy Społeczny Komitet Obchodów Narodowego Dnia Żołnierzy Wyklętych (SKONDZW), w skład którego weszło 20 przedstawicieli 14 organizacji społecznych (do 1 marca liczba reprezentantów wzrosła do 31, a w kolejnych latach skupiliśmy ponad 100 organizacji społecznych, często oczywiście kilkuosobowych de facto). Przewodniczącym Komitetu został piszący te słowa, a moją prawą ręką Wojciech Boberski, człowiek instytucja. W Komitecie najczynniejsi byli (z góry przepraszam, jeśli kogoś pominąłem): Teresa Brykczyńska, Adam Borowski, Marek Wernic i Sławek Karpiński.

Przygotowania do obchodów, począwszy od 2012 r., obejmowały kilkanaście czynności stałych: opracowywaliśmy folder wydawany w ok. 5 tys. egzemplarzy (rozchodził się błyskawicznie) z miejscami w stolicy i w okolicach, do których zapraszaliśmy warszawiaków, a także produkowaliśmy specjalne wlepki i metalowe ryngrafy. Zamawialiśmy spoty na bilbordzie przy rondzie Romana Dmowskiego, doprowadziliśmy m.in. za sprawą mediów i organizowanych konferencji, że od 2012 r. miasto było tego dnia oflagowane, a władze dzielnic stolicy dbały o stosowną obecność, porządek, a także o obecność przedstawicieli szkół, czyli młodzieży i nauczycieli. Centralne obchody organizowaliśmy z kolei przy GNŻ, gdzie przybywające tłumy warszawiaków mogły uczestniczyć w ułożonym przez nas programie obchodów. Były więc przemówienia, odczytanie ułożonego przez nas apelu poległych, złożenie kwiatów, a potem marsz do katedry przy dźwiękach bębnów (to zasługa m.in. prof. Stanisława Skoczyńskiego). W pierwszym szeregu młodzi ludzie trzymali co roku baner z hasłem symbolizującym nasz oddolny

eprasa.pl e3907b2c07

ruch: „Podziemna Armia powraca!". To hasło wzbudzało wśród niechętnych nam dziennikarzy fale komentarzy, kpin bądź oburzenia. Utrwaliło się jednak w zbiorowej pamięci za sprawą duetu Leszek Czajkowski i Paweł Piekarczyk, którzy hasłem tym zatytułowali swój wiodący utwór na płycie wydanej w 2013 r. Co roku szliśmy do katedry świętojańskiej, by uczestniczyć we mszy św. zamykającej centralne obchody. Szliśmy, niosąc ok. 200 portretów bohaterów podziemia niepodległościowego. Plac Piłsudskiego bywał przystrojony specjalną instalacją autorstwa Małgorzaty Grabowskiej-Kozery, uroczystościom towarzyszyła oprawa muzyczna, a garnizon warszawski co roku wystawiał specjalną wartę. Apel poległych co roku czytał ktoś inny, głównie ludzie młodzi – dziś rozpoznawalni, np. Ewelina Steczkowska, Piotr Mazurek czy Przemysław Dąbek. Także dzięki apelowi wizerunki i biografie Żołnierzy Wyklętych wpisały się w powszechną świadomość Polaków.

Wcześniej i później, czyli w zależności od kalendarza rocznego także przed 1 marca, organizacje społeczne wchodzące w skład Komitetu odpowiedzialne za lokalne upamiętnienia, organizowały własne obchody, my np. jako SPJN co roku byliśmy odpowiedzialni za przebieg uroczystości przy kościele św. Katarzyny, przy pomniku i na cmentarzach służewskich. Jak zawsze wspierał nas ks. Wojciech Gnidziński (wcześniej ks. Józef R. Maj), proboszcz parafii. Inne stowarzyszenia, w tym rekonstruktorzy czy korporanci, prascy organizatorzy z Hubertem Kossowskim (zm. 22 listopada 2015 r.) na czele dbali o przebieg kolejnych uroczystości. Niemal wszędzie, zwłaszcza na pl. Piłsudskiego, towarzyszyli nam żołnierze z garnizonu warszawskiego, harcerze, głównie z ZHR, kibice i wolontariusze krzątający się i pełni zapału. Dziękujemy!

Począwszy od 2014 r., zaczęliśmy także, dzięki wsparciu niektórych parlamentarzystów, organizować coroczne spotkania w sejmowej Sali Kolumnowej. Inicjatywa ta była spowodowana rozszerzaniem się naszej stołecznej akcji i odnalezieniem wspólnego pola działania z bliźniaczymi komitetami czy stowarzyszeniami rozsianymi po całej Polsce, od Szczecina i Suwałk po Wrocław czy Lublin. Inicjatorem i pomysłodawcą spotkań był pan Dariusz Kucharski z Poznania. Wydaje się, że praca nasza nie poszła na marne.Wrogowie Żołnierzy Wyklętych zostali zaskoczeni aktywnością obywatelską tysięcy Polaków rozsianych po całym kraju. Ten fragment naszej pamięci, zbezczeszczonej za sprawą stalinowskiej propagandy i jej kontynuatorów, odbudowaliśmy zgodnie z prawdą i potrzebą niepodległej wspólnoty narodowej. Dziś już nikt nie śmie wymazać z podręczników rtm. Witolda Pileckiego czy płk. Stanisława Kasznicy, mjr. Hieronima Dekutowskiego i wielu, wielu innych. Oby tak zostało na zawsze.

Jan Żaryn





Więcej niż bieg

Gdyby to miała być tylko sportowa rywalizacja, to byłaby jedna z wielu. A przecież bieg „Tropem wilczym" jest jeden, jedyny i największy w Polsce, choć też odważnie wykracza poza jej granice. Co sprawia, że mówimy o inicjatywie wyjątkowej?



MARCIN WIKŁO

„Po co biegniesz?" – to pytanie słyszałem wielokrotnie. Odpowiadam więc, zgodnie z prawdą, że chcę upamiętnić ludzi, którzy są moimi bohaterami. I podziękować im za to, że mówię po polsku, że żyję w wolnym kraju, że biegam, bo mam na to ochotę. Czuję wyjątkową więź z Niezłomnymi, cieszę się więc, że w kalendarzu obchodów Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych coraz istotniejszy staje się bieg „Tropem wilczym". Już dzisiaj, tuż przed startem ósmej edycji, mówimy o największym biegu pamięci na świecie.

– To jest coś wyjątkowego, tak całkowicie różnego od konferencji historycznych, które są oczywiście

eprasa.pl e3907b2c07



Fot. Zuzanna Kruschewska

wartościowe, ale na nich młody człowiek może szybko się znudzić – mówi nam Krzysztof Kosior, prawnuk Witolda Pileckiego. Dodaje, że bardzo kibicuje biegowi i szczególnie wszystkim imprezom, które mu towarzyszą. – Praca dla innych jest właściwie dopełnieniem misji rotmistrza, który w czasie pokoju był wielkim społecznikiem. W inicjatywie „Tropem wilczym" odnajduję kontynuację tej idei – mówi młody chłopak, który jest jednym z gości konferencji w Belwederze. Spotykamy się w tym miejscu, bo po raz kolejny honorowego patronatu biegowi udzielił prezydent Andrzej Duda.

„Uznając za wielką zasługę dla naszej narodowej pamięci i umacniania patriotyzmu Polaków to, że dzięki Państwa pracy dobro, wielkość, odwaga, wierność, szlachetność okazały się wartościami nie tylko wzniosłymi, ale też atrakcyjnymi i modnymi, życzę, aby te pozytywne zjawiska trwały i rozwijały się przez następne lata, a świętowanie uroczystości ku czci bohaterów podziemia antykomunistycznego przyczyniało się do budowania ducha i siły, Polski wolnej, niepodległej i suwerennej. Cześć i chwała Bohaterom!" – napisał w liście do uczestników i organizatorów biegu prezydent.

NIE TYLKO BIEG

– Jeśli celem jest upamiętnianie Żołnierzy Wyklętych – to dobrze by było pomyśleć, jak oni chcieliby być zapamiętani, co dla nich, co w ich przesłaniu, idei, ofierze było najważniejsze – zastanawia się Barbara Konarska i wylicza przedsięwzięcia, którymi bieg obrósł. To już nie tylko piknik rodzinny, pokazy grup rekonstruktorskich czy degustacja grochówki, to także akcje, które mają realnie pomagać.

Od 24 lutego do 6 marca w 23 Regionalnych Stacjach Krwiodawstwa w ramach biegu, na hasło „Tropem wilczym", będzie można oddać krew w ogólnopolskiej zbiórce. Dodatkowo 1 marca w wybranych miejscach w miasteczkach biegowych zaparkują mobilne stacje poboru krwi. Krew zbierana jest kolejny raz i będzie już zawsze towarzyszyć temu biegowi.

– Krwiodawstwo to jest wspaniały gest wobec drugiego człowieka, danie czegoś z siebie. Wymierny efekt ofiary, dar, którego – należy to podkreślać – nie jesteśmy w stanie wyprodukować – mówi prof. Łukasz Szumowski, minister zdrowia, który na akcję patrzy z podziwem i wdzięcznością. Prosi, by uświadomić ludziom, że co dziesiąty pacjent w polskich szpitalach potrzebuje krwi, często jej brakuje, a w wakacje sytuacja zazwyczaj jest wręcz krytyczna. Dlatego oddanie krwi przy okazji biegu ma być zaszczepieniem tej idei, a nie gestem jednorazowym. Wiemy o osobach, które później, już bez okazji, także oddają ten cenny dar. O to chodzi!

– Sensem biegu jest to, że po nim zostaje ślad w postaci życiodajnego, czerwonego płynu, który jest owocem odpowiedzialnej i najpiękniejszej postawy tych, którzy rozumieją, że oddawana krew jest polisą na życie dla nas wszystkich. Oddajesz krew dla innych. Ale też dla siebie. Dawcy krwi są współczesnymi bohaterami. „Tropem wilczym" pomaga ratować zdrowie i życie – mówi z dumą Barbara Konarska.

– Pamiętać i szanować to znaczy rozumieć. Budowanie Polski i poświęcanie się dla innych to było ich przesłanie. Patriotyzm zawsze opierał się na tych wartościach. Aktualne wtedy, aktualne dzisiaj. „Tropem wilczym" opiera się właśnie na tym przesłaniu. Współczesny patriotyzm jest taki sam jak zawsze. Inne są tylko okoliczności – słyszymy od przedstawicieli Fundacji Wolność i Demokracja, w której narodził się pomysł biegu pamięci.

JAK O TYM UCZYĆ?

Nikt nie lubi gromadzić informacji, które nie są mu potrzebne i nie kodują się emocjonalnie. Nie szanujemy bohaterów, bo ktoś nam tak kazał. Szanujemy, bo nam ktoś imponuje. Jak sprawić, by historie Wyklętych trafiły do młodych serc, by je rozpaliły? Jak wytłumaczyć, że pomnik nie jest tylko urbanistyczną dekoracją, ale symbolem wielkiego czynu lub człowieka? Trzeba pozwolić dzieciom dotknąć tych historii.

Dzieje się to podczas udziału w konkursie „Sztafeta szkół", który organizowany jest także w ramach biegu „Tropem wilczym". Uczniowie mają się dowiedzieć, że nasze korzenie i nasza historia są związane z konkretnymi ludźmi. Jeśli uda się te emocje podzielić, wciągnąć kogoś we wspólne działania, wygramy. Uczniowie tworzą więc projekty, a te zwycięskie organizator biegu – Fundacja Wolność i Demokracja – finansuje. Są trzy kategorie. Pierwsza to dzielenie się historią dotyczącą swojego regionu. Tu młodzi ludzie odkrywają, że historie Niezłomnych to było życie ich dziadków, babć, sąsiadów. Mogą się dzielić informacjami z rówieśnikami, historia staje się dostępna poza podręcznikiem, tuż obok.

eprasa.pl e3907b2c07

Odkrycia są niezwykłe, oto okazuje się, że bohaterem mógł być ktoś nam bliski. Zachęcamy więc najpierw do rozmów w rodzinnym gronie, do przeglądania albumów ze zdjęciami, za którymi kryją się zapewne niezwykłe historie. Wszyscy ci, którzy pomagali Niezłomnym przetrwać, karmili ich, gościli, ukrywali – również są bohaterami. Bez nich nic by się nie udało. Słowo „wspólnota" staje się zrozumiałe.

Kolejna kategoria to czynna pamięć – tworzenie miejsc pamięci i dbanie o te, które już są. Sprawianie, że zapomniane groby – przestają być zapomniane. Trzecia grupa projektów to żywy konkret. Młodzież wyszukuje lokalnego bohatera walczącego o wolną Polskę, ocenia, jak można poprawić mu jakość życia i opisuje to. Rehabilitacja? Remont łazienki? Wycieczka?

Kiedy zwycięskie projekty z tej grupy będą realizowane – młodzi dostają kilka nieocenionych lekcji swojego miejsca w społeczeństwie. Że los innych jest też w moich rękach, że mogę skutecznie pomóc, że mam wpływ na to, co jest obok mnie. Uczą się też szacunku i troski o to pokolenie, które ma wielkiego ducha, ale już mniejsze siły. Kontakt ze świadkami historii prawie zawsze poprawia i pogłębia relacje młodych z własnymi dziadkami.

DYSTANS DLA KAŻDEGO

Ponad 360 miejsc w Polsce i za granicą, żołnierze na misjach, konsulaty, wspólnoty polonijne, wielkie miasta i małe wioski. Patrząc na mapkę na stronie tropemwilczym.org, można poczuć siłę biegu „Tropem wilczym". Jak wiele osób chce zorganizować zawody u siebie. Z roku na rok ta liczba rośnie, mechanizm jest zawsze taki sam. W tym roku musiałem pojechać do miejscowości obok, za rok zrobię to samo u siebie. I tak ta inicjatywa rośnie i rośnie.

Warto popatrzeć na rozwój tego projektu, na jego pierwszą edycję siedem lat temu, kiedy na starcie stanęło tylko kilkanaście osób, potem na drugą, która była już dużym warszawskim biegiem na półtora tysiąca biegaczy, na kolejną,





> Gdzie biegniemy „Tropem wilczym"? Na Kresach, Bałkanach, w Afganistanie, Nowej Zelandii, Australii, USA, Afryce. W sumie prawie 20 miejsc poza Polską

gdzie pobiegło 40 polskich miast, a potem na to, jak bieg przekraczał granice i kontynenty. Gdzie biegniemy „Tropem wilczym"? Na Kresach, Bałkanach, w Afganistanie, Nowej Zelandii, Australii, USA, Afryce. W sumie prawie 20 miejsc poza Polską.

I pobiec może naprawdę każdy. Obowiązkowy dystans wszędzie jest w tylko jeden – to 1963 metry. Związane jest to z symboliczną datą 21 października 1963 r., gdy w Majdanie Kozic Górnych na Lubelszczyźnie zginął z bronią w ręku Józef Franczak „Laluś", ostatni Żołnierz Wyklęty. – Jest mi niezmiernie miło i jestem ogromnie dumny, że ten bieg jest jemu poświęcony – mówi wzruszony Marek Franczak, syn Józefa. Ojca nie poznał, pamięta tylko, jak przez mgłę, że pewnego razu, gdy usypiał, do domu przyszedł tajemniczy mężczyzna i pogłaskał go po głowie. Po latach matka przyznała, że to był jego ojciec. Te niespełna dwa kilometry można pobiec symbolicznie, to dystans, który nie wymaga specjalnego przygotowania, zresztą nie jest tu ważny czas. Ale też w wielu miejscach



Fot. mat. prasowe archiwalne

eprasa.pl e3907b2c07



organizatorzy przygotowują trasy bardziej wymagające, gdy ktoś naprawdę chciałby się pościgać. Wtedy może się sprawdzić na 5 lub 10 km. Ale nawet na tych dystansach często spotyka się np. rodziców biegnących z dziećmi w wózkach. By i one poczuły atmosferę, nawet jeśli nie wszystko od razu zrozumieją, potem będzie okazja, by o bohaterach porozmawiać.

– Często słyszałam od rodziców, że dzieci bardzo to przeżywają. Dlatego teraz zachęcamy też do organizowania biegu dziecięcego na 196,3 m. Niech maluchy też dadzą coś z siebie, samodzielnie przeżyta historia bardziej zapada w pamięć – mówi rzecznik biegu.

Każdy człowiek, każdy naród, który ma swoje wzorce, będzie się nimi chwalił. O swojej historii mówią głośno ci, którzy nie muszą się jej wstydzić. My też chcemy, by było jasne, kim są nasi Bohaterowie. Dlatego w każdym pakiecie startowym znajdziecie państwo koszulki z wizerunkami Wyklętych. Co roku poznajemy kolejnych, tak wiele tych wspaniałych życiorysów jest wciąż nieodkrytych. Z roku na rok bieg „Tropem wilczym" sprawia, że wiemy o nich coraz więcej. Meta osiągnięta 1 marca 2020 r. wcale nie będzie oznaczała końca, tym samym zaczniemy przygotowania do kolejnej edycji. Będziecie z nami?

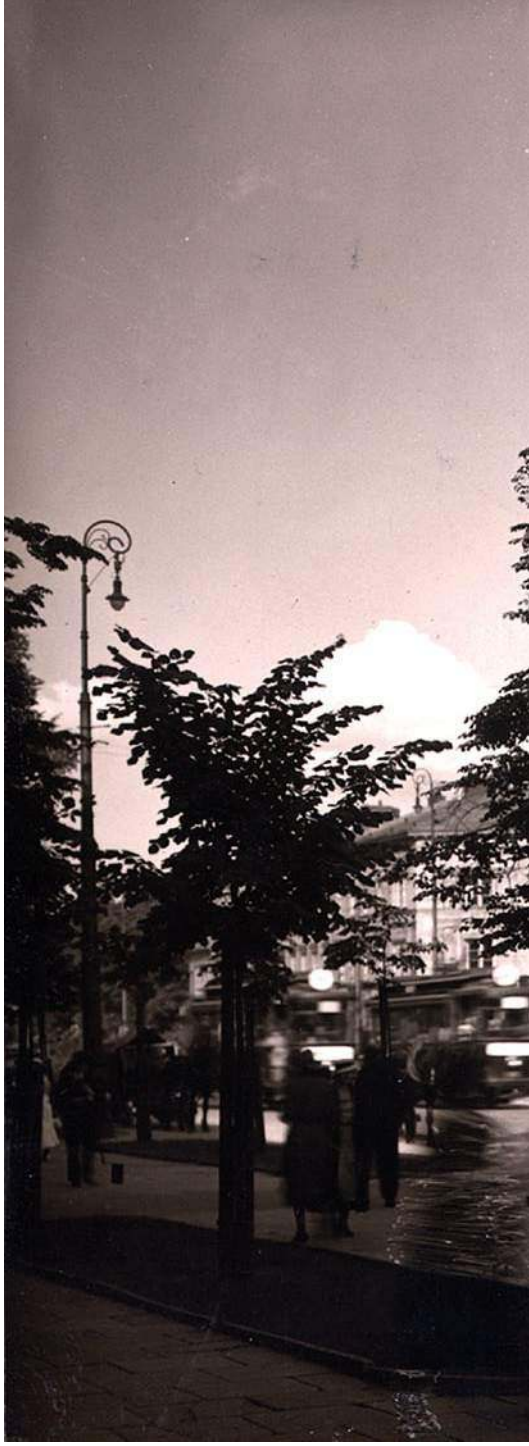


Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 13/0120/F

eprasa.pl e3907b2c07

Bank, który dba o Polskę

BGK to bank niezwykły, tak jak niezwykła jest historia Polski. Przez 95 lat pracownicy BGK uczestniczyli w odbudowie kraju, jego modernizacji, w gospodarczej transformacji i praktycznie wszystkich kluczowych inwestycjach



Po burzliwych pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości uspokojenie przynosi wprowadzenie w 1924 r. narodowej waluty – złotego. Nowa waluta stabilizuje gospodarkę, a co za tym idzie – codzienne życie. Nie trzeba już dwa razy dziennie odbierać pensji. Rozwija się drobna przedsiębiorczość, liczba zakładów rzemieślniczych rośnie w rok o ponad 10 proc.

Dalszy rozwój potrzebuje jednak kapitału. W 1924 r. jako element reform, które mają przynieść społeczeństwu stabilizację i pobudzić rozwój kraju, powołany zostaje nowy bank – Bank Gospodarstwa Krajowego. Jego celem jest finansowanie inwestycji gospodarczych i modernizacji kraju.

Na pierwszym posiedzeniu rady nadzorczej BGK prezes Jan Kanty Steczkowski tłumaczy, że nowy bank „jest uzupełnieniem organizacji kredytowej, a powstał z wyczucia potrzeby stworzenia instytucji, która udzielałaby długoterminowego kredytu i ożywiła nasze życie gospodarcze". Kilka lat później drugi prezes BGK gen. dr Roman Górecki dodał: „... głównym naszym celem są kredyty społeczne", które niosą „pomoc kredytową dla szerokich warstw społeczeństw".

BGK to w latach 20. i 30. kluczowy wehikuł finansowy realizujący rządowe programy społeczno-gospodarcze. Zarządza funduszami celowymi, prowadzi obsługę finansową sektora publicznego. Już w 1925 r. zaczyna tworzyć Koncern BGK, uzdrawiając kolejne przedsiębiorstwa strategiczne dla gospodarki i obronności. Ale także strategiczne ze względów politycznych – przede wszystkim w Wolnym Mieście Gdańsku. Inwestycje takie jak port morski w Gdyni, Zakłady Mechaniczne „Ursus" czy Zakłady Azotowe w Tarnowie są sławne na całą Polskę.

Bank finansuje projekty społeczne, przede wszystkim tanie budownictwo dla robotników. Zaczyna się w 1935 r. od wystawy na warszawskim Kole, która w pionierski sposób ukazywała różne typy zabudowy: 20 jednorodzinnych domów robotniczych, sześć bliźniaków i dwa szeregowce. „Wystawa Budowlano-Mieszkaniowa Banku Gospodarstwa Krajowego w Warszawie na Kole, będąca pierwszą większą tego rodzaju imprezą w Polsce [...] w przekonaniu

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 50/0220

eprasa.pl e3907b2c07



mojem powinna spełnić swój cel zasadniczy, jakim jest danie impulsu do podnoszenia poziomu technicznego, kulturalnego i estetycznego nowych osiedli podmiejskich, a w osiedlach tych – domów i mieszkań" – czytamy w „Katalogu Wystawy Budowlano-Mieszkaniowej Banku Gospodarstwa Krajowego".

Ostatni rozdział przedwojennej historii BGK to historia bohaterska. Pracownicy banku ratują przed wojenną zawieruchą najcenniejsze zabytki polskiego i światowego dziedzictwa kulturowego. 6 września na Dworcu Wschodnim czeka na nie specjalny pociąg. Wypełniony jest 300 skrzyniami, w których ukryto depozyty Biblioteki Narodowej i Biblioteki Seminarium Duchownego w Pelplinie, takie jak egzemplarz Biblii Gutenberga, Psałterz floriański, Kazania świętokrzyskie, XIV-wieczna kopia kroniki Wincentego Kadłubka czy rękopisy partytur Chopina. Wszystkie skarby przetrwały wojnę i wróciły do Polski.

Od 95 lat misją Banku Gospodarstwa Krajowego jest wspieranie rozwoju społeczno-gospodarczego Polski. Ten jedyny w Polsce bank rozwoju finansuje rewitalizacje miejsc kultowych i takich, które mają potencjał, by takimi się stać. BGK wspiera wprowadzanie ekologicznych rozwiązań w zakładach produkcyjnych, pomaga samorządom modernizować miejskie autobusy, koleje i tramwaje. Wspiera rozwój rodzinnych biznesów, nie zapominając równocześnie o podmiotach ekonomii społecznej. Jest obecny w całej Polsce poprawiając jakość życia mieszkańców we wszystkich regionach kraju.

Reklama | 53/0220/F, 52/0220/F

eprasa.pl e3907b2c07

KGHM
POLSKA MIEDŹ

KGHM Złotym Mecenasem VIII edycji Biegu

TROPEMWILCZYM
BIEG PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH

VIII EDYCJA
1 MARCA 2020



GŁOGÓW
Fosa miejska w Głogowie
Start biegu godz. 9:20

POLKOWICE
Polankowe Centrum Piknikowe,
ul. Modrzewiowa
Start biegu godz. 12:00

WARSZAWA
Fort Bema
Start biegu godz. 10:00

LUBIN
ZOO Lubin, Centrum Edukacji Przyrodniczej
Start biegu godz. 10:40

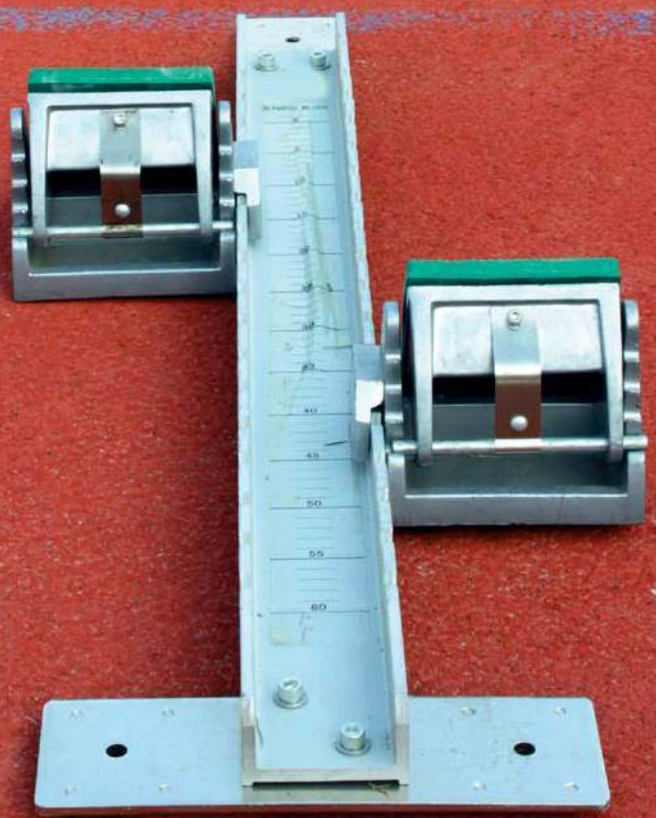
LEGNICA
Park miejski, al. Orła Białego
Start biegu godz. 12:00

www.tropemwilczym.org

eprasa.pl e3907b2c07

LOTTO

Gramy dla sportu



Każda złotówka, którą przeznaczasz na gry liczbowe LOTTO, to 19 groszy dla sportu i kultury.

eprasa.pl e3907b2007

Niezłomne charaktery kształtują się w sporcie

Było ich nawet kilkadziesiąt tysięcy. Nie brakowało wśród nich humanistów, inżynierów, byli także sportowcy. Mowa o Żołnierzach Niezłomnych. Często młodzi, zdolni, utalentowani musieli porzucić swoją pasję, zdusić miłość do sportu. Najpierw wojenna zawierucha, a później walka z komunistycznym reżimem łamała im kariery. W zamian, mimo tragicznych wydarzeń, dawała często jednak dużo więcej – gruntowała niezłomność, hart ducha, odwagę i wolę walki. Mimo upływu lat te wartości w sporcie wciąż pozostają takie same



Tylko podczas II wojny światowej życie straciło ponad 60 polskich olimpijczyków. Ponad 120 sportowców zginęło w powstaniu warszawskim. To nazwiska i osiągnięcia, o których historia nie zapomina.

Lekkoatleta Janusz Kusociński był bez wątpienia dumą polskiego sportu. Złoty medalista olimpijski, srebrny medalista na mistrzostwach Europy. Kiedy wybuchła wojna, walka o ojczyznę była dla niego najwyższym celem. Podczas kampanii wrześniowej służył w 360 Pułku Piechoty. Został rozstrzelany w 1940 r. w Palmirach pod Warszawą. Razem z nim życie stracił kolarz, wicemistrz olimpijski igrzysk w Paryżu w 1924 r. Tomasz Stankiewicz, a także lekkoatleta Feliks Żuber, który reprezentował Polskę na igrzyskach w Amsterdamie w 1928 r.

Ci, którzy przeżyli, doświadczyli wielu traumatycznych przeżyć. Pięściarz Tadeusz Pietrzykowski „Teddy" stanął pierwszy raz na ringu jako gimnazjalista. Kiedy jego kariera nabierała tempa – zdobył wicemistrzostwo Polski i mistrzostwo Warszawy w wadze koguciej – wojna zatrzymała wszystko. Jako podchorąży walczył w obronie Warszawy. Trafił do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, gdzie zasłynął z walk bokserskich – bił się jednak już nie o tytuły, a o dodatkową porcję żywności. Przeżył, został deportowany, a później wstąpił do 1 Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka. Tam szkolił swoich kolegów żołnierzy.

Zbigniew Matysiak „Kowboj", m.in. któremu jest poświęcony tegoroczny Bieg Pamięci Żołnierzy Wyklętych „Tropem Wilczym", w czasie okupacji należał do tajnej sekcji bokserskiej. Podczas wojny walczył z okupantem, a po jej zakończeniu z komunistycznym reżimem. Ponad wszystko kochał sport. Uprawiał nie tylko boks, ale także kolarstwo i narciarstwo. Jego konik to także rajdy motocyklowe. W 1944 r. wstąpił do Armii Krajowej. Przez lata ani wojska, ani sportu nie porzucił.



Fot. AP Photo/Darron Cummings, Łukasz Szelag/REPORTER x2

WARTOŚCI WCIĄŻ NIEZMIENNE

Wypadki wojenne zmieniły bieg historii, także historii sportu. Igrzyska olimpijskie w 1936 r. na długo pozostały w pamięci biorących w nich udział sportowców. Kolejne – letnie i zimowe igrzyska olimpijskie w 1940 r., a także te w 1944 r. zostały odwołane. Kolejne odbyły się dopiero w 1948 r., kiedy zaczął opadać już pył tragicznych wojennych wydarzeń. Od tego czasu odbywają się regularnie co cztery lata. Kolejne już w lipcu w Tokio. Choć wiele od wojny się zmieniło, kanon olimpijskich, sportowych wartości pozostaje wciąż taki sam. To upór w dążeniu do celu, wytrwałość, ciężka praca i konsekwencja. To także profesjonalizm oraz gra fair play.

Wartości w sporcie są uniwersalne, nie zmieniają się wraz z upływem lat, te same pozostają też cechy kształtujące sportowy charakter Na szczęście żyjemy w czasach, w których sportowcy nie muszą korzystać z nich w tragicznych okolicznościach.

Grupa Energa regularnie wspiera polski sport. Mowa tu nie tylko o sporcie drużynowym, ale także indywidualnym. Przed zawodnikami igrzyska olimpijskie w Tokio. Przygotowują się do nich młociarka Joanna Fiodorow, a także kajakarka Marta Walczykiewicz. O tytuły w Tokio zawalczy też Paulina Guba – lekkoatletka pchająca kulą.

Kwalifikacje do igrzysk także przed zawodniczką karate Dorotą Banaszczyk, o awans zawalczy również zapaśnik Gework Sahakian. Wszyscy to ambasadorzy sportu Grupy Energa, którzy niosą w świat przykład polskiego hartu ducha.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 43/0220/F
Reklama | 51/0220/F

eprasa.pl e3907b2c07

MATERIAŁ
MARKETINGOWY



PZU to nie tylko ubezpieczenia.
To przede wszystkim ludzie,
na których możesz liczyć.

PZU. Możesz na nas polegać.

eprasa.pl e3907b2c07

Chłodny powiew od Wschodu

Czy to, co się wydarzyło na Wschodzie, to tylko zbiór przypadkowo skorelowanych zdarzeń, czy raczej przejaw jakiejś ostrzejszej fazy, w jaką wkroczyła strategia polityczna prezydenta Władimira Putina?



JAN ROKITA

Za przynależność do organizacji Sieć zapadają wyroki od sześciu nawet do 18 lat więzienia, przyznanie się oskarżonych do winy wymuszane zaś jest torturami. W tym samym czasie Kreml świadomie wyhamowuje ofensywę gestów ze strony prezydenta Zełenskiego, lodowato żądając, aby ten zmienił wedle rosyjskich wskazówek konstytucję swego kraju i rozpoczął polityczne negocjacje z rebeliantami w Donbasie. Te żądania wspierane są nagłym i gwałtownym ostrzałem z moździerzy pozycji wojsk ukraińskich pod Donieckiem. Dwa dni wcześniej tak musiano na Kremlu dopiec baćce Łukaszence, że ten po powrocie do Mińska poczuł się zobligowany oświadczyć, iż w Moskwie naprawdę domagano się odeń rezygnacji z niepodległości Białorusi, ale on nie zamierza już nigdy więcej „padać na kolana przed Putinem".

Do kompletu tych doniesień z kilku ostatnich dni dodać można jeszcze ciekawy sygnał co do relacji Rosji z Polską. Moskwa właśnie bowiem oznajmiła, że: „nigdy od końca II wojny światowej nie były one tak złe jak dzisiaj", a w kwestii debat historycznych „to po prostu nie ma już żadnej wspólnej płaszczyzny".

Aż się prosi, aby zatem postawić pytanie: czy to wszystko to zbiór przypadkowo skorelowanych zdarzeń na Wschodzie, czy raczej jednak przejaw jakiejś ostrzejszej fazy, w jaką wkroczyła strategia polityczna prezydenta Władimira Putina?

FSB ŁAPIE „TERRORYSTÓW"

Sprawa procesu Sieci nie jest do końca jasna, gdyż do domeny publicznej przenika tylko niewielka część informacji na jego temat. Wyrok zapadł przed sądem wojskowym w Penzie nad Surą, oskarżeni zaś to grupa młodych ludzi zafascynowanych punk rockiem i jakąś odmianą lewicowego anarchizmu, w mieszkaniach których rosyjska FSB miała w czasie rewizji znaleźć narkotyki oraz pistolet PM.

Podczas procesu oskarżeni zeznali, iż trenowali tzw. szkołę przetrwania oraz paintball. Jednak służba bezpieczeństwa i wojskowy trybunał uznały ich za terrorystów, planujących przy okazji wyborów prezydenckich 2018 r. ataki, których celem miałoby być obalenie władzy Putina. Uznany za przywódcę grupy 27-letni Dmitrij Pczelińcew, którego skazano teraz na 18 lat „kolonii karnej o zaostrzonym rygorze" (czyli de facto obozu koncentracyjnego), zeznał w sądzie, iż był w śledztwie bity i torturowany prądem. Z niezależnych relacji można wnosić, iż dość prawdopodobne jest, iż cały koncept organizacji terrorystycznej o nazwie Sieć jest wymysłem prowokatorów i śledczych FSB. Radio Swoboda twierdzi, iż w obliczu rozbieżności z ustaleniami FSB rosyjski Komitet Śledczy nie zdecydował się na wniesienie oskarżenia, Memoriał uznał zaś skazanych za więźniów politycznych.

DOCISKANIE ZEŁENSKIEGO I ŁUKASZENKI

O wiele bardziej czytelny jest nagły wzrost rosyjskiej presji na Ukrainę i Białoruś. Po licznych konfliktach personalnych w najbliższym otoczeniu prezydent Zełenski powołał nowego szefa swojej administracji Andrija Jermaka, który niedawno skutecznie negocjował częściową wymianę jeńców pomiędzy Rosją i Ukrainą. Teraz zaś zaczął swoje urzędowanie od pojednawczych deklaracji na temat możliwej zgody Kijowa na postulowane przez Kreml wybory lokalne w zajętych przez rebeliantów obwodach donieckim i ługańskim. Sam Zełenski otwarcie wystąpił z kolei z planem dokończenia pełnej wymiany jeńców po obu stronach, z uporem powtarzając przy tym, iż (tak jak zobowiązał się w kampanii wyborczej) będzie z dobrą wolą dążyć do porozumienia z Putinem i do zakończenia wojny.

Jednak cała ta ofensywa gestów i uśmiechów ze strony Kijowa napotyka w Moskwie na lodowatą obojętność. W ostatnich dniach Kreml oraz rosyjski MSZ sformułowały wobec Zełenskiego dwa postulaty: zmiany ukraińskiej konstytucji dla stworzenia autonomicznego statusu Doniecka i Ługańska oraz nawiązania bezpośrednich negocjacji z rebeliantami (bo to przecież ukraińska wojna domowa). Co do reszty ukraińskich projektów pokojowych Moskwa zachowuje milczenie, grożąc tylko, iż ma dość Zełenskiego i skłonna jest odwołać kolejny szczyt z udziałem Merkel i Macrona, który został zapowiedziany na kwiecień.

Co zaskakujące, najostrzej postępuje ostatnio rosyjska presja na Białoruś. Kolejna już lutowa wizyta Aleksandra Łukaszenki na Kremlu przyniosła faktyczne załamanie relacji, jeśli oceniać ową wizytę nie z punktu widzenia samego przebiegu (wspólny mecz hokejowy prezydentów i dyskusje na temat smaku owsianki na wodzie), ale politycznych skutków. Niezwłocznie po wyjeździe Łukaszenki rosyjski rząd ogłosił odmowę rozłożenia spłat 10 mld dol.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl e3907b2c07



eprasa.pl e3907b2107

kredytu, udzielonego niegdyś na budowę elektrowni atomowej położonej w Ostrowcu, 50 km za rogatkami Wilna. Łukaszenka w odpowiedzi wygłosił w ostatnich dniach kilka wystąpień, z których każde następne było bardziej zdumiewające od poprzedniego.

Najpierw zatem oskarżył rosyjskie media o kłamstwa na temat Białorusi, zapowiadając niezwłoczne powołanie własnej telewizji informacyjnej, „takiej jak BBC albo Euronews". Wkrótce potem w niesłychanie emocjonalnej mowie (jej fragment można obejrzeć na YouTube) zapowiedział, że będzie kupować nawet droższe od rosyjskich ropę i gaz w świecie po to tylko, aby (jak sam relacjonował wyraźnie zdumionym słuchaczom swój dialog z Putinem): „każdego 31 grudnia o godzinie 12 w nocy nie musieć padać przed tobą na kolana". („Sasza, my druzja, pieried kiem stojat na kolienach...? – miał oponować Putin. – Ja staju pieried toboj!" – miał mu przerwać zdesperowany baćka). Wreszcie w kolejnym wystąpieniu przyznawał wprost, iż w Moskwie zażądano od niego „przyłączenia Białorusi do Rosji".

Gdy idzie o Ukrainę, to zaostrzenie rosyjskiej taktyki jest przez analityków łączone z istotną zmianą personalną, jaka w ostatnich dniach nastąpiła w najbliższym otoczeniu Putina. Z administracji odszedł Władisław Surkow, ideolog, piarowiec, poeta i kompozytor, a zarazem twórca nieudanego projektu Noworosji, który miał rozbić państwowość ukraińską, oraz patron donbaskich rebeliantów. Przy prezydencie zastąpił go Dmitrij Kozak – czekista i prokurator z czasów sowieckich, bardzo bliski człowiek Putina, który nie tak dawno zasłynął tym, iż potrafił wciągnąć nierozumiejącą sytuacji Unię Europejską i rząd USA we wspólny plan obalenia prozachodniej i proukraińskiej oligarchii Płachotniuka w Mołdawii i tym sposobem zyskać bez wojny pełne polityczne poddanie tego państwa kontroli Moskwy. Całkiem możliwe, że Kozak ma teraz podobny cel osiągnąć na Ukrainie, co oczywiście musi się okazać o wiele trudniejsze. Kozak otrzymał od prezydenta specjalne plenipotencje co do Ukrainy. I znając z grubsza metodę jego postępowania, można założyć, iż skoncentruje się na próbach izolacji Kijowa i zniechęcania Zachodu do obrony interesów Ukrainy. Jeśli ta hipoteza jest prawdziwa, to Zełenskiego czeka w najbliższym czasie całe pasmo politycznych niepowodzeń, wynikających z ignorowania w Moskwie jego nerwowych starań o negocjacje i pokój.

Coraz częściej słychać natomiast ostrzeżenia, iż baćka Łukaszenka posuwa się za daleko, a Kreml może spróbować załatwić kwestię Białorusi z ograniczonym użyciem siły. Tak twierdzą otwarcie niektórzy rosyjscy analitycy opozycyjni wobec Putina (np. Andriej Piontkowskij, znany w Polsce choćby z krytyki polityki wschodniej premiera Tuska), a ostatnio przestrzega przed taką perspektywą również dyplomacja ukraińska. Bezsporne jest to, że obalenie reżimu Łukaszenki, który nie ma zamiaru zapłacić rezygnacją z białoruskiej państwowości za tańszą ropę, gaz i uprzywilejowane warunki wzajemnego handlu, powinno stać się dla Kremla celem priorytetowym. Przynajmniej jeśli rosyjski prezydent istotnie zamierza de facto zjednoczyć oba kraje przed końcem swojej czwartej kadencji, czyli rokiem 2024. Po wprowadzeniu niekorzystnych dla Białorusi reguł handlowych, wyższych cen za surowce oraz blokadzie pomocy finansowej, Moskwa zbliża się do szklanego sufitu, gdy idzie o wywieranie presji ekonomicznej. Całkowita blokada gospodarcza Białorusi mogłaby okazać się politycznie dla Rosji zabójcza, gdyż zmusiłaby Łukaszenkę do rozpaczliwego szukania wszelkiej pomocy na Zachodzie, zwłaszcza w Ameryce. Niewykluczone, że dla rosyjskich służb mniej ryzykownym zadaniem mogłoby być przeprowadzenie puczu w Mińsku. Czy tak właśnie widzą dziś kwestię białoruską stratedzy na Kremlu i na Łubiance? Na to pytanie nie ma oczywiście jednoznacznej odpowiedzi.

> Moskwa szuka pretekstu, by ogłosić „bezsensowność" jakichkolwiek kontaktów z Polską. Co nie bez znaczenia, dzieje się to tuż przed 80-leciem Katynia i 10-leciem Smoleńska

MOSKWA SZUKA PRETEKSTU

W kontekście całościowego zaostrzenia stosunków politycznych na Wschodzie łatwiej zrozumieć zarówno sens nie całkiem jasnych (gdy idzie o ich czas i przyczyny) ataków propagandowych prezydenta Rosji kierowanych w grudniu pod adresem Polski, jak i najświeższych deklaracji ambasadora Siergieja Andriejewa, który (zapewne na wyraźny sygnał z centrali MSZ) ogłosił w rozmowie na znanym portalu informacyjnym RBK, że relacje polsko-rosyjskie są na dnie, najgłębszym od końca II wojny światowej. Dość nieoczekiwanie Andriejew nagle przypomniał sobie, iż w Polsce usuwane są pomniki Armii Czerwonej, i to właśnie – jego zdaniem – zlikwidowało jakąkolwiek płaszczyznę dalszych debat polsko-rosyjskich i wzajemnych wyjaśnień dotyczących historii. Tyle że tzw. pomniki wdzięczności są przecież stopniowo likwidowane w Polsce (ale także np. w Czechach) od przeszło dwóch dekad, trudno zatem uznać, iż to właśnie naprawdę zdestruowałoby politykę polsko-rosyjską akurat w ostatnim czasie.

Wyraźnie Moskwa szuka pretekstu, dobrze zrozumiałego przy tym dla rosyjskiej opinii, aby ogłosić „bezsensowność" (tak mówi ambasador) jakichkolwiek dalszych kontaktów politycznych z Polską. Co nie bez znaczenia, dzieje się to tuż przed 80-leciem Katynia i 10-leciem Smoleńska, co oznacza przecież oczywiste dla Kremla zamiary polskiego prezydenta i premiera bardzo rychłych odwiedzin w Rosji. Ten powiew chłodu jest z pewnością obliczony na zwiększenie trudności przy przeprowadzeniu obchodów. Ale przede wszystkim jest odbiciem znacznie mroźniejszej fali, jaka właśnie wieje z Moskwy w stronę Kijowa i Mińska.

eprasa.pl e3907b2c07



Boris kontra BBC

Boris Johnson rozważa dekryminalizację obowiązku płacenia abonamentu radiowo-telewizyjnego stanowiącego trzy czwarte budżetu publicznego nadawcy BBC. Jest to kolejna z licznych odsłon wojny, którą brytyjski premier toczy z – jego zdaniem – stronniczymi i wrogo do niego nastawionymi mediami



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Boris Johnson, z czym zgadzają się zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy brytyjskiego premiera, ma niezwykłą zdolność do politycznego przetrwania – mimo wpadek i niedotrzymanych obietnic. Lub, jak to ujął były premier David Cameron, do podważania zasad grawitacji. Czy ziemia się zatrzęsie, gdy zmieni zasady gry z BBC?

WZAJEMNE OSKARŻENIA

Johnson, zanim rozpoczął swoją karierę polityczną, wchodząc w wieku 37 lat w 2001 r. do Izby Gmin, był dziennikarzem. Najpierw w „The Times", potem w „The Daily Telegraph", który wysłał go jako korespondenta do Brukseli, by na końcu zostać redaktorem naczelnym konserwatywnego pisma „The Spectator". Może dlatego, że zna media od wewnątrz, nie darzy ich zbyt wielkim zaufaniem. Tym bardziej że w Wielkiej Brytanii, podobnie zresztą jak na całym Zachodzie, media wykazują wyraźny przechył w lewo. A te lewicowo-liberalne prowadziły ostrą kampanię przeciwko brexitowi, opartą na dwóch głównych filarach: elitystycznym, czyli domniemanej głupoty i niewiedzy tych, którzy za nim głosowali w referendum z 2016 r., oraz antytorysowym, czyli domniemanej niekompetencji oraz „szaleństwie" konserwatystów. Do tych „szaleńców" zaliczyły Johnsona, a nawet mianowały go ich królem.

Główni brytyjscy publiczni nadawcy – BBC, ITV oraz Channel 4 – otwarcie lobbowali za „remain", czyli pozostaniem Londynu w Unii Europejskiej. W sierpniu 2019 r. Dorothy Byrne, szefowa „Wiadomości" Channel 4, nazwała Johnsona kłamcą i porównała jego strategię medialną wokół brexitu do propagandy Władimira Putina. „The Daily Mirror" uznał, że wybór Johnsona na premiera „jest żałosny", a szkocki „The Sun" stwierdził, „że to pójście w kierunku szaleństwa, a nawet krok dalej". Natomiast „The Guardian"

Fot. Claudio Divizia/Shutterstock

eprasa.pl e3907b2c07

określił przejęcie przez Johnsona najwyższego urzędu w państwie „katastrofą", a dziennik „Metro" radził czytelnikom, by „nie panikowali, choć mają ku temu powody".

Johnson od początku był równie wrogi wobec mediów, jak one wobec niego. Przed wyborami 12 grudnia 2019 r. odmówił udzielenia wywiadu Andrew Neilowi z BBC, którego przedwyborcze rozmowy z kandydatami na premiera stały się pewną tradycją w brytyjskiej telewizji. Podobny los spotkał Julie Etchingham z ITV News. Pytany o to, dlaczego łamie ustalone od dawna zasady gry między światem polityki a mediami, Johnson wskazał na – jego zdaniem – liczne przypadki, gdy to media te zasady łamały. W 2018 r. Michael Gove, wówczas minister środowiska w drugim gabinecie Theresy May, udał się do studia Channel 4, by reprezentować stanowisko Partii Konserwatywnej w debacie nad zmianami klimatycznymi, i został odesłany z kwitkiem. Zamiast niego w studiu postawiono dwa posągi z lodu, które powoli topniały. Przekaz był nader czytelny. Tego typu manipulacje – argumentują Johnson i jego otoczenie – stały się powszechne w mediach publicznych, które zamiast być bezstronne, przedstawiają tylko jeden – lewicowo-liberalny – punkt widzenia, z którym rzesze Brytyjczyków, w tym ci, którzy głosowali za brexitem, się nie identyfikują. A to oni finansują te media, płacąc abonament.

Już w 2015 r. pojawiły się plany prywatyzacji Channel 4, ale zostały porzucone w toku brexitu. Niewykluczone – pisze „The Guardian" – że teraz wrócą na tapetę. Johnson bowiem nie kryje, że chce odpłacić nadawcom pięknym za nadobne. W 2012 r., po tym jak został po raz drugi burmistrzem Londynu, napisał, że „czasami się czuje, jakby jego głównym wrogiem było BBC, które jest etatystyczne, korporacyjne, wrogo nastawione do biznesu, eurofilskie, a przede wszystkim posiadające wyraźny przechył w lewo". Odmawiając wywiadu z Andrew Neilem – skarżą się lewicowi publicyści – chciał delegitymizować BBC. Ministrowie otrzymali m.in. zakaz chodzenia na lunche z dziennikarzami. Nie mogą także przyjmować zaproszeń do programu „Today" w radiu BBC 4 ani w programie ITV „Good Morning Britain". Dziennikarze „The Daily Mirror" nie mogli także podróżować w autobusie z premierem podczas jego kampanii wyborczej, bo ich relacje zdaniem torysów „nie były wyważone".

JAK OMINĄĆ MAINSTREAMOWE MEDIA

Ma to być część szerszego planu, wymyślonego przez głównego doradcę Johnsona, Dominica Cummingsa, by ominąć mainstreamowe media i kierować przekaz bezpośrednio do wyborców – za pomocą mediów społecznościowych. „Znaczenie tradycyjnych mediów tym samym zmaleje, a dziennikarze wyjdą na źle poinformowanych i nieistotnych" – obawia się „The Guardian".

> O stronniczości BBC przekonany jest nie tylko brytyjski premier, lecz także wielu odbiorców tego nadawcy

Johnson zatrudnił w roli doradców całą armię specjalistów z dziedziny produkcji filmowej i fotografii, co wywołało spekulacje, że zamierza stworzyć swoją platformę medialną, poprzez którą będzie się komunikował z Brytyjczykami. Uruchomił już sesje wideo, podczas których odpowiada na pytania obywateli, a Cummings przekonywał torysów, by zamiast chodzić do radia czy telewizji, rozmawiali z obywatelami „twarzą w twarz" lub „poprzez Facebooka i Twittera".

3 lutego doszło do poważnego spięcia między politycznymi dziennikarzami, zwanymi nad Tamizą „lobby", a ekipą Johnsona. Najpierw premier przeniósł miejsce briefingów prasowych z sali w parlamencie w pałacu Westminster do budynku obok jego biura na Downing Street, co już wywołało duże niezadowolenie przedstawicieli mediów, bo parlament był „miejscem neutralnym". Następnie, gdy części dziennikarzy odmówiono w nim udziału (dotyczył negocjacji umowy handlowej z UE), wybuchła awantura i wszyscy oni solidarnie opuścili salę. Opozycyjni laburzyści oskarżyli Johnsona o to, że „stosuje tę samą taktykę co Donald Trump, by uniemożliwić krytyczną ocenę jego rządów". Downing Street odpiera zarzuty. Doradcy premiera twierdzili, że briefingi były dwa, pierwszy dla wszystkich, drugi dla grupy wybranych dziennikarzy. Mogli w nim uczestniczyć tylko ci, którzy otrzymali oficjalne zaproszenie. A ich wybór nie był podyktowany względami politycznymi, tylko tym, że specjalizują się w tematyce brexitu. Niemniej jednak na Johnsona posypały się gromy. Tracy Brabin, sekretarz stanu w gabinecie cieni laburzystów ds. kultury i mediów, nazwała incydent „próbą złamania zasady wolnego dostępu do informacji". A Pete Wishart ze Szkockiej Partii Narodowej (SNP) określił go mianem „czarnego dnia dla demokracji".

„Tu chodzi o coś więcej niż briefingi prasowe. Rząd chce przejąć kontrolę nad debatą publiczną w Wielkiej Brytanii. Ukierunkować na nowo narrację" – twierdzi w rozmowie z amerykańskim dziennikiem „New York Times" medioznawca Meera Selva z uniwersytetu w Oksfordzie. Według niej doradcy Johnsona uważają, że rozmowy z dziennikarzami z przeciwnej strony politycznej barykady – oficjalne czy nieformalne – nie mają żadnego sensu, bo i tak niczego nie zmienią. Gdy podziały są tak mocno zarysowane, szans na przekonanie kogokolwiek zwyczajnie nie ma.

BEZ ABONAMENTU

Najbardziej nowej strategii medialnej Johnsona obawia się jednak BBC. Ustanowiona w 1922 r. British Broadcasting Corporation (BBC) to najstarszy publiczny nadawca oraz jedna z największych firm medialnych na świecie. Zatrudnia ponad 22 tys. osób (35 tys., gdy doliczy się współpracowników),

Reklama | 56/0120/F

eprasa.pl e3907b2c07

posiada blisko sto kanałów telewizyjnych i radiowych. Długo uchodziła za symbol bezstronnego dziennikarstwa. Te czasy jednak – jak twierdzą brytyjscy konserwatyści – dawno minęły. Zarzucają nadawcy wyraźny przechył w lewo, a sam Johnson oskarża BBC o to, że prowadziła kampanię przeciwko niemu i brexitowi.

Brytyjski premier twierdzi, że wygrał wybory 12 grudnia, uzyskując potrzebną większość „mimo wrogości BBC". Po wyborach torysi zapowiedzieli przycięcie finansów publicznego nadawcy. „Należy zadać sobie pytanie, czy dalsze finansowanie BBC z abonamentu ma sens, gdy inni nadawcy znaleźli na to inne sposoby. Dlaczego każdy, kto ma telewizor, miałby płacić abonament za określony zestaw kanałów, których może wcale nie ogląda? – argumentował Johnson w grudniu ub.r.

Obecnie każdy Brytyjczyk musi rocznie płacić abonament w wysokości ponad 150 funtów. Opłaty te służą finansowaniu działalności BBC i rocznie przynoszą nadawcy ok. 3,6 mld funtów, czyli trzy czwarte jego budżetu. Likwidacja abonamentu pozbawiłaby go więc większości dochodów. Reforma miałaby polegać na dekryminalizacji obowiązku płacenia abonamentu. Obecnie Brytyjczyk, który się od tego uchyla, może zapłacić około tysiąca funtów kary. Jeśli kara zostanie zniesiona i płacenie abonamentu stanie się dobrowolne, BBC stanie przed nie lada wyzwaniem. Ale o stronniczości nadawcy przekonany jest nie tylko premier, lecz także wielu widzów. Zmiana zasad finansowania BBC mogłaby się rozpocząć w 2022 r. i wejść w życie w 2027 r. Do tej daty istnienie abonamentu gwarantuje królewski dekret.

Na zmianę zasad finansowania publicznego nadawcy musiałby wyrazić oczywiście zgodę parlament, ale torysi mają w nim obecnie wygodną większość. W toku debaty nad przyszłością BBC dyrektor generalny nadawcy Tony Hall złożył swoją rezygnację, po siedmiu latach pracy na tym stanowisku. Ma go zastąpić kobieta, by załagodzić toczący się od lat spór o różnice w płacach między pracownikami płci żeńskiej i męskiej. To zresztą niejedyny problem BBC: kolejny dotyczy widzów powyżej 75. roku życia, którzy obecnie nie płacą abonamentu, ale według kierownictwa nadawcy powinni. Konserwatywna prasa już rozpętała kampanię przeciwko „obciążaniu finansowemu seniorów".

Ale to nie koniec problemów. Różnej maści eksperci zastanawiają się, czy w dobie YouTube'a i Netflixa abonament RTV ma w ogóle sens. To zresztą jeden z koronnych argumentów torysów: w czasach telewizji à la carte nie należy zmuszać ludzi do płacenia za radio i telewizję, które nie oferują im tego, co ich interesuje, a bawią się w agitację i propagandę. W konsekwencji przemówienie Johnsona w dniu brexitu zostało nagrane przez jego własną ekipę filmową zamiast przez ekipę jednego z kanałów publicznych, jak stanowiła dotąd tradycja. Jak pisze brytyjski brukowiec „Daily Mail", BBC oraz pozostałych publicznych nadawców czekają „trudne czasy".

REKLAMA

Dobrze poukładane

STEFCZYK FINANSE

FINANSE

Sprawdź, ile możliwości czeka na Ciebie w placówce

- rachunki płatnicze
- opłaty domowe
- fundusze inwestycyjne
- lokaty
- doładowania energetyczne
- przelewy zagraniczne
- ubezpieczenia
- pożyczki

Lista placówek dostępna pod adresem:
www.kasastefczyka.pl/placowki-i-bankomaty

Usługi dostępne w STEFCZYK FINANSE dzięki współpracy z:
KASA STEFCZYKA, WesternUnion WU, SALTUS UBEZPIECZENIA, moje rachunki, paysafecard pay cash. pay s

eprasa.pl e3907b2c07

Atak LGBT na konstytucję



To był prawdziwy grom z jasnego nieba. Trybunał Konstytucyjny Republiki Chorwacji otworzył drzwi domów dziecka dla par jednopłciowych. Nakazał instytucjom pomocy społecznej oraz sądom, aby pomagały parom gejów i lesbijek w stawaniu się rodzicami zastępczymi



GORAN ANDRIJANIĆ

Decyzja została przyjęta po zaakceptowaniu kilku wniosków, które miały zbadać zgodność z konstytucją prawa o rodzinach zastępczych. Kto złożył większość tych wniosków? Oczywiście stowarzyszenia LGBT, które twierdziły, że prawa ich członków w tej kwestii są dyskryminowane.

Jak to się stało, że w państwie, które w swojej konstytucji ma zapisaną definicję małżeństwa jako wspólnoty kobiety i mężczyzny, dochodzi do sytuacji, w której dzieci będą mogły trafiać do jednopłciowych rodzin zastępczych? Jak to możliwe, że dzieci zostały poddane niebezpiecznemu eksperymentowi społecznemu, mającemu poważnych przeciwników nawet w krajach, w których już od lat jest on legalny?

Nie można się oprzeć wrażeniu, że chodzi tu o prawdziwą dywersję lobby LGBT, które znalazło swojego sojusznika w instytucji, której celem powinna być obrona chorwackiej konstytucji. Decyzja, która na pewno przyniesie społeczeństwu chorwackiemu głębokie kulturowe, ale i cywilizacyjne konsekwencje, została podjęta bez żadnej dyskusji i sygnowana jest dobrze znanym podpisem. Podpisem „tęczowej zarazy".

MEDIALNA KAMPANIA

Nie doszło do publicznej debaty na ten temat, jednak decyzję sądu poprzedziła dobrze przemyślana i przeprowadzona kampania medialna. W ciągu ostatniego półtora miesiąca wszystkie czołowe mainstreamowe media publikowały wyczerpujące historie o dwójce mężczyzn z Zagrzebia – Ivim Šegocie i Mladenie Kožiciu. Chodzi o parę gejów, którzy zarejestrowali swój związek w urzędzie (związek partnerski) i zwrócili się z prośbą do odpowiedniej instytucji o możliwość stworzenia rodziny zastępczej dla dziecka. Ponieważ ich prośba nie spotkała się z akceptacją Centrum Pomocy Społecznej (CPS), wnieśli skargę do Trybunału Administracyjnego, który nakazał, aby przypadek ten powrócił do rozważenia przez CPS, jednak ono znowu odrzuciło ich prośbę.

W tym czasie w mediach zrobiło się głośno z powodu kampanii, która przedstawiała parę gejów jako „bohaterów" walczących o prawa człowieka itp. Jeden z komentatorów napisał nawet, że wspomniana para zrobiła coś odważniejszego niż wszyscy generałowie walczący o wolną Chorwację podczas niedawnej wojny.

Analityk polityczny i medioznawca Mate Mijić mówi, że od strony profesjonalnej była to doskonale przygotowana i przeprowadzona akcja. – Kampania grała na emocjach. Przedstawiła opinii publicznej parę gejów jako dobrych ludzi, którzy chcą jedynie uszczęśliwić opuszczone dziecko, a państwo im na to nie pozwala. Jak się okazało, taki kierunek to recepta na sukces: pokazać historię z życia, która w swojej istocie jest głęboko ideologiczna. Żyjemy w czasach, w których ludzie nie poddają rzeczywistości nawet najmniejszej refleksji, ale z zasady reagują impulsywnie i emocjonalnie – mówi Mijić.

Poprzez chorwackie media społeczeństwo zostało poddane wpływowi tej emocjonalnej kampanii, której celem było „pomóc" mu w akceptacji idei o rodzicach jednej płci wychowujących dzieci. Głosy, które mogłyby przedstawić inny punkt widzenia w tej kwestii, były całkowicie wykluczone z publicznej debaty w mediach mainstreamowych, bo rządzi w nich lewicowo-liberalny światopogląd. Na palcach jednej ręki można było policzyć te środki masowego przekazu, które udzieliły głosu fachowcom, tak

eprasa.pl e3907b2c07

więc nikt nie zakłócał „idylli" narzucanej przez środowiska LGBT.

Brak publicznej dyskusji wcale nie dziwi medioznawcy Mijicia. – O takich tematach w Chorwacji praktycznie się nie dyskutuje. Rządząca partia HDZ, która przedstawia się jako ludowo-demokratyczna, ucieka od takich dyskusji, dlatego że komplikują jej rządy. Kościół hierarchiczny w Chorwacji także nie podejmuje konkretnych kroków, wszystko się ogranicza do pojedynczych kazań. Niestety w Chorwacji nie istnieje prawdziwa platforma dla takiej dyskusji, ponieważ instytucje państwowe, uniwersytety i media są na nie dość mocno zamknięte. Jedyna opcja, ta lewicowa, dawno już zwyciężyła – podkreśla analityk.

Fot. Shutterstock

TRÓJPODZIAŁ WŁADZY ZAGROŻONY

Oprócz porażającego twierdzenia o dominacji lewicowo-liberalnego światopoglądu w chorwackim establishmencie cała ta sytuacja mówi nam jeszcze jedno – otóż to, że w określonych politycznych okolicznościach nawet najważniejsze instytucje mogą się ugiąć pod wpływem ideologii.

Wielu prawników komentowało dziwną niespójność decyzji Trybunału Konstytucyjnego (TK) z 7 lutego. Otóż zdecydował on, że prawo o rodzinach zastępczych jest zgodne z konstytucją, ale w swoim zastosowaniu „dyskryminuje" pary jednopłciowe, pozostające w związkach partnerskich, ponieważ nie wymienia ich jako tych, którzy mają prawo do opieki zastępczej.

Miroslav Šumanović, jeden z sędziów TK, którzy głosowali przeciwko tej decyzji (dziewięciu było za, a czterech przeciw), napisał w odrębnym komentarzu, że Trybunał „z własnej inicjatywy wprowadził do chorwackiego systemu »prawo« do przyjmowania w rodziny zastępcze dzieci przez partnerów jednopłciowych".

Željka Markić, stojąca na czele stowarzyszenia W Imię Rodziny, która w 2013 r. zorganizowała referendum opowiadające się za ustawową ochroną małżeństwa, opisała decyzję TK jako krzywdzącą dzieci pozostające bez rodziców, ale również krzywdzącą całą chorwacką demokrację. – Trybunał Konstytucyjny najpierw potwierdzi zgodność ustawy o rodzinach zastępczych z konstytucją, a więc, że nie jest dyskryminująca i że Centrum Pomocy Społecznej miało prawo odrzucić prośbę homoseksualnej pary, starającej się o status rodziców zastępczych. A chwilę później wydaje nakaz sądom i instytucjom, zaprzeczając tym samym prawu, które wcześniej przyjął – mówi Markić.

Mijić uważa, że TK zagroził swoją decyzją trójpodziałowi władzy. – Trybunał jest przede wszystkim ciałem politycznym. I jako taki nie może działać jako instytucja sądownicza ani jako ciało wykonawcze, ani jako władza ustawodawcza. A w tym konkretnym przypadku właśnie to zrobił – przyjął rolę ustawodawcy i dodatkowo nakazał niższym sądom, jak mają tłumaczyć prawo. To zadanie Sądu Najwyższego, który jako jedyny posiada mandat ujednolicania orzeczeń.

Następnym problemem jest to, że większość opinii publicznej w Chorwacji uważa zasadność decyzji TK za bardzo wątpliwą. Powodem tego jest sposób wyboru sędziów, którzy otrzymują nominację dwiema trzecimi głosów Saboru. Ten sposób wyboru jest parawanem dla politycznych potyczek między dwiema głównymi partiami w Chorwacji: lewicową SDP i prawicową HDZ. Często się zdarzało, że miejsce sędziego w TK otrzymywał polityk z przebrzmiałą karierą z jednej lub drugiej partii.

– Dość niskie są również kryteria, jakie muszą spełnić kandydaci na sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Same wybory są w rzeczywistości bezwstydnym handlem pomiędzy dwiema największymi partiami w parlamencie. Dzisiaj sędziowie Trybunału to w głównej mierze politycy z gasnącą karierą, nieposiadający kompetencji w dziedzinie znajomości konstytucji i bez doświadczenia sędziowskiego. Niektóre orzeczenia TK nie są wykonywane latami, co jest tylko dowodem na to, że nie traktują tej instytucji poważnie ci, którzy tych sędziów tam skierowali, więc trudno oczekiwać od zwykłych obywateli, aby mieli do niego zaufanie – ostrzega Mijić.

To, co niepokoi, to sposób, w jaki system prawny i polityczny został wykorzystany do realizacji interesów ideologicznych wybranej grupy. Cały ten przypadek pokazuje, jak bardzo cały system jest dziurawy, kiedy rzecz zaczyna dotyczyć wpływowych lobby. Chociaż TK nie jest częścią systemu sądowniczego, jego stan mówi także wiele o chorwackim sądownictwie, które coraz bardziej traci swoją legitymację oraz zaufanie społeczne. Na reformę, taką jaką przeprowadzana jest teraz w Polsce, nie ma na razie w Chorwacji ani cienia szansy.

Wydaje się jednak, że Chorwaci nie powiedzieli jeszcze w tej kwestii ostatniego słowa. Ci sami mieszkańcy kraju, którzy przed siedmioma laty, mimo ogromnych nacisków postkomunistycznych mediów i elit politycznych, wywalczyli podczas referendum konstytucyjną ochronę małżeństwa, znów mogliby być gotowi na podobną akcję.

Željka Markić jest tego pewna. – Trybunał Konstytucyjny nadużył swojej władzy i teraz na siłę, z góry próbuje nam narzucić prawo do przyjmowania w rodziny zastępcze dzieci przez pary homoseksualne. W ten sposób umniejsza wartość narodowego referendum, w którym dwie trzecie chorwackich wyborców ochroniło pojęcie małżeństwa jako wspólnoty kobiety i mężczyzny. Obywatele zrobili to właśnie po to, aby zapewnić najlepszą ochronę interesów dzieci, o które troszczą się społeczeństwo i państwo oraz aby uniemożliwić wprowadzanie agresywnych zmian w kulturze i społecznym systemie wartości. Mogę zapewnić, że będziemy robić wszystko, co w naszej mocy, aby umożliwić dzieciom bez rodziców taką samą ochronę przed eksperymentowaniem, jaką zagwarantowałby swojemu dziecku każdy rodzic – tłumaczy szefowa W Imię Rodziny.

Jak zwrócił uwagę chorwacki konserwatywny polityk Hrvoje Zekanović, kiedy było organizowane referendum w konstytucyjnej obronie rodziny, jednym z argumentów przeciw był ten, że osób homoseksualnych nie interesuje rodzina ani wychowanie dzieci, a jedynie podstawowe prawa. Kilka lat później jesteśmy świadkami kampanii, której celem jest właśnie „prawo do dzieci" dla par jednopłciowych. Przypadek Chorwacji jest dobrą lekcją dla Polski: „siły postępowe" nigdy się nie zatrzymają.

eprasa.pl e3907b2c07



Czy będziemy mieć miedź?

Odkrycie cennych złóż pod Nową Solą rozpala wyobraźnię. Czy już za trzy lata stanie tam kopalnia? Niestety wielu ekspertów uważa, że to nierealne. Dlaczego?

Gorączka, jaka opanowała polskie media w związku z informacjami o odkryciu gigantycznych złóż miedzi i srebra w okolicach Nowej Soli, przypomina tę, jaka miała miejsce po doniesieniach o ustaleniu położenia pod Wałbrzychem tzw. złotego pociągu, którym pod koniec II wojny światowej Niemcy mieli wywieźć z Polski gigantyczne skarby. Niestety lata mijają, a do złotego pociągu nie przybliżyliśmy się ani o metr i wiele wskazuje na to, że ze skarbami pod Nową Solą może być podobnie.

Wystarczy pobieżny przegląd archiwalnych wiadomości internetowych, by zorientować się, że złoża pod Nową Solą są „odkrywane" przez kanadyjską spółkę Miedzi Cooper regularnie co kilka miesięcy od kilku lat. Kanadyjczycy, których interesy w Polsce reprezentuje prezes Stanisław Speczik, tym razem zapowiadają, że już za trzy lata może pod Nową Solą stanąć kopalnia, która zacznie eksploatować złoże.

Warto wyjaśnić, że istnienie złóż pod Nową Solą jest świetnie znane geologom od kilkudziesięciu lat. Badania, jakie przeprowadzili w tym miejscu eksperci z Miedzi Cooper, miały jedynie spróbować odpowiedzieć na pytanie, jak bogate zasoby kryje w tym miejscu ziemia. Okazało się, że rzeczywiście są tam bardzo duże pokłady miedzi, zlokalizowane jednak bardzo głęboko – na poziomie ok. 2 tys. m pod powierzchnią. Tak głęboko ukrytych złóż jeszcze nikt w Polsce nie eksploatował. Eksperci są więc zdania, że szumne zapowiedzi o uruchomieniu w tym miejscu kopalni już za trzy lata są, delikatnie mówiąc, nierealne. Żaden ze specjalistów, z którymi rozmawialiśmy, nie zaryzykuje też na tym etapie jednoznacznego stwierdzenia, że ewentualna eksploatacja złoża będzie opłacalna i przyniesie państwu polskiemu rzeczywiste korzyści finansowe.

– Wyrażenie opinii, że w tym miejscu za trzy lata powstanie kopalnia, jest niepoważne. Na razie mamy do czynienia z dokumentacją złoża kategorii C2, a ewentualną koncesję na rozpoczęcie wydobycia wydaje się na podstawie opiniowania dokumentacji kategorii C1, której przygotowanie wymaga dalszych, bardziej szczegółowych prac badawczych – mówi prof. Ryszard Uberman z Instytutu Gospodarki Surowcami Mineralnymi i Energią PAN. – Przed przystąpieniem do budowy kopalni potrzebna jest jeszcze decyzja planistyczna, czyli gmina bądź gminy muszą ustalić granice złoża, oraz decyzja środowiskowa. Praktyka pokazuje, że tego typu procesy mogą potrwać nawet kilka lat. Mamy też w Polsce bardzo bogate złoża, np. w rejonie Suwałk, których eksploatacja z uwagi na destrukcyjny wpływ na środowisko jest wykluczona.

Paradoksalnie głębokie umiejscowienie złoża, choć przysparza obecnie ogromnych problemów technicznych w przygotowaniu wydobycia, jest akurat atutem wobec wpływu na środowisko naturalne.

– Wpływ na środowisko ewentualnej kopalni, która zaczęłaby eksploatować złoże z poziomu 2 tys. m, byłby minimalny – mówi prof. Marek Nieć, który opiniował dokumentację C2, opracowaną przez Miedzi Cooper. – To złoże z pewnością jest bardzo interesujące, natomiast mówienie o rozpoczęciu wydobycia za trzy lata jest trochę na wyrost. Na dziś nie można powiedzieć, czy jego eksploatacja będzie opłacalna. Inwestor chce tam prowadzić dalsze badania, dokonuje się postęp w technice wydobywczej, więc niczego nie można wykluczyć. Decyzja o ewentualnej eksploatacji złoża, o ile inwestor uzyska w przyszłości stosowną koncesję, będzie po prostu obarczona jego ryzykiem.

Prezes Miedzi Cooper dr Stanisław Speczik to były szef KGHM, a także były dyrektor Państwowego Instytutu Geologicznego, również wysoki urzędnik Ministerstwa Skarbu Państwa w rządzie premiera Marka Belki. Budowę kopalni pod Nową Solą Miedzi Cooper zapowiada już od kilku lat, a ostatnio dochodzą do tego obietnice pracy dla 8 tys. osób. To wydaje się kolejnym zbyt optymistycznym założeniem kanadyjskiego inwestora, bo aktualnie firmy z branży wydobywczej borykają się z niedoborem wykwalifikowanych pracowników. KGHM np. stara się radzić sobie z uzupełnianiem wakatów, nawiązując współpracę w obszarze szkolenia przyszłych kadr już na etapie szkół podstawowych.

Wobec powyższych faktów pojawia się zasadne pytanie, o co tak naprawdę chodzi kanadyjskiej spółce, że z takim rozmachem postanowiła po raz kolejny rozpalić wyobraźnię Polaków, informując o „wielkim odkryciu" i planach szybkiej budowy przynoszącej krociowe zyski kopalni miedzi i srebra? Warto przyglądać się zatem, czy za jakiś czas Miedzi Cooper nie rozpocznie walki o inne polskie złoża, których eksploatacja byłaby już zdecydowanie bardziej opłacalna, a pompowanie srebrno-miedziowego balonika z Nowej Soli ma jedynie wzmocnić markę i pozycję negocjacyjną spółki przed polskim rządem?

(BZ)

Reklama | 64/0120/F
Fot. Shutterstock

eprasa.pl e3907b2c07



NARODOWA PIELGRZYMKA DO RZYMU

na obchody 100-lecia urodzin św. Jana Pawła II

pielgrzymka.niedziela.pl

16.05 – 19.05.2020

Rzym – udział w uroczystościach jubileuszowych oraz zwiedzanie miasta

cena 2180 zł/os
+ 70 € bilety wstępu

wylot z Krakowa

13.05 – 20.05.2020

Wenecja – Padwa – Florencja – Siena – Orvieto – Lago Di Bracciano – Rzym

cena 2390 zł/os
+ 180 € bilety wstępu

wyjazd z: Warszawy, Łodzi, Częstochowy, Katowic

ORGANIZATOR:
Tygodnik Katolicki Niedziela

niedziela

Konsorcjum Polskich Biur Podróży

Rycerze Kolumba

tel: 34 369 43 25; tel: 506 744 552
pielgrzymka@niedziela.pl

eprasa.pl e3907b2c07



Gorzki smak ustawy o podatku cukrowym

Burzę, jaką wywołuje tzw. opłata cukrowa, która ma być w Polsce odprowadzana od napojów słodzonych, w tym soków, trudno pominąć i zlekceważyć. Niezwykle emocjonalna dyskusja trafiła na początek kampanii prezydenckiej, choć posłowie tzw. ustawę cukrową przegłosowali przed jej rozpoczęciem

Eksperci i branża producentów słodkich napojów i soków alarmują, że nowy podatek podniesie ceny, a tym samym uderzy w konsumentów. Nie przyczyni się natomiast, w ich opinii, do wzrostu postaw prozdrowotnych Polaków, a taki właśnie postulowany jest główny cel dokonywanych zmian prawnych.

Sejm uchwalił 14 lutego ustawę wprowadzającą opłaty od alkoholu sprzedawanego w opakowaniach o objętości do 300 ml, tzw. małpek, a także od słodzonych napojów. Nie był to więc miły walentynkowy prezent, ale gorzkie zderzenie z rzeczywistością, zwłaszcza dla tej części biznesu, która zajmuje się szeroko rozumianą produkcją napojów, do których dodawany jest z wielu powodów cukier. Ale również nie był to podarunek dla tych konsumentów, którzy lubią i cenią np. soki owocowe o przyjemnym, a nie tylko gorzko-kwaśnym smaku. Teraz ustawa trafia do Senatu.

Eksperci, uczestnicy rynku, producenci i publicyści ekonomiczni przez kilka tygodni procedowania nowych przepisów dotyczących tzw. podatku cukrowego pytali i wciąż pytają, czy w przypadku opodatkowania słodzonych napojów nie jest wylewane dziecko z kąpielą? Na pytanie, które brzmi, czy podatek cukrowy naprawdę wzmocni zdrowie Polaków – a taki ma być według wnioskodawcy ustawy jego główny cel – branża znajduje mocne, logiczne kontrargumenty.

Szczególnie mocno brzmi głos Polskiej Federacji Producentów Żywności Związek Pracodawców (PFPŻ ZP), która postuluje, by ustawa została w całości odrzucona. „Ze względu na brak dowodów efektywności rozwiązań fiskalnych we wspieraniu prozdrowotnych wyborów konsumentów, postulujemy całkowite odstąpienie od procedowania ustawy" – można przeczytać w stanowisku dotyczącym rządowego projektu ustawy o zmianie niektórych ustaw w związku z promocją prozdrowotnych wyborów dla konsumentów.

Federacja przedstawia wiele przyczyn swojego negatywnego podejścia do zmian prawnych. Jedną z nich są dokumenty Światowej Organizacji Zdrowia (WHO), z których wynika, że postulat dotyczący nałożenia podatków na produkty o podwyższonej zawartości cukru nie jest do końca skutecznym rozwiązaniem. Są też poważne argumenty ekonomiczne, mówiące o rażącym braku proporcjonalności między wysokością zaproponowanych opłat a warunkami społeczno-gospodarczymi w Polsce.

„W uzasadnieniu do projektu przedstawiono przykłady podatków od napojów w innych krajach Unii Europejskiej. Biorąc pod uwagę siłę nabywczą konsumenta, proponowana w projekcie stawka (i to podstawowa), jest najwyższą wśród zbadanych krajów EU/EOG. Przykładowo stawka podstawowa podatku we Francji wynosi 0,12 zł, na Węgrzech 0,19 zł (po przeliczeniu według wskaźnika siły nabywczej) w porównaniu z proponowaną w Polsce stawką 0,50 zł. Świadczy to o zupełnym braku uwzględnienia siły nabywczej polskiego konsumenta oraz finansowych uwarunkowań polskiego rynku. Obciążanie polskich konsumentów i przedsiębiorców opłatami ponadtrzykrotnie wyższymi niż we Francji nie ma żadnego uzasadnienia poza jednym, że ustawa ma realizować cel fiskalny".

I jeszcze jedna kwestia, którą ogólnie można by nazwać prawną przyzwoitością, chodzi mianowicie o vacatio legis. „Uważamy, że optymalny okres dostosowywania się przedsiębiorców do zmian wynikających z ustawy powinien wynosić wzorem okresu zastosowanego w Wielkiej Brytanii 24 miesiące od dnia ogłoszenia ustawy, co pozwoliłoby na dokonanie tam, gdzie to będzie możliwe, zmiany receptury produktów, dopasowanie linii technologicznych i opakowań (zwłaszcza etykiet) do nowych wymogów" – argumentują producenci.

W ostatnim głosowaniu projektu ustawy o zmianie niektórych ustaw w związku z promocją prozdrowotnych wyborów konsumentów – przyjęto poprawkę wyłączającą z opłaty cukrowej wyroby, w których na pierwszym miejscu w składzie znajduje się mleko lub jego przetwory. Nie ma być też odprowadzana od soków ze 100-procentowym składem owocowym – trudno jednak, by smakował chociażby taki stuprocentowy sok z aronii czy czarnej porzeczki. Każdy konsument wybiera to, co mu smakuje, i po prostu odrzuca z zakupów niesmaczne produkty, w tym również napoje.

Ostatecznie, po zmianach w ustawie, przepisy mają wejść w życie 1 lipca. Dyskusja jednak trwa – zwłaszcza przed debatą na temat tej gorzkiej ustawy w Senacie.

(GR)

Fot. Shutterstock

eprasa.pl e3907b2c07



PKP CARGO: rynek stawia na logistykę

Rok 2019 nie był udany dla kolejowych przewozów towarowych nie tylko w Polsce, ale również w Europie. Rynek otwiera za to możliwości dla firm logistycznych i w tym kierunku podąża także PKP CARGO S.A.

W ubiegłym roku mieliśmy do czynienia przynajmniej z trzema strukturalnymi procesami, które wpłynęły na dekoniunkturę w towarowych przewozach kolejowych w Polsce. – Po pierwsze, wygaszanie od kwietnia 2019 r. pieca ArcelorMittal w Krakowie, po drugie, zawirowania na rynku inwestycji infrastrukturalnych od połowy ub.r. i po trzecie, znacznie mniejsze zapotrzebowanie na przewóz węgla polskiej energetyki w całym 2019 r. – wylicza Czesław Warsewicz, prezes PKP CARGO S.A. To rzutowało na gorsze wyniki finansowe branży w porównaniu z 2018 r.

Analizując dokładniej sytuację, zauważymy, że ta dekoniunktura nie była jednorodna. Największy polski przewoźnik towarowy odnotował spadek swoich transportów o 11 proc., ale kryzys odczuli również inni gracze na rynku zajmujący się przewozami masowymi, tacy jak CTL (spadek przewozów o 19 proc.) czy PKP LHS (spadek przewozów o 9 proc.). Ale w tym samym czasie przewoźnicy specjalistyczni, tacy jak Orlen Kol-Trans czy Lotos Kolej, zanotowali lepsze rezultaty pracy przewozowej. Do tej grupy wzrostowej należały również firmy skoncentrowane na przewozach typowo intermodalnych, takie jak Captrain czy PCC Intermodal. W Polsce ten segment nie ma jeszcze takiego znaczenia jak w krajach Europy Zachodniej, gdzie rynek kolejowy zdominowały przewozy intermodalne – stanowią średnio ok. 50 proc. wszystkich ładunków, podczas gdy u nas jest to niespełna 10 proc. Ale ten wskaźnik rośnie, a konteneryzacja gospodarek oraz wzrastająca rola wymiany handlowej pokazują jasno, jakie są tendencje rynkowe w obszarze przewozów kolejowych.

LOGISTYKA TO NR 1

Z roku na rok rośnie znaczenie logistyki, gdzie przewoźnicy kolejowi to tylko jeden z elementów całego systemu. Te trendy bardzo dobrze wyczuwa PKP CARGO, które zapisało w swojej strategii z roku 2018, że będzie ewoluowało w kierunku operatora logistycznego, przejmując kolejne ogniwa łańcucha wartości. Dlatego spółka inwestuje w tabor i terminale logistyczne.

W grudniu ub.r. na konferencji naukowej w Sopocie na temat modelowania systemu logistycznego zgłoszono postulat budowy krajowego operatora logistycznego na bazie PKP CARGO, który ma naturalne przewagi, aby pretendować do tej roli. Po pierwsze, zasoby, jakimi dysponuje PKP Cargo mogące stanowić kręgosłup systemu logistycznego Polski. Po drugie, know-how oraz doświadczenie, jakie ma spółka, sprzyja przejęciu tej roli, czy w końcu silna pozycja rynkowa, szczególnie w obszarze środkowej i południowej Europy. – Dziś konkurują między sobą gospodarki w obszarze przede wszystkim łańcuchów logistycznych. Posiadając skalę działalności oraz informację, można najefektywniej zarządzać łańcuchami dostaw w skali makro. Dlatego potrzebny jest krajowy operator logistyczny, który będzie zarządzał sprawnie tymi procesami – argumentuje prezes Warsewicz.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 40/0220/F

eprasa.pl e3907b2c07

Gwiazda NBA i Kasa Stefczyka pomagają dzieciom



Marcin Gortat to ikona sportu i wielki patriota. Wybitny polski koszykarz, wielokrotny reprezentant kraju. Jedyny w historii Polak, który awansował do finału NBA, najlepszej ligi basketu na świecie. W USA organizuje Polską Noc, wielkie wydarzenie promujące naszą kulturę i koszykówkę. Ale Gortat to także człowiek, który z chęcią wyciąga pomocną dłoń do potrzebujących. Dzięki Fundacji MG13 „Mierz Wysoko" polski gwiazdor realizuje wiele projektów charytatywnych. Jego fundację wesprze w działaniach Kasa Stefczyka



PIOTR FILIPCZYK

Fundację MG13 „Mierz Wysoko" oraz Kasę Stefczyka połączyły troska o młodych ludzi i wspieranie uzdolnionej młodzieży. Wspólne cele zdecydowały o rozpoczęciu współpracy, w ramach której Kasa została sponsorem głównym fundacji Marcina Gortata.

– Jesteśmy szczęśliwi i dumni, że razem z fundacją Marcina Gortata rozwijamy, kształtujemy i aktywizujemy kolejne pokolenia Polaków. Silna Polska to silna i uzdolniona młodzież, która rozumie, czym jest patriotyzm i dobre serce, Marcin to doskonały ambasador naszego kraju i wzór dla najmłodszych. Uczy, że codzienny trening i praca się opłaca. Daje nadzieję, że nie ma rzeczy niemożliwych – mówi Andrzej Sosnowski, prezes Kasy Stefczyka.

Z kolei Marcin Gortat doskonale rozumie, że pomocna dłoń życzliwych osób potrafi właściwie pokierować czyimś życiem i karierą zawodową. Sam doświadczył wiele dobrego od innych. Dlatego w 2009 r. stworzył swoją fundację MG13 „Mierz Wysoko", która wspiera uzdolnioną młodzież, a później założył cztery szkoły mistrzostwa sportowego (Łódź, Kraków, Poznań, Gdańsk), w których nauka jest bezpłatna.

– Mam dług do spłacenia, bo ktoś kiedyś wyciągnął do mnie pomocną dłoń – mówi gwiazda koszykówki. W wywiadach zaznacza: „Pomoc innym ludziom daje mi radość i wielką energię do działania. To wszystko, co robimy w życiu dobrego, pozwala być zapamiętanym przez pryzmat swoich czynów".

Chęć pomocy potrzebującym przyświeca Kasie Stefczyka od początku jej działalności. Od wielu lat prowadzi ona akcje charytatywne i organizuje, tak potrzebne dziś, wsparcie dla społeczności lokalnych.

Kasa Stefczyka nie tylko dołącza do szeregu sponsorów Fundacji MG13, ale też wnosi istotną wartość w postaci doświadczenia w zakresie edukacji finansowej młodych Polaków. Misją Kasy jest walka z wykluczeniem finansowym. To idea, która przyświecała już w XIX w. pierwszym Kasom Spółdzielczym zakładanym przez dr. Franciszka Stefczyka. Dzisiaj zadanie to realizowane jest m.in. przez różnorodne projekty edukacji finansowej, skierowane do dzieci, młodzieży i dorosłych. Są to m.in. współorganizowane przez Stowarzyszenie Krzewienia Edukacji Finansowej akcje „Żyj finansowo! Czyli jak zarządzać finansami w życiu osobistym" czy Mistrzostwa Polski Młodych Ekonomistów. Szczególnym programem jest konkurs stypendialny, wspierający uzdolnione dzieci członków Kasy Stefczyka.

Kasa Stefczyka otrzymała tytuł sponsora głównego Fundacji MG13. Przyznano jej także tytuł sponsora głównego Gortat Camp 2020 oraz Gortat Camp 2021. Kasa będzie aktywnie wspierała fundację największej polskiej gwiazdy NBA w działaniach na rzecz rozwoju dzieci i młodzieży oraz będzie obecna – wizerunkowo i merytorycznie – podczas kolejnych spotkań z młodzieżą organizowanych przez fundację Marcina Gortata.

Fot. Mat. prasowe Fundacji MG13

eprasa.pl e3907b2c07



Energia dla sportu i rozwoju

Choć racją istnienia przedsiębiorstwa jest generowanie zysku, to jednak nie zawsze dążenie do niego stanowi jedyną działalność firm

Pod pojęciem społecznej odpowiedzialności biznesu (z angielskiego corporate social responsibility – CSR) rozumiemy koncepcję, według której przedsiębiorstwa, już na etapie budowania strategii, biorą pod uwagę interesy społeczne, a także ochronę środowiska czy relacje z rozmaitymi grupami interesariuszy. Ale co to właściwie znaczy „być odpowiedzialnym"? W słowach tych zamyka się nie tylko reprezentowanie wysokich standardów etycznych, biznesowe spełnianie wszelkich wymogów formalnych i prawnych, lecz także inwestycje w zasoby ludzkie, ochronę środowiska, relacje, wreszcie – wspieranie obszarów niepowiązanych bezpośrednio z działalnością danej firmy, ale istotnych dla rozwoju społeczności czy to krajowej, czy lokalnej.

Jedną z polskich spółek skutecznie realizujących działania w zakresie społecznej odpowiedzialności biznesu jest Enea. Ten energetyczny koncern stara się nie tylko zasilać nasze domy i firmy, lecz również – można rzec – zasila energią do działania ludzi, m.in. młodzież, seniorów, sportowców, uczniów!

Do takich inicjatyw należy chociażby Enea Akademia Talentów. Program ten daje szansę na zdobycie grantów i stypendiów w kategoriach sztuka, nauka i sport. Prowadząca go Fundacja Enea w ubiegłym roku rozszerzyła zresztą grono podmiotów, które mogły ubiegać się o wsparcie finansowe. W rozstrzygniętej w styczniu trzeciej edycji Enei Akademii Talentów przyznano stypendia 20 uczniom oraz dziewięciu szkołom i organizacjom działającym na rzecz młodzieży. Wyróżniono m.in. młodych miłośników automatyki i robotyki, innowatorów w technice, ale też uczennicę pasjonującą się historią. Z kolei w przypadku sportowców doceniono zawodników sportów walki – judo, karate i teakwondo, jak również żeglarzy i surferów!

– Nasi stypendyści to młodzież pełna pasji i zaangażowania, gotowa do osiągania wyznaczonych sobie celów. Młodzi ludzie realizują się w wielu projektach z różnych dziedzin – mówi Agata Goor z Fundacji Enea. – Uczestnicy Enei Akademii Talentów mają już plan na swoją przyszłość, nasz program pomaga im wdrażać go w życie – dodaje.

Innym projektem jest Enea Akademia Sportu, który promuje zdrowy i aktywny tryb życia wśród dzieci i młodzieży. W programie mogą brać udział dzieci i młodzież ze szkół i klubów sportowych z obszaru dystrybucji Grupy Enea: województw wielkopolskiego, lubuskiego, kujawsko-pomorskiego i zachodniopomorskiego. Enea Akademia Sportu to aktywne wsparcie rozwoju różnych dyscyplin sportowych na poziomie amatorskim i szkolnym. W obecnym sezonie z programu korzysta ponad 3,1 tys. dzieci, podobna liczba uczniów bierze zaś udział w turniejach. Co ważne, Enea Akademia Sportu została wyróżniona w raporcie „Odpowiedzialny biznes w Polsce", jako jeden z najważniejszych tego typu programów w kraju!

Na wsparcie Grupy Enea liczyć mogą nie tylko indywidualni uczniowie, sportowcy, lecz także całe placówki szkolne. Grupa od kilku lat wspiera program patronacki dla szkół branżowych, zakładający współpracę kadry pedagogicznej i uczniów ze spółką. Enea, jako odpowiedzialny pracodawca, postrzega to nie tylko jako długofalowe wsparcie lokalnej społeczności, lecz również inwestycję w przyszłość krajowej energetyki. Doposażenie pracowni dydaktycznych, organizacja praktyk dla uczniów, uczestnictwo w targach edukacyjnych – to wszystko ma realny wpływ na rozwój dzieci i młodzieży. A w przyszłości pozwoli Grupie na pozyskanie cennych pracowników, świetnych fachowców i menedżerów. Polska energetyka potrzebuje bowiem nowoczesnych, profesjonalnie przeszkolonych kadr. Pod patronatem Enei obecnie znajduje się 15 szkół, m.in. z Bydgoszczy, Chodzieży, Gniezna, Gorzowa Wielkopolskiego, Leszna, Kozienic, Połańca, Poznania czy Szczecina.

Fundamentem inicjatyw na rzecz społeczności lokalnych jest wolontariat pracowniczy w Grupie Enea. Pracownicy od lat są obecni w szkołach i przedszkolach, przeprowadzając lekcje o bezpiecznym obchodzeniu się z prądem i jego oszczędzaniu. Działają w zespołach ratowniczych, ucząc dzieci, młodzież i dorosłych udzielania pierwszej pomocy. Spełniają marzenia podopiecznych domów dziecka, wspierają seniorów, chorych i potrzebujących oraz pomagają zwierzętom.

Działania CSR Enei są dowodem na konsekwentną realizację polityki zrównoważonego rozwoju, którą potwierdza też niedawna aktualizacja strategii rozwoju. Grupa koncentruje się na transformacji swych aktywów wytwórczych w kierunku stosowania niskoemisyjnych, odnawialnych technologii, inwestuje w nowe produkty i usługi, aktywnie uczestnicząc w transformacji polskiego sektora energetyczno-paliwowego.

Arkady Saulski

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 18/0220/F

eprasa.pl e3907b2c07

MARIKO BOBRIK*

Japonka pod Pekinem

Urodziła się w Japonii, studiowała w łódzkiej filmówce. Do reżyserskiego debiutu, który w repertuarze polskich kin pojawi się 20 marca, zaprosiła Wietnamczyków. Zdjęcia do filmu realizowała w Warszawie. Niedaleko Pałacu Kultury i Nauki, zwanego potocznie Pekinem.

O swojej drodze do „Smaku pho" (dystrybucja Pięć Smaków Kino Azji) tak mówi w wywiadzie towarzyszącym premierze: – Mieszkałam przez jakiś czas w Wielkiej Brytanii i byłam przyzwyczajona do różnorodności. Kiedy przyjechałam do Polski w 2002 r., moją uwagę zwrócili Wietnamczycy. Postanowiłam zrobić film o ich tradycyjnej zupie pho. Jest ona dość podobna do japońskiego ramenu – z makaronem i warzywami. Nie zamierzałam jednak robić filmu o japońskim kucharzu, bo byłaby to dość szczególna osoba. Chciałam pokazać kogoś, kto się nie wyróżnia; pomysł na postać wietnamskiego kucharza pojawił się dość naturalnie.

Pierwszy raz spróbowałam tej potrawy w Nowym Jorku, ale tak naprawdę musiałam poznać ją w Polsce. W kulturze japońskiej ramen jest czymś, co można zjeść tanio i szybko. Jest ciepły i daje poczucie komfortu, wszyscy go lubią, bo to takie „przyjazne" jedzenie. Kojarzy mi się ze wszystkimi zabieganymi ludźmi pracującymi w korporacjach – nie mają wiele czasu, nie chcą ubierać się elegancko do restauracji i marnować czasu na wybieranie drogich win do posiłku, zwłaszcza w porze lunchu. Ramen i pho to prosta sprawa: wychodzisz, jesz, wracasz do pracy, jak szybko się da. Widzę w nim coś znajomego, pho to potrawa bliska ludziom.

Ale nie chciałam oczywiście zrobić filmu o pho w dosłownym sensie – raczej o uczuciach, jakie są z tym daniem powiązane. O tym, co daje ludziom. Wszyscy to znamy – jeśli twoja mama robi świetny sernik, to ciasto to zawsze będzie ci o niej przypominało. Wydaje mi się to bardzo filmowe. Tak więc zupa stała się dla mnie pretekstem do poruszenia wielu różnych kwestii: domu, pracy, relacji z ludźmi i oczywiście rodziny.

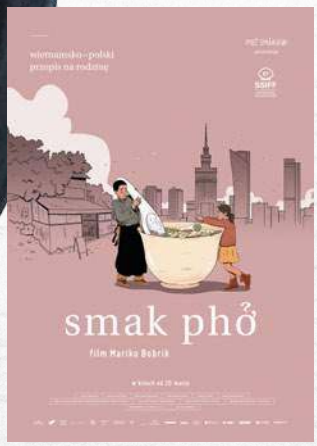
Główny bohater po śmierci żony samotnie wychowuje 10-letnią córkę Maję. Ich relacje są bardzo ciepłe, jednak drogi zaczynają się powoli rozchodzić. Maja tęskni za zmarłą mamą i próbuje odnaleźć swoją tożsamość, Long tęskni za Wietnamem.

Chciałam zrobić film o Wietnamczyku, który sam wychowuje swoją córkę, w połowie Polkę. Dlaczego akurat Wietnamczyk? Jestem Azjatką i niby coś nas łączy, ale to tylko pozory. Kultura wietnamska i japońska są zupełnie inne. Łączy nas tylko to, że mieszkamy w innym państwie niż to, z którego pochodzimy.

Mariko Bobrik mieszka z rodziną w Warszawie. Jeszcze kiedy przebywała w Londynie, usłyszała o Łódzkiej Szkole Filmowej i niedługo potem zobaczyła w japońskiej telewizji reportaż poświęcony filmówce. Znała też Polkę pochodzącą z tego miasta. Jako 17-latka przyjechała więc nad Wisłę i Odrę, „żeby się rozejrzeć". Wspomina: – Byłam zaintrygowana i zaskoczona. Polska okazała się zupełnie inna od miejsc, które znałam. Kochałam kino, byłam młoda i odważna, więc podeszłam do egzaminów i – zdałam! Stało się to tak po prostu, nigdy nie spodziewałam się, że zostanę tu tak długo.

* *Japońska reżyserka debiutująca nakręconym w Warszawie filmem „Smak pho"*

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***



Fot. NATALIA PONIATOWSKA

eprasa.pl e3907b2c07

SŁODKO-SŁONY

Odkryj cieciorkę

ANNA MONICKA

Robi się z niej hummus – pyszną pastę z dodatkiem tahini lub prażonego sezamu, oliwy i czosnku, kapki cytryny. Wspaniały na śniadanie do chrupiącej bagietki lub placka pszennego. Zajadają się nim mieszkańcy basenu Morza Śródziemnego i nie ma się co dziwić. Jest sycący, orzeźwiający i doskonale zastępuje mięso, bo pochodzący z Azji kruchy kremowy groch, z którego powstaje, zawiera mnóstwo białka i żelaza. Chociaż cieciorka jest rośliną strączkową spokrewnioną z bobem, znacznie lepiej ją znosimy, bo ciecierzycowy błonnik łatwiej strawić. Dlatego dietetycy polecają ją nawet dzieciom. Trzeba tylko porządnie wymoczyć nasiona, najlepiej przez noc, zmieniając ze dwa razy wodę. Można do niej dodać łyżeczkę sody. Gotujemy ten dorodny groch – wielkości orzechów laskowych – w świeżej wodzie i nie przykrywamy garnka. Zbieramy i wyrzucamy wszystkie szumy.

Na hummusie jej możliwości się oczywiście nie kończą. Jest podstawą wszelkich wariacji – pasta do chleba doskonale smakuje z pieczonym burakiem, marchewką, dynią, doprawiona świeżym tymiankiem, kolendrą – warto popróbować różnych ziół, żeby lepiej poznać własny smak. Podajemy z rukolą, oliwkami, kaparami. Pycha.

Zmiksowana z pieczonymi warzywami (różnymi – marchewką, pasternakiem, pietruszką), prażonym sezamem, czerstwym ciemnym chlebem albo suchą kajzerką (oczywiście trzeba je namoczyć) i jajkiem, doprawiona curry i podsmażoną na oleju cebulką, upieczona w keksówce – i mamy pasztet.

Bardzo lubię taką przekąskę: ciecierzyca obtoczona w masali, z miodem i płatkami migdałów, podsmażona na maśle klarowanym, przed podaniem skropiona cytryną i oprószona odrobiną startej skórki. Zabieram w pudełeczku do pracy i podskubuję, gdy ciało domaga się wsparcia w postaci czegoś słodkiego.

Ale najlepsza jest zupa. Właśnie na teraz, kiedy mamy już serdecznie dosyć przednówka. Robimy bulion warzywny – 2–3 litry, przecedzamy go, dorzucamy podsmażoną z czosnkiem i wiórkami imbiru cebulkę, wrzucamy ciecierzycę (może być gotowa, ze słoja) i gotujemy kilka minut, żeby smaki dobrze się przegryzły. Doprawiamy chilli i sokiem z cytryny, posypujemy skórką (ile kto lubi, ale gwarantuję, że zapach cytrusa uzależnia) i dymką. Zajadamy ze świeżą bułeczką.





WILCZYM OKIEM

Pemikan

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Obecnie bardzo popularną przekąską stała się suszona wołowina, nazywana z angielska jerky, które to słowo, przez hiszpański (charqui), wywodzi się z języka keczua ch'arki, czyli „suszone i solone mięso". Suszona wołowina jest bardzo pożywna i wysokobiałkowa.

Co ciekawe, moda na jerky wywodzi się od najdawniejszych sposobów konserwowania żywności, stosowanych przez naszych bardzo odległych przodków. Mimo że pierwszy taki posiłek został przyrządzony zapewne wiele dziesiątków tysięcy lat temu, dawny przepis dotrwał do czasów współczesnych, w taki właśnie sposób przetwarzali bowiem i przetwarzają mięso Indianie północnoamerykańscy, nazywając je pemikan. Oryginalne słowo z języka Kri pimîhkân, ma jednak swój źródłosłów nie w słowie „mięso", lecz „tłuszcz". W przeciwieństwie do dzisiejszej suszonej wołowiny indiański pemikan był bowiem jak wojskowe racje żywnościowe – takie, jakie stosowane są w Norwegii, mające postać jednorodnej masy, zawierającej oprócz energii wszystkie niezbędne składniki pożywienia.

W skład pemikanu wchodziło suszone mięso bizona, jelenia, łosia, czasem dzikiego ptactwa, pstrągów lub łososi, ponadto dużo tłuszczu i suszone owoce: borówki, dzikie czereśnie, aronia itp. Pemikan jest więc faktycznie pożywieniem kompletnym.

Obecnie po suszone mięso, jako przekąskę, sięgają smakosze i himalaiści; oprócz suszenia i solenia przyprawia się ją rozmaitymi przyprawami, marynuje czy słodzi. Zadanie pemikanu natomiast było dwojakie: po pierwsze, zakonserwować mięso zdobyte w okresie jego masowej dostępności, kiedy naturalna podaż przewyższała możliwości konsumpcyjne plemienia, czyli w czasie corocznych przemarszów gigantycznych stad bizonów, podczas masowych wędrówek łososi na tarło w górę rzek itp.

Po drugie, w formie pemikanu, mającego trwałość wielu miesięcy (zimą można go było dodatkowo zamrozić) magazynowano pożywienie na okresy niedostatku. Mięso dostarczało białka, tłuszcz energii, a suszone owoce witamin.

Jeżeli więc widzę dziś suszoną wołowinę, drogi przysmak zapakowany w kolorowe opakowanie, nie mogę się oprzeć nieokreślonemu wspomnieniu paleolitycznego myśliwego cieszącego się wraz z rodziną z udanego polowania, a następnie krojącego wąskie paski mięsa i suszącego je przy ognisku lub po prostu na słońcu.

Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl e3907b2c07

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Nie teraz do Rosji

Dobrym pomysłem mogłoby być zorganizowanie uroczystości na Ukrainie, w Charkowie, na Polskim Cmentarzu Wojennym


www.wojciechreszczynski.pl

Coraz więcej Polaków wyraża swoje obawy w związku z ewentualną wizytą naszych władz w Katyniu w 80. rocznicę mordu z rozkazu Stalina na polskich oficerach jeńcach wojennych. Obecność polskiej delegacji wydaje się oczywista także ze względu na 10. rocznicę tragedii smoleńskiej. Oba te wydarzenia będą już na zawsze z sobą związane, wszak lot rządowego samolotu do Smoleńska prezydenta Lecha Kaczyńskiego wraz z małżonką i liczącą 95 osób państwową delegacją miał na celu uczczenie 70. rocznicy katyńskiego mordu. Ale w ciągu tych dziesięciu lat nasze relacje z Rosją uległy dalszemu pogorszeniu. W międzyczasie był profetycznie zapowiedziany przez śp. Lecha Kaczyńskiego rosyjski atak zbrojny na Ukrainę i zajęcie całego Krymu. Nie odzyskaliśmy też ani oryginałów czarnych skrzynek, ani wraku samolotu, a teren katastrofy, a raczej eksplozji samolotu, gdyż rozpadł się on w powietrzu na skutek wybuchu, został bezpowrotnie z premedytacją zmieniony.

Z dramatycznym apelem do władz o zaniechanie podróży do Rosji zwróciła się Magdalena Merta, wdowa po śp. Tomaszu Mercie. „Nie chcę, aby politycy się narażali i niech zrobią to dla nas, rodzin smoleńskich" – prosi. Ma rację, twierdząc, że cokolwiek złego zrobi Rosja, zawsze pozostanie bezkarna, dlatego wizyta w Smoleńsku i Katyniu 10 kwietnia tego roku to proszenie się o nieszczęście. Nawet jeśli delegacja uda się na miejsce uroczystości koleją czy samochodami. Trudno nie zgodzić się z panią Magdaleną Mertą. Bądźmy realistami. Smoleńskie lotnisko jest nim tylko z nazwy i nie wolno z niego korzystać. Polskie delegacje, bo na pewno takie będą, nie powinny się składać z osób ważnych dla ciągłości i bezpieczeństwa państwa polskiego. Z wizytą premiera czy prezydenta należy poczekać, aż zmieni się sytuacja w Rosji, a przynajmniej do czasu wydania Polsce wraku samolotu i oryginałów czarnych skrzynek.

Podejmowane przez polskie MSZ działania w celu uzyskania od Rosji pomocy prawnej i organizacyjnej w związku z polską obecnością na uroczystościach powinny być zaniechane. Mam nadzieję, że taka właśnie będzie ostateczna decyzja wiceministra spraw zagranicznych Szymona Szynkowskiego vel Sęka, który pierwszy informował o polskich oczekiwaniach pomocy ze strony Federacji Rosyjskiej. Poza tym na organizację wizyty polskiej delegacji w Smoleńsku i Katyniu jest już zdecydowanie za późno.

Dobrym pomysłem mogłoby być zorganizowanie uroczystości na Ukrainie, w Charkowie, na Polskim Cmentarzu Wojennym, gdzie niedaleko wsi Piatichatki Sowieci mordowali polskich jeńców wojennych. Pogrzebano tam, a w zasadzie wrzucono do wykopanych dołów, zwłoki 3739 oficerów Wojska Polskiego – jeńców z obozu w Starobielsku rozstrzelanych w 1940 r. przez NKWD. Albo można by zorganizować uroczystości na Białorusi, w Kuropatach, gdzie znajdują się bezimienne mogiły polskich ofiar sowieckiego terroru w latach 1937–1941. Stoi tam skromny marmurowy kamień ze słowami: „Od prezydenta USA B. Clintona". Warto też wiedzieć, że zarówno w sprawie okoliczności mordów w Charkowie, jak i w Kuropatach rosyjscy prokuratorzy wojskowi nadal nie potrafią odpowiedzieć na podstawowe pytania polskich, ukraińskich i białoruskich śledczych i historyków. Odpowiedź zawsze jest ta sama – „w archiwach NKWD i KGB nie znaleziono żadnych dokumentów". Taka jest współczesna Rosja.

Zbliżające się kwietniowe rocznice przypominają, że wyjaśnienie wszystkich okoliczności katastrofy smoleńskiej jest naszym wielkim narodowym zadaniem.

W lutym 2016 r. ówczesny minister obrony narodowej Antoni Macierewicz powołał Podkomisję ds. Ponownego Zbadania Wypadku Lotniczego pod Smoleńskiem przy Komisji Badania Wypadków Lotniczych Lotnictwa Państwowego. Opracowany dwa lata później raport techniczny wykazał, że samolot Tu-154M uległ destrukcji w powietrzu w wyniku eksplozji, najpierw lewego skrzydła, a później kadłuba. Stąd te tysiące fragmentów części samolotu. Raport opisał także przebieg błędnego naprowadzania samolotu przez rosyjskich kontrolerów w Smoleńsku. Obecnie trwa oczekiwanie na końcowe badania techniczne, które są wykonywane w Narodowym Instytucie Badań Lotniczych przy uniwersytecie Wichita w USA. Ostatecznie mają odpowiedzieć na pytanie, czy katastrofa miała taki przebieg, jaki zgodnie i pewnie w porozumieniu opisały komisje Jerzego Millera i MAK Tatiany Anodiny, czy jednak potwierdza wyniki badań komisji Antoniego Macierewicza i Kazimierza Nowaczyka.

To jeszcze jeden powód, aby do tego czasu nie pokazywać się w Rosji.

eprasa.pl e3907b2c07

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Wicie, rozumicie



Witold Gadowski

Rośnie poczucie dziadostwa i gnoju. Niestety – to proces, którego nikt nie chciałby oglądać, ale on właśnie się dzieje. Wicepremier Gowin, który powinien dziękować losowi, że udało mu się wsiąść do szalupy PiS po tym, jak odrzuciła go macierzysta PO, poczyna sobie obecnie jak kukułka w nie swoim gnieździe. Nie dość, że mając nikłe realne poparcie, rości sobie coraz większe pretensje, to jeszcze przygarnia pod swoje skrzydła najgorsze odpady z... PO właśnie. Niedawno doprowadził do tego, że wiceministrem w dziwacznym ministerstwie pani Emilewicz został wieloletni druh Tuska i Rasia, kilkukadencyjny poseł PO, niejaki Andrzej Gut-Mostowy z Zakopanego. I co? Ktoś się oburzył? Cisza jak makiem zasiał. Bo jak się ktoś odezwie, to już kariery nie zrobi. Inny wynalazek Gowina – niejaki Urynowicz – zaciekły tępiciel niepodległościowców z Krakowa, jest obecnie wicemarszałkiem województwa małopolskiego.

Uwziąłem się na tego Jarosława Gowina, ale przecież nie on jeden w tym rządzie jest promotorem podejrzanych karier i apanaży. Właśnie gruchnęło, że dotychczasowy prezes PGE już prezesem nie będzie, i ruszył sprint łokciujących się kandydatów, z których co jeden to lepszy gagatek. Znając życie, prezesem zostanie największy z nich wszystkich łobuz noszący kapelusz o mikrym obwodzie. Przyglądam się temu i tym okadzającym władzę dziennikarzom i ciągle słyszę: „Niech pan nie rozrabia, bo przyjdzie PO i wtedy »wicie, rozumicie«".

Ja to wasze „wicie, rozumicie", te wasze nieustanne wybory, które są „grą o wszystko" (dla kogo?), znam już aż do mdłości. Nie mogę już patrzeć na te rozparte na państwowych fotelach – zawsze te same – mordy. Wielu z tych „dygnitarzy" znam jako krańcowych nieudaczników, którzy nigdy nie potrafiliby poprowadzić własnej firmy, ale na „państwowym" to „wicie, rozumicie", „Staszek musi się sprawdzić w biznesie". Nowomowa tężeje, poprawnościowa policja sprawdza szyki, brednie upowszechniane są przez media publiczne, ale mamy milczeć, bo przecież mogą przyjść „tamci".

Pamiętam tę frazę z esbeckich przesłuchań: „Panie Witku, po co tak radykalnie! My też wierzymy w to, co pan, ale przecież musimy tu być, bo jak nie my, to przyjdą oni". Zawsze jest nie w porę, zawsze jest ten sam szantaż emocjonalny, że jak nie ci, to będą gorsi, zawsze jest stawianie spraw na ostrzu stwierdzeń o wyborze mniejszego zła. Czy nie czas, aby tym wszystkim oszustom o gębach pełnych tego „wicie, rozumicie" publicznie wygarbować skórę i popędzić środkiem wsi?

Uniwersytet gołębnikiem?



Lech Makowiecki

„Gdyby głupota miała skrzydła, latałaby pani jak gołębica" – tak w kultowym serialu „Szpital na peryferiach" dr Štrosmajer podsumował postępowanie niezbyt rozgarniętej pielęgniarki Marty Huňkowej. Sama zainteresowana nie zrozumiała tej kwiecistej przenośni i... odebrała ją jako komplement!

Odnoszę wrażenie, że nad Polską unoszą się dziś całe stada takich gołębic. A niektóre uczelnie (zwłaszcza humanistyczne) zamieniają się w zawrotnym tempie w gołębniki! Być może na politechnikach wszelkie idiotyzmy są trudniejsze do przeforsowania: dwa razy dwa to zawsze cztery (z wyjątkiem ekonomii marksistowskiej, która była patonauką). Ale nie przypominam sobie, by za moich akademickich czasów studenci odważyli się pouczać profesorów, zwłaszcza w sprawach fundamentalnych. Dlatego ze zdumieniem skonstatowałem, że niektórzy współcześni żacy nie wiedzą o tym, że mama, tata i dzieci to normalna rodzina. Mogę to nawet zrozumieć i próbować jakoś usprawiedliwić: cóż, studenciaki dopiero poznają świat, uczą się, mają więc prawo popełniać błędy. Gorzej, gdy błądzą również niektórzy profesorowie, a zwłaszcza odpowiedzialni za swą Alma Mater rektorzy, którzy – zamiast natychmiast spacyfikować lewacką głupawkę – dopuszczają do zaszczuwania i rugowania z pracy wykładowców mówiących oczywiste oczywistości. Dlatego mam wielką prośbę do ministra Gowina: proszę już nie rzucać się Rejtanem w obronie ideologii gender na uczelniach, tylko wstać, otrzepać się z kurzu, zapiąć koszulkę pod samą szyję i zrobić to, do czego ma Pan wszelkie ministerialne uprawnienia: postawić tamę zalewowi głupawki na polskich uniwersytetach. Bo inaczej już wkrótce trudno tam będzie wejść bez parasola; gołębie to co prawda przemiłe ptaki, ale potrafią zapaskudzić najbardziej nawet szacowne pomniki.

PS Do napisania tego felietonu zainspirowała mnie lektura książki „Idiotokracja, czyli zmowa głupców" Janusza Szewczaka. Gorąco polecam!

eprasa.pl e3907b2c07

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

300...



Aleksander Nalaskowski

Nawet się nie obejrzałem, a już nadszedł jubileusz. Ten felieton nosi bowiem numer 300. Z braku innych propozycji swój jubileusz będę fetował tu sam. Przez te wszystkie lata, od roku 2014, uzbierałoby się stron na opasłą książkę. Miewałem skądinąd propozycje, sugestie, aby te swoje kawałki wydać w formie książki. Ale to raczej niemożliwe. Musiałbym do każdego felietonu napisać komentarz, czego on dotyczył, bo ludzie, wydarzenia, zjawiska, które opisywałem, są już często zapomniane. Kto dzisiaj pamięta o czyjejś wycieczce na Maderę czy o jakimś ministrze?

Felieton to forma doraźna, chwilowa, to komentarz do aktualnej rzeczywistości. A aktualna rzeczywistość trwa dzień, dwa, trzy. Przez to też, jak inni koledzy z tygodnika „Sieci", zmagam się z rygorami cyklu wydawniczego. Materiał wysyłam bowiem w środy, a to oznacza, że mogę opisywać to, co wydarzyło się najpóźniej do tego dnia. Tygodnik wychodzi w poniedziałek, zatem pięć dni po zdarzeniach, które mam szansę opisać. Bywa więc, że komentowany problem już trąci myszką albo wręcz ma charakter „archeologiczny". Bo życie wciąż gna naprzód. A jakiejś małej stabilizacji próżno nawet wyglądać. Ale wszak nie tylko ja jestem w tej sytuacji. Nie mogę więc zbyt głośno narzekać.

Felieton to także rygor regularności. Nie ma znaczenia, czy jestem w Polsce, czy w Ameryce, materiał musi być dostarczony. Oczywistym wybawieniem jest tutaj internet. Pisywałem więc z różnych zakątków Polski, Europy i świata. Czasami można to było łatwo wywnioskować z treści felietonu.

Wielokrotnie już pisałem, że nie mam konta na żadnym portalu społecznościowym, nie mam nawet dostępu do elektronicznej wersji macierzystego tygodnika i lojalnie kupuję go w kiosku, bo uważam to za niepotrzebne, a powszechna chęć dzielenia się z wszystkimi wszystkim to wedle mnie jakaś patologia. Nie wiem, czy komunikacja twitterowo-facebookowa wpływa na lepsze rozumienie innych, na trwałość pokoju na świecie, ale wiem, że bywa przestrzenią nienawiści, chamstwa i hejtu. Po co się więc na to dobrowolnie wystawiać? W przypadku felietonisty brak takiej społecznościowej aktywności daje komfort nieczytania wrogich komentarzy, których pretekstem był ten czy inny felieton. Wtedy zostaje tylko przyjemność spotkań bezpośrednich, twarzą w twarz.

Przyjemność, bo często wtedy słyszę, że ten czy ów zaczyna lekturę naszego tygodnika od mojego felietonu. Zdaję sobie sprawę, że pewnie w trzech czwartych to czysta kurtuazja, ale jakże miła. Bywa, że dostaję na adres uniwersytecki korespondencję, taką tradycyjną w kopercie ze znaczkiem. Zawsze staram się odpisać. Bywa, że komentarze docierają do mnie w postaci e-maila, który jest powszechnie dostępny. Wtedy też odpisuję. O dziwo są to komentarze życzliwe, nawet jeśli są polemiczne. Chociaż bywały pojedyncze przypadki słów nienawistnych czy obraźliwych. Niezwykle sporadyczne, ale jednak.

Myślę, że rzadko się zdarza, aby felieton wywarł jakikolwiek wpływ na rzeczywistość. Jest w nim zawsze coś z przymrużenia oka, coś z literackiego popisu i nie traktuje się go do końca poważnie. A jednak! „Wędrowni gwałciciele", tekst z lata ubiegłego roku, wywołał istną burzę. I już nie idzie mi o to, że na stałe przyklejono mi łatkę homofoba, nietolerancyjnego agresora czy „mohera". Ale o to, że reakcje akademickie (wszystkie inne tu pomijam) na ten tekst skłaniały do zastanowienia nad kondycją polskich uniwersytetów, profesury, uczonych gremiów czy nawet nauki jako takiej. W zupełnie nowym świetle, w sytuacji pewnego swoistego eksperymentu, zobaczyłem też postawy moich najbliższych współpracowników i kolegów. Wielu przedstawicieli nauk społecznych pisze o wykluczeniach czy stygmatyzacji, ja ich doświadczam. A to był tylko felieton numer 286.

Niekiedy felieton staje się przyczyną sytuacji całkiem zabawnych. Dwukrotnie mnie jakoś identyfikowano z tygodnikiem „Sieci", lecz chyba nie dość precyzyjnie, bo w obu przypadkach usłyszałem niemal to samo: „Pan Zybertowicz, prawda?". Zapewne przez to, że mój kolega z uczelni i łamów zapuścił brodę...

Dość często piszę o Podlasiu, na którym regularnie bywam i które kocham najszczerzej. I jakże często dostaję wiadomość od czytelników, że oto wybrali się tam, zobaczyli te cudowności, które opisywałem, i bardzo dziękują. Nawet była propozycja, abym napisał swój przewodnik po tym wyjątkowym fragmencie Polski. Ale niech to lepiej robią fachowcy, a nie zakochany amator odkrywca.

Bywam pytany, czy sztygar z Mikołowa, którego czasami cytuję (pomijam tylko to, co musiałbym wykropkować), istnieje naprawdę. Ależ tak! Ma na imię Antoni, oczywiście hoduje gołębie pocztowe i jest 80-letnim emerytem górniczym. Nawet chciał napisać brifę do redakcji, aby mu wypłacono honorarium za moje cytowania.

Ponieważ mam duszę i fach badacza, to podam, że wszystkie moje felietony to około półtora miliona znaków. Najwięcej tytułów rozpoczynało się na P (ponad 50), a najmniej na B (tylko cztery). Z całej redakcji „Sieci" poznałem osobiście tylko pięć osób. Reszta to dla mnie byty wirtualne. I tą namiastką statystyki żegnam się do przyszłego tygodnia. W Toruniu słonecznie i wiosennie, a w Warszawie podobno wietrznie i deszczowo. Cóż...

eprasa.pl e3907b2c07

PRZEZ ŚWIETLIK

Warzywa, pobudka!

Carl Menger, nasz poczciwy góral spod Nowego Sącza, który do historii przeszedł jako wielki austriacki ekonomista, zauważył, że dla wartości towarów przy wymianie handlowej najważniejsze są końcówki. Bo decydują o cenie. Czyli ostatnie egzemplarze, o które sprzedaż lub kupno maleje lub się zwiększa. One decydują o całym, jak to się mówi, wolumenie. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy byłbym w stanie jeszcze z pamięci oddać całość wywodu Mengera, ale jest on łatwo przekładalny na świat polityki, w tym wyborów prezydenckich, które za trzy miesiące nas czekają. Zadecyduje końcówka. Mam wrażenie, że to banał i, jak to z banałami bywa, ciągle wszyscy o nim zapominają.



O zwycięstwie lub przegranej Andrzeja Dudy nie zadecyduje to, że per saldo pod każdym względem jest lepszy od swojej konkurentki, a ona jest dość specyficzna. Może i Ryszard Gontarz, wyjątkowo aktywny esbek i fanatyczny antysemita, z którym się fotografowała w młodości, doceniał jej intelekt i kunszt, dziś – tak szczerze mówiąc – trudno to zrobić komukolwiek. Tyle że nie ma to większego znaczenia. Zamiast pani Kidawy mógłby być Grzegorz Schetyna, pani Jachira, człowiek z castingu, taboret albo słoń z cyrku. Obojętne. Dzisiejsze wybory toczą się między PiS i anty PiS i siły są niemal wyrównane. U Mengera było tak, że kiedy przykładowo rolnik miał 30 worków zboża, a myśliwy 30 skórek, to wymieniali je jeden do jednego. Ale kiedy rolnik zaczynał mieć paniczną potrzebę posiadania 31 skórek, myśliwy je miał, a potrzebował tak naprawdę tylko kilku worków zboża, to mógł dyktować warunki. W polityce jest tak, że ta jedna skórka nie dyktuje warunków, a wygrywa wszystko, może nawet decyduje o pobłogosławionym przez oświecony świat końcu szkodliwej demokracji nad Wisłą.

Sądzę, że powinni o tym pamiętać ci, którzy toną w wewnętrznych wojnach. Ci, którzy pokazują fucki, ale ci, którzy też potem żyją tymi fuckami innych, jakby wydarzyło się coś wybitnie strasznego. Ci, którzy działają według zasady Churchilla: „Ten naprzeciwko to mój przeciwnik, ten obok to mój wróg". Ci, którzy polują we własnym obozie na talibów od Macierewicza, symetrystów od Gowina albo patrzą tęsknie w stronę Korwina lub Brauna. „Braun" to było coś, co palili młodzi ludzie, kiedy byłem na styku liceum i studiów. Znałem dwie osoby, które to lubiły. Obie nie żyją.

Nie tylko w rozmnażaniu i ekonomii decydują końcówki. Także w polityce. A jak zdecydują przez sumę małostkowości, hurraoptymizmu i wewnętrznych dintojr, winnych zapewne nie będzie. Po prostu jak warzywka z bajki: „Wszyscy wnet zginiemy w zupie". A wraz z nami o wiele ważniejsza sprawa.

Wiktor Świetlik

REKLAMA



71/0120/F

eprasa.pl e3907b2c07

Szczególna data



Alina Czerniakowska

24 lutego 1953 r. w więzieniu na Rakowieckiej w Warszawie zamordowali wielkiego bohatera, najwyższego rangą więźnia politycznego, przedwojennego oficera, gen. Augusta Emila Fieldorfa. Pospieszyli się rodzimi oprawcy z Urzędu Bezpieczeństwa (jak to cynicznie brzmi – bezpieczeństwa!) i tuż przed śmiercią Stalina (5 marca 1953 r.) powiesili niezłomnego żołnierza całe życie walczącego o niepodległość Polski. Dziś myślę o córce generała, Marii Fieldorf-Czarskiej, która stała się dla mnie osobą szczególnie bliską i ważną. Mimo upływu czasu od jej śmierci (2010) wracam do początków naszej znajomości, rozmów telefonicznych, listów, zdjęć, spotkań oficjalnych i zupełnie prywatnych.

Gdy na początku lat 90. przygotowywałam się do filmu dokumentalnego o gen. Fieldorfie, długo szukałam kontaktu z córką, bo wiedziałam, że to będzie dla mnie najważniejsze spotkanie. Na początku musiałam udowodnić, że nie będę się bała prawdy, a potem zbudować film o człowieku wówczas nieznanym w Polsce, bohaterze wielu wojen, zamordowanym w imię komunistycznego prawa. Telewizyjni szefowie zatwierdzający temat byli przekonani, że robię film o „jakimś hitlerowcu", jak się wyrażali. Nie zaprzeczałam i tak udało się zrobić film, którym zdobyłam zaufanie i serdeczność pani Marii na blisko 20 lat, do końca jej życia.

Wszyscy, którzy znali córkę generała, wiedzieli, że nie można było jej zawieść. Wychowana w kulcie marszałka Piłsudskiego, zapatrzona w swojego wspaniałego ojca, kochała Polskę bardziej niż własne życie. Wiem to, bo często rozmawiałyśmy o jej młodzieńczych latach w Wilnie i kolejnych wędrówkach w ślad za ojcem żołnierzem. Słuchałam opowiadań o mamie, siostrze, spotkaniach rodzinnych, wydarzeniach poważnych, ale i radosnych, z poczuciem humoru, którego nie brakowało w tym domu. Jednak najważniejszą sprawą zawsze była Polska, umiłowanie ojczyzny i życie dla niej. Pani Maria była bardzo podobna do swojego ojca, nie tylko zewnętrznie, lecz przede wszystkim charakterologicznie, pozostawał dla niej największym autorytetem. Pamiętam, jak pokazywała mi opinie o Emilu Auguście Fieldorfie cenionym od najmłodszych lat przez przełożonych, czytała zachowane dokumenty, z trudem ukrywając wzruszenie. „Zawsze bardziej kochał Polskę niż swoją rodzinę" – powiedziała kiedyś zamyślona, patrząc na fotografię swoich pięknych rodziców.

Najtrudniejszym przeżyciem były dla niej wyprawy do więzienia na Rakowiecką, by zobaczyć ukochanego tatusia, niestety nigdy nie otrzymała takiego pozwolenia. Jako młoda dziewczyna zapamiętała na zawsze tamte koszmary, niesprawiedliwość, poniżenie i wielką zbrodnię, z którą nigdy się nie pogodziła. Nie zapomnę twarzy pani Marii, gdy patrzyła na filmową scenę wykonania wyroku na jej ojcu. Drżenie rąk, wielkie nerwy, a jednocześnie siła i bunt przeciwko złu. Do końca życia walczyła o sprawiedliwość. Pisała kolejne pozwy do sądu, wskazywała morderców ojca, kłamców, wrogów Polski, domagała się publicznego ich osądzenia. Wtedy żyli jeszcze główni sprawcy sądowego mordu na generale. Córka toczyła samotną walkę, bo – jak się okazało – nie mogła liczyć na pomoc władz III RP w osądzeniu zbrodniarzy. Prokuratorzy, sędziowie, szefowie departamentów, śledczy mieli mocne wsparcie w elicie rządzącej i głównych mediach, pozostawali więc bezkarni.

Helena Wolińska-Brus, Maria Gurowska-Zand, Witold Gatner, Alicja Graf, Igor Andrejew – oni wszyscy powinni stanąć przed sądem w wolnej Polsce! Byli cyniczni, pewni siebie i tak samo okrutni jak za czasów mordowania i skazywania na haniebną śmierć gen. Fieldorfa i innych polskich patriotów. Sędzia Gurowska-Zand, która dwukrotnie podtrzymała wyrok śmierci na Fieldorfie, zapytana przeze mnie, jak dzisiaj by postąpiła, odpowiedziała bez wahania z wielką butą – zrobiłabym to samo! Z takimi oprawcami samotna córka generała Fieldorfa nie mogła wygrać, ale nigdy się nie poddała, walczyła nawet wtedy, gdy już poważnie chorowało jej serce.

Ekipy filmowe, chcące zarejestrować przebieg procesów, były wypraszane z sali sądowej, można to zobaczyć na jednym z moich filmów dokumentalnych (pt. „W sprawie generała Fieldorfa"). Miało nie być żadnych świadków, a sprawy zawsze kończyły się umorzeniem, przedawnieniem, oddaleniem itd. Utrudzona przyjeżdżała do Warszawy, stawała pod kolejnymi drzwiami sądowymi, odważnie, bez żadnych kamuflaży, mówiła, kto zamordował jej ojca i tysiące innych bohaterów tak bliskich swojemu dowódcy, generałowi Fieldorfowi. Pytana przez dziennikarzy wymieniała nazwiska sędziów, prokuratorów, śledczych, żądała prawdy w mediach. Miała nadzieję w młodych, chętnie się z nimi spotykała, opowiadała o ojcu, prosiła, by kochali Polskę, nie ustawali w szukaniu prawdy i pamiętali o bohaterach zamordowanych przez wrogów narodu polskiego. Nie obchodziło jej, że to może się nie podobać różnym „nowoczesnym Europejczykom", była bezkompromisowa w sprawach wiary, patriotyzmu, ojczyzny. Zawsze z wielką kulturą, elegancją, delikatnym kobiecym głosem, kategorycznie broniła prawdy, swoich przekonań, zbudowanych na mocnych rodzinnych fundamentach. Nigdy się nie skarżyła na ciężki los, na choroby, nie mogła się tylko pogodzić z niszczeniem Polski przez ludzi, którzy sprzeniewierzyli się i dopuścili zdrady ojczyzny. Pragnęła poznać miejsce pogrzebania ojca, chciała go odnaleźć, wydobyć z potajemnego dołu śmierci, zapalić światło... Ten dzień 24 lutego został jeszcze dodatkowo umocowany w mojej pamięci niedawną śmiercią mojej mamy, bohaterki trudnych lat PRL, gdy jako 15 lat młodsza żona kułaka walczyła o normalność dla siebie i swoich dzieci. Brakuje mi ich, tęsknię i przywołuję, gdy trudno i ciężko, gdy trzeba walczyć.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl e3907b2c07

Gryps z Rakowieckiej



Jerzy Jachowicz

Drogi Romku,
wykrakałeś. Niestety wykrakałeś. Dziś mogę to już bez wahania powiedzieć. Twoja ponura przepowiednia się sprawdziła. Pewnie nawet sam nie wierzyłeś, że tak szybko. Jeszcze cztery dni temu siedzieliśmy na tyłach Teatru Wielkiego w Pędzącym Króliku, przy rubinowym, toskańskim Brunello di Montalcino, a dziś piszę do ciebie gryps z aresztu na Mokotowie, ze słynnej Rakowieckiej.

Co ja mówię, z aresztu. To nie jest zwykły areszt. To prawdziwe kazamaty. Miejsce kaźni. Cela, w której siedzę samotnie, wygląda raczej na kryptę, w której zamiast okna jest jakaś szparka na zewnątrz. Pomieszczenie znajduje się na poziomie sutereny, do której prowadzi ciemny wilgotny loch, oświetlony ledwie ćmiącymi lampkami. Kolonie setek nietoperzy szybujących nad głowami przyzwyczajonych do tego strażników i przerażonych więźniów. Droga jest tak upiorna, że kiedy w celi za odchodzącym klawiszem zatrzaskują się drzwi, masz wrażenie, że życie zamienia się w komfortowe wczasy. To złudne uczucie trwa krótko. Już po chwili okazuje się, że cela jest tak niska, że nie można się wyprostować. Podobno rząd kazał przygotować kilkanaście takich grobowych komór dla prawników sprzeciwiających się reformie sądownictwa.

Nie wyobrażam sobie ciebie, Romku, w tej celi. Musiałbyś cały czas przybierać skuloną pozę. A przecież wiadomo, że raczej przebiłbyś głową sufit, niż siedział skulony. Pamiętam twoje słowa sprzed kilku tygodni: „Niedoczekanie Ziobry, żeby miał patrzeć na Romana Giertycha z góry".

Romek, błagam wyciągnij mnie stąd. Nie chciałem cię przerażać, ale muszę ci powiedzieć, że wszystkie niedogodności, a nawet cierpienia fizyczne są do zniesienia. Poza jedną perfidną torturą. Z głośnika, którego nie daje się wyłączyć, cały czas leci kaseta, jaką przedstawił na konferencji marszałek Senatu prof. Grodzki. Chodzi o nagranie świadka, który opowiadał, jak ktoś próbował go przekupić, aby oskarżył profesora o przyjęcie łapówki. Po co ja to brałem?

Jacek Dubois

CO MNIE ZASTANAWIA

Jerzy Gruza



Katarzyna Łaniewska

Ubywa coraz więcej ludzi kultury z mojej półki wiekowej. Zastanawiam się, kto zechce o mnie kiedyś powiedzieć parę słów?

Z Jerzym Gruzą zetknęłam się wiele lat temu. Byłam studentką Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. On studiował w łódzkiej filmówce. Byłam z kolegami w górach. Jurek też się tam jakoś zjawił. Wiedział, że jeździłam na nartach. Powiedział, że zrobi nowelę na nowy sezon w filmówce i zapytał, czy bym u niego nie zagrała. Pomyślałam, dobrze. Wziął mnie na Szrenicę do schroniska. Z filmowym instruktorem miałam wykonywać różne zjazdy na nartach przed kamerą, zatrzymywać się tuż przed nią, nie uszkadzając jej. Tak minęło parę dni. Do jedzenia był chleb z żółtym serem i kawa w wyszczerbionym kubku. Dostałam rozstroju żołądka i to był koniec mojej aktorskiej kariery narciarskiej.

Jurek był ciekawym człowiekiem i artystą. On sam był zaciekawiony nowymi środkami przekazu. Telewizją i wszystkimi nowościami. Miał poczucie humoru i zawsze tworzył coś nowego, np. satyryczne filmiki z Bogusiem Kobielą i Jackiem Fedorowiczem. Satyra była twórcza, dowcipna i niewulgarna. Uczył w telewizji kolejne pokolenia. Tadeusz Świniarski opowiadał, że jak na placu Powstańców wchodził do gmachu telewizji, to stała panienka i oglądała gabloty ze zdjęciami aktorów. Po paru miesiącach ta sama kobieta siedziała w bufecie z Jurkiem Gruzą i piła kawę. Po kolejnych paru miesiącach pani już stała przy kamerze i mówiła: „Bardziej w lewo". Jurek ją podkształcił. Prywatnie był człowiekiem bardzo miłym, wesołym, ale nie wesołkiem. Był kobieciarzem gadaczem. Jedna z opowieści mówi o tym, że gdy jechał ulicą samochodem i szła piękna dziewczyna z długimi nogami, to natychmiast zawracał, by się jej jeszcze raz przyjrzeć.

Z Jerzym zetknęłam także w słynnym „Czterdziestolatku", gdzie grałam żonę Maliniaka, czyli Romka Kłosowskiego, oraz w serialu „Tygrysy Europy". To była bardzo miła współpraca. Spotykaliśmy się również prywatnie w SPATIF-ie czy w tzw. ścieku, klubie filmowym. A po wielu latach w Skolimowie, którym zajmowałam się z uwagi na moją funkcję w ZASP. Jurek był tam zapraszany i wspominaliśmy nasze wspólne czasy. Opowiadałam mu o Szrenicy i o tym, jak przez wiele lat nie lubiłam sera żółtego. Nie pamiętał.

Nasz świat będzie smutniejszy bez niego. Rozśmieszał nas w PRL. Był wielkim twórcą. Może w tym innym świecie wniesie trochę swojego poczucia humoru.

eprasa.pl e3907b2c07

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

„Fuck" się należy

Dyskurs publiczny jest u nas wyznaczany przez hieny medialne

„2 mld zł na TVP. Polacy masowo umierają na raka". „Na co PiS da 2 mld zł? Na TVP czy na walkę z rakiem?". Ankieta na jednym z wiodących portali: „Słyszałeś/aś, że dla PiS ważniejsze jest TVP od chorych na raka?".



Ryszard Makowski

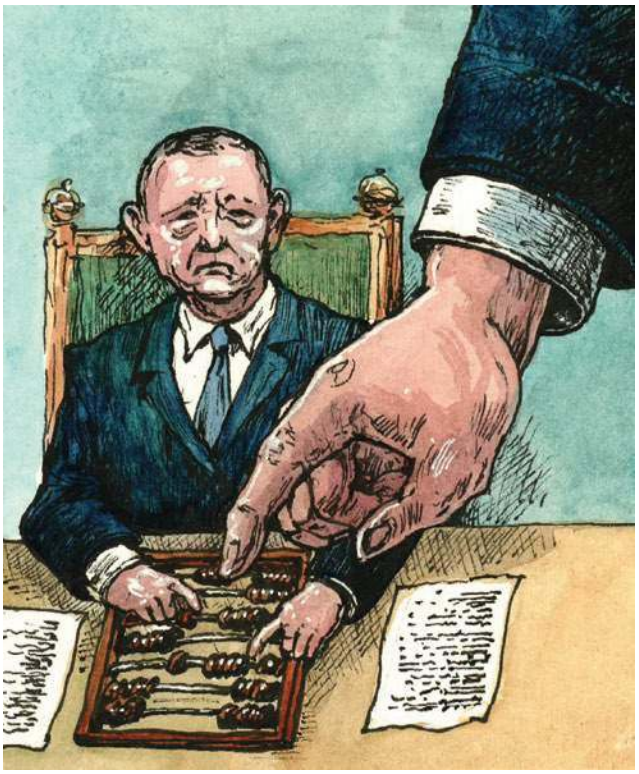
Kiedyś do wież oblężniczych przywiązywano dzieci, wraz z rozwojem cywilizacji sprawy poszły dalej. Dziś do walki politycznej wykorzystuje się też dzieci, z tym że chore na raka. Zarzucanie telewizji publicznej, że uprawia propagandę, w sytuacji gdy samemu sięga się po figury retoryczne wydobyte z najbardziej cuchnącej kloaki, jest karkołomną hipokryzją. Kto by się jednak tym przejmował?

Antypisowska histeria, a także swoista narracyjna bezradność opozycji w obliczu ekonomicznych sukcesów rządu ma usprawiedliwiać najbardziej perfidne zagrania. Same okrzyki, że ceny rosną, okazują się niewystarczające. Napędzanie emocji schorowanych ludzi, by osiągnąć cele polityczne, to dno dna? Ależ skąd? Senat, będący przyczółkiem walki z dobrą zmianą, próbował zablokować dodatkowe świadczenia dla emerytów. Niezwykła maestria rozumowa. Jak emeryci dostaną w kwietniu podpórkę finansową, to zagłosują na obecnego prezydenta, a jak nie dostaną, to nasza kandydatka-wpadka ma dużo większe szanse. Tak będą Platformie wdzięczni, że nic nie dostali.

Filozofia wyznawców Tuska jest niezmienna. Ograbić społeczeństwo i kłamać. Gest „fuck" nie należy do szczytów elegancji, ale nasza opozycja zasługuje, by jej go pokazać. Za to, co kiedyś, i za to, co dziś.

eprasa.pl e3907b2c07

***Zawistowski prezentuje:* Kontrola**



Wycinki z przeszłości

„Czy pani lubi mrożonki?" – pytała „Przyjaciółka" w wydaniu na 3 marca 1974 r. Dziś produkty przetworzone, gotowe po podgrzaniu, to w wielu domach codzienność, ale wtedy była to nowość i znak gierkowskiego postępu.

Tygodnik zachęcał do korzystania z nich taką historyjką: „– Wyobraźcie sobie – powiedział pan Zdzisław – że jadłem wczoraj na obiad kołduny. Od wielu lat prosiłem żonę, aby je zrobiła, ale ciągle wymawiała się, że to takie pracochłonne, a poza tym trudno o potrzebne składniki. A wczoraj przychodzę na obiad i proszę – na stół wjeżdżają kołduny! Dopiero gdy zjadłem dokładkę, żona przyznała się, że to z mrożonek, a całe przygotowanie obiadu trwało zaledwie kilkanaście minut!".

Niestety „Przyjaciółka" odnotowywała też kłopoty z handlem mrożonkami.

„Wiele sklepów nie ma odpowiedniego sprzętu, a więc zamrażarek i lad chłodniczych, w których nie tylko można przechowywać towar, ale i właściwie go eksponować. Często w sklepach stoją co najwyżej zamykane ciężką klapą pojemniki, w których wszystkie mrożonki leżą rzucone „jak leci" i nawet sprzedawcy trudno jest sięgnąć po żądaną torebkę".

W planach był zakup za granicą nowoczesnych zamrażarek, ale na pełen przełom trzeba było jednak poczekać jeszcze ćwierć wieku.

Dziś oferta gotowych dań jest imponująca. Ale czytajmy etykiety, czy nie ma w nich za dużo chemii. ***(mk)***



Koncertują leszczyny

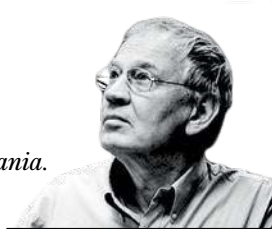
A gdzie? Kiedy? Po ile bilety? Wystarczy spojrzeć na lewo prawo. Ponad wrzawą szpalt, internetu i wszelkich „kanałów". Za darmo. Za uśmiechnięte spojrzenie. Szanowni państwo, świecie tegoroczny – bieżący, umykający...

Rozmowa na przedwiośniu z leszczyną

Chodzę pod leszczynę
Jak kiedyś uczniak, szczeniak
Chodziłem pod okna tej dziewczyny
Wypatrywać czy się świeci?
Ach może (i raz jeszcze) czyta ten bilecik
Com go w szkole wsunął do jej teczki?
O mądrości, wszystkie skarby świata
Ileż to warte wobec tej „chwili szekspirowskiej"
– Przyjdzie – nie przyjdzie?
I znaku – błysku tego w oknie
– Wyrwie się?
– Będziemy stać w ciemnościach bramy
Pozwoli trzymać się za rękę
O, zuchwałości niepojęta – dotknę jej ust
Po skarby bardziej niźli by z księżyca niedosiężne
Sięgnę?

Leszczyno, czy ty mnie pamiętasz?
To ja, twój wierny adorator
Ze skronią siwą, na skraju życia
Na końcu mego świata
Przychodzę z zapytaniem wciąż do ciebie
A Ty na przekór chłodów sprzysiężeniu
Najwcześniej z zimy obudzona
Kołyszesz do mnie witką zieloną
I mówisz: – Wiosna będzie!
Niedoczekane, jeszcze jest
Przed nami...

– Choć kształt miłości czas odmienia
Nad kształt doraźny – ponad rozumy liści i gałęzi
Bardziej wszechwładnie trwa
Od korzeni
B e z r o z u m n a w i a r a
– Miłość miłowania...
Co przed otchłanią nocy
I przed ciemnością bramy nas ochrania.



Leszek Długosz

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**245** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl e3907b2c07

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

AnDu 2020

Na początku maja 2015 r., dokładnie w tym samym miejscu tygodnika „Sieci", współautor dzisiejszego felietonu napisał: „Jeśli chcemy przygotować Polskę do wielkiej zmiany, to właśnie jest okazja, by dokonać upgrade'u systemu prezydenckiego".

Szykowaliśmy się do wyborów prezydenta RP. Naszym faworytem był Andrzej Duda. Kandydat nadziei, że jak się powiedzie, to w Polsce wreszcie będzie można zainstalować nowoczesny system operacyjny, którego nasz kraj tak bardzo potrzebował. Polska pilnie potrzebowała wymiany ówczesnego systemu operacyjnego BroKo na bardziej dynamiczny system AnDu.

Dziś wiemy, że w sumie to był dobry wybór. System AnDu (wtedy model AnDu2015) umożliwił podjęcie procesu głębokiej reformy państwa. Procesu bardzo trudnego i czasem bolesnego, którego przez lata nie można było uruchomić. Dla jednych jawił się jako niemożliwy tak bardzo, że woleli Rzeczpospolitą powolutku zwijać, niemal rozmywać w unijnych landach.

Ale Polski zwinąć się nie da. System AnDu ma to zakodowane.

„BANDZIOR SYSTEM"

Przypomnijmy jednak jeszcze coś. Wtedy, w maju 2015 r., w demontażu systemu operacyjnego BroKo niebagatelną rolę odegrał także inny kandydat – otwarcie głoszący swoją antysystemowość Paweł Kukiz. Kto wie, czy gdyby nie wydobył energii z gniewu części społeczeństwa, bylibyśmy w tym miejscu, w którym jesteśmy dziś.

W wywiadzie ówcześnie udzielonym red. Beacie Michniewicz w radiowej Trójce Kukiz deklarował, że wypowiada wojnę „bandziorowi, jakim jest system". Na pytanie, jak chciałby urządzić Polskę, wymieniał kolejno: „totalna zmiana systemu sprawiedliwości", „odbudowa armii i bezpieczeństwa państwa", „odbudowa gospodarki z dużą rolą państwa". Pytany o Unię Europejską odparł: „Jestem zwolennikiem Unii, ale pod warunkiem, że w tej Unii jesteśmy podmiotem, a nie przedmiotem".



System typu AnDu (wtedy model AnDu2015) umożliwił podjęcie procesu głębokiej reformy państwa. Procesu bardzo trudnego i czasem bolesnego

A tego samego przecież chcieli też zwolennicy dobrej zmiany. Kukiz pewnie wtedy miał dobre intencje, zbyt słabo jednak rozumiał politykę, by jego antysystemowość była czymś więcej niż zbiorem haseł.

BUNT, A CO DALEJ?

Miejsce polityczne, w którym Paweł Kukiz teraz się znajduje, przywodzi skojarzenie z ruchem najbardziej może antysystemowym ostatnich kilkudziesięciu lat – z ruchem hipisowskim. Dzieci kwiaty przyczyniły się do wielu społecznych zmian, w tym do przewrotu obyczajowego, ale i tak większość z nich po okresie buntu znalazła swoje miejsca w systemie, który tak malowniczo zwalczały.

Żadne społeczeństwo jako całość poza systemem nie może funkcjonować. Że artysta muzyk Kukiz tego nie wie – można wybaczyć. Ale polityk Paweł Kukiz powinien rozumieć, że bez struktur i zaplecza finansowego, bez przepisów i reguł, bez reformowania konkretnych instytucji nie osiągnie się zbyt wiele. Zmiana ordynacji, jego sztandarowy postulat – słynne JOW-y – okazała się rytualnym zaklęciem, a nie realnym rozwiązaniem.

Gołosłowny antysystemowiec Kukiz, ongiś zapętlony w bunt i gniew, dziś wylądował w duecie z kandydatem na prezydenta RP Polskiego Stronnictwa Ludowego. Partii, którą w świecie polskiej polityki zasadnie można określić jako doszczętnie systemową partię PRL i III RP jednocześnie.

SPOŁECZNY SŁUCH

To, że przez osiem lat rządów PO-PSL i pięć lat urzędowania prezydenta Bronisława Komorowskiego państwo degradowane było przez pasożytnicze grupy interesów – krajowych i zagranicznych, to wiadomo. To, że z tego właśnie powodu było ono niezdolne do przygotowania się do wielkich zmian niesionych przez rewolucję cyfrową, też jest chyba jasne dla niezacietrzewionych krytyków dobrej zmiany.

System AnDu, jak większość systemów wymyślonych przez człowieka, nie jest doskonały. Dlatego prace nad upgrade'em na bieżąco trwają. Wiele elementów nowego systemu operacyjnego jeszcze nie zadziałało. Wiele procedur i zwyczajów działania administracji publicznej nadal jest ułomnych. Ale tylko jeden kandydat daje szansę na takie odczytanie gniewu i poczucia niesprawiedliwości wielu Polaków, że bunt nie staje się jałowy.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | Reklama 59/0120/F

eprasa.pl e3907b2c07

Forum wGospodarce.pl

II edycja projektu Grupy Medialnej Fratria

To platforma wymiany doświadczeń o roli inwestorów zagranicznych w polskim modelu państwa dobrobytu

- **Zainicjujemy dialog** między inwestorami obecnymi na polskim rynku, ekspertami a administracją.
- **Podsumujemy** dotychczasowy wpływ inwestycji zagranicznych na naszą gospodarkę.
- **Przeanalizujemy** postrzeganie możliwych kierunków budowania polskiej konkurencyjności.
- **Zaprezentujemy** znaczenie obecności globalnych marek w Polsce.

Więcej informacji w dedykowanej zakładce na

www.wgospodarce.pl

PARTNERZY GŁÓWNI:

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:

eprasa.pl e3907b2c07

Wygraj i odbieraj
600 zł co tydzień przez cały rok

SZYBKIE 600



Graj w punktach LOTTO

eprasa.pl e3907b2c07